

BRUNO SCHULZ

SANATORIUM POD
KLEPSYDRĄ

Księga

I

Nazywam ją po prostu Księga, bez żadnych określeń i epitetów, i jest w tej abstynencji i ograniczeniu bezradne westchnienie, cicha kapitulacja przed nieobjętością transcendentu, gdyż żadne słowo, żadna aluzja nie potrafi załsnąć, zapachnieć, spłynąć tym dreszczem przestachu, przecuciem tej rzeczy bez nazwy, której sam pierwszy posmak na końcu języka przekracza pojemność naszego zachwytu. Cóż pomógłby patos przymiotników i napuszystość epitetów wobec tej rzeczy bez miary, wobec tej świetności bez rachuby. Czytelnik zresztą, czytelnik prawdziwy, na jakiego liczy ta powieść, zrozumie i tak, gdy mu spojrzę głęboko w oczy i na dnie samym załsnę tym blaskiem. W tym krótkim a mocnym spojrzeniu, w przelotnym ściśnięciu ręki pochwyci on, przejmie, odpozna - i przymknie oczy z zachwytu nad tą recepcją głęboką. Bo czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce?

Księga... Gdzieś w zaraniu dzieciństwa, o pierwszym świcie życia jaśniał horyzont od jej łagodnego światła. Leżała pełna chwały na biurku ojca, a ojciec, pogrążony w niej cicho, pocierał poślinionym palcem cierpliwie grzbiet tych odbijanek, aż ślepy papier zaczynał mglić się, mętnieć, majaczyć błogim przecuciem i z nagłą złuszczał się kłakami bibuły i odsłaniał rąbek pawiooki i urzęsiony, a wzrok schodził, mdlejąc, w dziewiczy świt bożych kolorów, w cudowną mokrość najczystszych lazurów.

O, to przetarcie się bielma, o ta inwazja blasku, o błoga wiosno, o ojciec...

Czasem ojciec wstawał od Księgi i odchodził. Wówczas zostawałem z nią sam na sam i wiatr szedł przez jej stronicę i obrazy wstawały.

I gdy tak wiatr cicho kartkował te arkusze, wywiewając kolory i figury, spływał dreszcz przez kolumny jej tekstu, wypuszczając spomiędzy liter klucze jaskółek i skowronków. Tak ulatywała, rozsypując się, stronica za stronicą i wsiąkała łagodnie w krajobraz, który syciła barwnością. Czasami spała i wiatr rozdmuchiwał ją cicho jak różę stulistną i otwierała listki, płatek za płatkim, powieka pod powieką, wszystkie ślepe, aksamitne i uśpione, kryjąc w sednie swym na dnie lazuruwą źrenicę, pawi rdzeń, krzyżące gniazdo kolibrów.

To było bardzo dawno. Matki jeszcze wówczas nie było. Spędzałem dni sam na sam z ojcem w naszym wielkim wówczas, jak świat, pokoju.

Pryzmatyczne kryształki zwisające z lampy napełniały pokój rozprószonymi kolorami, rozpryskaną po wszystkich kątach tęczą i gdy lampa obracała się na swych łańcuchach, wędrował cały pokój fragmentami tęczy, jak gdyby sfery siedmiu planet przesuwwały się kręcąc przez siebie. Lubiłem stawać między nogami ojca, obejmując je z obu stron, jak kolumny. Czasami pisał listy. Siedziałem na biurku i śledziłem z zachwytem zakrętasy podpisu, zawile i wirujące, jak trele koluraturowego śpiewaka. W tapetach pączkowały uśmiechy, wykłuwały się oczy, koziółkowały figle. Aby mnie ubawić, ojciec wypuszczał w tęczową przestrzeń bańki mydlane z długiej słomki. Odbijały się o ściany i pękały, zostawiając w powietrzu swe kolory.

Potem przyszła matka i wczesna ta, jasna idylla skończyła się. Uwiedziony pieścotami matki, zapomniałem o ojcu, życie moje potoczyło się nowym, odmiennym torem, bez świąt i bez cudów, i byłbym może na zawsze zapomniał o Księdze, gdyby nie ta noc i ten sen.

II

Obudziłem się raz w ciemny świt zimowy - pod zwałami ciemności paliła się, głęboko w dole, ponura zorza - i mając jeszcze pod powiekami mrowie mglistych figur i znaków, zacząłem majaczyć niejasno i zawile wśród udreki i późnego żalu o starej, zaginionej Księżce.

Nikt mnie nie rozumiał i, rozdrażniony tą tępotą, zacząłem natarczywiej naprzykrzać się i molestować rodziców w niecierpliwości i gorączce.

Bosy i w koszuli tylko przerzuciłem, drżąc z podniecenia, bibliotekę ojca i rozczarowany, gniewny opisywałem bezradnie przed osłupiałym audytorium tę rzecz nie do opisania, której żadne słowo, żaden obraz, nakreślony drżącym i wydłużonym mym palcem, nie mógł dorównać. Wyczerpywałem się bez końca w relacjach pełnych splątania i sprzeczności i płakałem z bezsilnej rozpacz.

Stali nade mną bezradni i zmieszani, wstydząc się swej bezsilności. W głębi duszy nie byli bez winy. Moja gwałtowność, ton żądania niecierpliwy i pełen gniewu dawał mi pozór słuszności, przewagę dobrze uzadnionej pretensji. Przybiegali z różnymi książkami i wciskali mi je w ręce. Odrzucałem je z oburzeniem.

Jedną z nich, gruby i ciężki foliant, ojciec mój wciąż na nowo podsuwał mi z nieśmiałą zachętą. Otworzyłem ją. Była to Biblia. Ujrzałem na jej kartach wielką wędrówkę zwierząt, płynącą gościńcami, rozgałęzioną pochodami po kraju dalekim, ujrzałem niebo w kluczach całe i w łopotach, ogromną odwróconą piramidę, której daleki wierzchołek dotykał Arki.

Podniosłem oczy na ojca, pełne wyrzutu: - Ty wiesz, ojcze - wołałem - ty wiesz dobrze, nie ukrywaj się, nie wykręcaj! Ta książka cię zdradziła. Dlaczego dajesz mi ten skażony apokryf, tysiączną kopię, nieudolny falsyfikat? Gdzie podziateś Księgę?

Ojciec odwrócił oczy.

III

Minęły tygodnie i wzburzenie moje opadło i uciszyło się, ale obraz Księgi płonął dalej w mej duszy jasnym płomieniem, wielki, szeleszczący Kodeks, wzburzona Biblia, przez której karty szedł wiatr, plądrując ją, jak ogromną, rozsypującą się różę.

Ojciec, widząc mnie spokojniejszym, zbliżył się raz ostrożnie i rzekł tonem łagodnej propozycji: - W gruncie rzeczy istnieją tylko książki. Księga jest mitem, w który wierzymy w młodości, ale z biegiem lat przestaje się ją traktować poważnie. - Miałem już wówczas inne przekonanie, wiedziałem, że Księga jest postulatem, że jest zadaniem. Czuję na barkach ciężar wielkiego posłannictwa. Nie odpowiedziałem nic, pełen pogardy i zacieklej, ponurej dumy.

W tym czasie bowiem byłem już w posiadaniu tego strzępu książki, tych żalonych resztek, które dziwny traf losu przemycił w me ręce. Kryłem skarb swój troskliwie przed wszystkimi oczyma, bolejąc nad głębokim upadkiem tej księgi, dla której okaleczonych resztek nie zdołałbym zjednać niczyjego zrozumienia. Stało się to tak.

Pewnego dnia tej zimy zastałem Adelę w trakcie sprząwania, z szczotką w ręku, wspartą o pulpit, na którym leżał podarty jakiś szpargał. Nachyliłem się przez jej ramię, nie tyle z ciekawości, ile żeby znowu odurzyć się zapachem jej ciała, którego młody urok objawił się był niedawno obudzonym mym zmysłom.

- Patrz - mówiła, znosząc bez protestu moje przytulenie się - czy możliwe jest, żeby komuś wyrosły włosy do ziemi? Chciałabym mieć takie.

Spojrzałem na rycinę. Na dużej karcie in folio był tam wizerunek kobiety o kształtach raczej silnych i przysadkowatych, o twarzy pełnej energii i doświadczenia. Z głowy tej damy spływał ogromny kożuch włosów, staczał się ciężko z pleców i włókł się końcami grubych splotów po ziemi. Był to jakiś nieprawdopodobny wybryk natury, płaszcz fałdzisty i obfity, wyprzedzony z

korzonków włosów, i trudno było wyobrazić sobie, żeby ten ciężar nie sprawiał dotkliwego bólu i nie obezwładniał obarczonej nim głowy. Ale właścicielka tej wspaniałości zdawała się z dumą ją nosić, a tekst wydrukowany obok tłustymi czcionkami głosił historię tego cudu i zaczynał się od słów: "Ja, Anna Csillag, urodzona w Karłowicach na Morawach, miałam słaby porost włosów"...

Była to długa historia, podobna w konstrukcji do historii Hioba. Anna Csillag z dopustu bożego dotknięta była słabym porostem. Całe miasteczko litowało się nad tym upośledzeniem, które wybaczano jej ze względu na nienaganny żywot, chociaż nie mogło ono być całkiem niezawinione. I oto stało się na skutek gorących modłów, że zdjęta była z jej głowy klątwa. Anna Csillag dostała łaski oświecenia, otrzymała znaki i wskazówki i sporządziła specyfik, lek cudowny, który jej głowie przywrócił urodzajność. Zaczęła porastać we włosy i nie dość na tym, jej mąż, bracia, kuzynowie także z dnia na dzień opilśniali się tęgim, czarnym futrem zarostu. Na drugiej stronie pokazana była Anna Csillag w sześć tygodni po objawieniu jej recepty, w otoczeniu swych braci, szwagrów i bratanków, mężów brodatych po pas i wąsatych, i z podziwem patrzyło się na ten prawdziwy wybuch nie sfalszowanej, niedźwiedziej męskości. Anna Csillag uszczęśliwiła całe miasteczko, na które spłynęło prawdziwe błogosławieństwo w postaci falujących czupryn i grzyw ogromnych i którego mieszkańcy zamiatali ziemię brodami jak miotły szerokimi. Anna Csillag stała się apostołką włochości. Uszczęśliwiwszy rodzinne miasto, zapragnęła uczęśliwić świat cały i prosiła, zachęcała, błagała, aby przyjąć dla zbawienia swego ten dar boży, ten lek cudowny, którego sama jedna знаła tajemnicę.

Tę historię przeczytałem przez ramię Adeli i nagle tknęła mnie myśl, od której uderzenia stanąłem cały w płomieniach. Toż to była Księga, jej ostatnie stronicę, jej nieurzędowy dodatek, tylna oficyna pełna odpadków i rupieci! Fragmenty tęczy zakreśliły się w wirujących tapetach, wyrwałem z rąk Adeli szpargał i głosem odmawiającym mi posłuszeństwa wyzionąłem: - Skąd wzięłaś tę książkę?

- Głupi - rzekła, wzruszając ramionami - przecież ona leży tu zawsze i co dzień wydzieramy z niej kartki na mięso do jatek i na śniadanie dla ojca...

IV

Pobiegłem do mego pokoju. Wzburzony do głębi, z płonąca twarzą zacząłem wertować latającymi rękami kartki szpargału. Niestety, było ich zaledwie kilkanaście. Ani jedna stronica właściwego tekstu, same tylko ogłoszenia i anonse. Zaraz po prorocत्वach długowłosej Sybilli następowała kartka poświęcona cudownemu lekowi na wszystkie choroby i ułomności. Elsa-fluid z łabędziem - nazywał się ten balsam i działał cuda. Stronica pełna świadectw uwierzytelnionych, wzruszających relacyj osób, na których cud się dokonał.

Z Siedmiogrodu, z Sławonii, z Bukowiny przychodzili ozdrowieńcy pełni zapału, by przyświadczyć, gorącym i wzruszonym słowem opowiedzieć swe dzieje. Szli obandażowani i zgarbieni, potrząsając już niepotrzebnym szczudłem, odrzucali plastry z oczu i opaski ze skroful.

Poprzez te wędrówki kalek widziało się dalekie i smutne miasteczka o białym, jak papier, niebie, stwardniałe od prozy i codzienności. Były to zapomniane w głębi czasu miasta, gdzie ludzie przywiązani byli do swych małych losów, od których nie odrywali się ani na chwilę. Szewc był do cna szewcem, pachniał skórą, miał twarz małą i zbiedzoną, krótkowzroczne, blade oczy nad bezbarwnym, wężącym wąsem i czuł się na wskroś szewcem. I jeżeli nie bolały ich wrzody, nie łamały kości, puchlina nie kładła na barłóg, byli szczęśliwi bezbarwnym, szarym szczęściem, palili tani tytoń, żółty tytoń cesarsko-królewski, lub marzyli tępo przed kolekturą loterii.

Koty przebiegały im drogę, to z lewej, to z prawej strony, śnił im się czarny pies i świerzbiała ich ręka. Czasami pisali listy z listowników, nalepiali troskliwie markę i powierzali je z wahaniem i pełni nieufności skrzynce pocztowej, w którą uderzali

pięścią, jak gdyby ją budzili. I przez sny ich przelatywały potem białe gołębie z listami w dzióbkach i znikwały w obłokach.

Następne stronice wznosiły się ponad sferę spraw codziennych w regiony czystej poezji.

Były tam harmonie, cytry i harfy, ongi instrumentu chórów anielskich, dziś dzięki postępom przemysłu udostępnione po popularnych cenach prostemu człowiekowi, bogobojnemu ludowi dla pokrzepienia serc i godziwej rozrywki.

Były tam katarynki, prawdziwe cuda techniki, pełne ukrytych wewnątrz fletów, gardziołek i piszczałek, organków trelujących słodko, jak gniazda szlochających słowików, nieceniony skarb dla inwalidów, źródło lukratywnych dochodów dla kalek i niezbędne w ogóle w każdym muzycznym domu. I widziało się te katarynki pięknie malowane, wędrujące na plecach niepokąźnych szarych staruszków, których twarze, wyjedzone przez życie, były jakby zasnute pajęczyną i całkiem niewyraźne, twarze o łzawiących, nieruchomych oczach, które z wolna wyciekały, twarze wyjałowione z życia, tak odbarwione i niewinne, jak kora drzew spękana od pogód wszelkich, i pachnące już tylko deszczem i niebem, jak ona.

Dawno zapomnieli, jak się nazywali i kim byli, i tak zagubieni w sobie surgali z ugiętymi kolanami drobnymi, równymi kroczkami w swych ogromnych, ciężkich butach po linii całkiem prostej i jednostajnej, wśród krętych i zawitych dróg przechodniów.

W białe, bezsłoneczne przedpołudnia, przedpołudnia szcerstwiały od zimna, pogrążone w codzienne sprawy dnia, wyplątywali się niepostrzeżenie z tłumu, stawiali katarynkę na krzyżulcach na zbiegu ulic, pod żółtą smugą nieba, przekreśloną drutem telegraficznym, wśród ludzi śpieszących tępo z nastawionymi kołnierzami, i zaczęli swą melodię, nie od początku, lecz w miejscu, gdzie wczoraj przerwali, i grali: "Daisy, Daisy, ty mi odpowiedź daj...", podczas gdy z kominów puszyły się białe pióropusze pary. I rzecz dziwna - ta melodia, zaledwie rozpoczęta, wskakiwała zaraz w wolną lukę, w swoje miejsce w tej godzinie i w

tym krajobrazie, jak gdyby od zawsze należała do tego dnia zamysłonego i zgubionego w sobie samym, a w takt jej biegły myśli i szare troski śpieszących.

I gdy po pewnym czasie kończyła się długim, wyciągniętym wizgotem, wyprutym z trzewi katarynki, która zaczynała z całkiem nowej beczki - myśli i troski zatrzymywały się na chwilę, jakby w tańcu, by zmienić krok, a potem bez zastanowienia zaczynały kręcić się w odwrotnym kierunku w takt nowej melodii, która wybiegła z fujarek katarynki: "Małgorzato, skarbie mojej duszy..."

I w tęym indyferentyzmie tego przedpołudnia nikt nie zauważył nawet, że sens świata zmienił się do gruntu, że biegł on już nie w takt "Daisy, Daisy", ale wprost przeciwnie "Mał-go-rzato..."

Obracamy znów kartkę... Cóż to? Czy pada deszcz wiosenny? Nie, to ćwierkanie ptaszków sypie się jak szary śrut na parasole, bo oto oferuje się tu prawdziwe kanarki harceńskie, klatki pełne szczygłów i szpaków, koszyki pełne śpiewaków i gadułów skrzydlatych. Wrzecionowate i lekkie, jakby wypchane watą, podskakujące w drgawkach, zwrotne, jak na gładkich, kwilących sworzniach, rozświergotane jak kukułki zegarów - były one osłodą samotności, zastępowały kawalerom ciepło ogniska rodzinnego, wywabiały z najtwardszych serc błogość uczucia macierzyńskiego, tyle miały pisklącego i wzruszającego, i jeszcze gdy obracało się nad nimi stronicę, posyłały za odchodzącym złączone swe, wabiące ćwierkanie.

Ale w dalszym ciągu staczał się ten skrypt żalony w coraz głębszy upadek. Teraz zszedł na bezdroża wątpliwej jakiejś szarlatańskiej mantyki. W długim płaszczu, z uśmiechem na wpół pochłoniętym przez czarną brodę, któż to prezentował się do usług publiczności? Pan Bosco z Mediolanu, swego znaku mistrz czarnej magii, i mówił długo i niewyraźnie, demonstrując coś na końcach palców, co nie czyniło rzeczy zrozumialszą. I choć w przekonaniu własnym dochodził do zadziwiających konkluzyj, które ważyć się zdawał przez chwilę między czułymi palcami, zanim ich lotny sens nie uszedł z palców w powietrze, i choć pointował on subtelnie przeguby dialektyki ostrzegawczym podniesieniem

brwi, przygotowującym na rzeczy niezwykle, nie rozumiało się go, a co gorsza, nie pragnęło nic rozumieć i pozostawiało się go z jego gestykulacją, z przyciszonym tonem i całą skalą ciemnych uśmiechów, ażeby przekartkować szybko ostatnie, rozpadające się w strzępy stronicę.

Na tych ostatnich stronicach, które w sposób widoczny popadały w majaczkliwe bredzenie, w jawny bezsens, jakiś gentleman ofiarowywał swoją niezawodną metodę, jak stać się energicznym i stanowczym w decyzjach, i mówił wiele o zasadach i charakterze. Ale wystarczyło tylko obrócić stronicę, ażeby być zupełnie zdezorientowanym w rzeczach stanowczości i zasad.

Tam drobnym kroczkiem wychodziła spętana trenem sukni niejaka pani Magda Wang i oświadczała z wysokości ściągniętego dekoltu, że kpi sobie z męskiej stanowczości i zasad, i że jej specjalnością jest łamać najsilniejsze charaktery. (Tu ruchem nóżki układała tren na ziemi.) W tym celu istnieją metody, ciągnęła przez zaciśnięte zęby, niezawodne metody, nad którymi nie chce się rozwodzić, odsyłając do swych pamiętników, zatytułowanych *Z purpurowych dni* (Wydaw. Instytutu Antropozofii w Budapeszcie), w których złożyła rezultaty swych doświadczeń kolonialnych w dziedzinie tresury ludzi (ten wyraz z naciskiem i ironicznym błyskiem oczu). I rzecz dziwna, ta opieszale i bezceremonialnie mówiąca dama zdawała się być pewna aprobaty tych, o których z takim cynizmem mówiła, i wśród osobliwego zawrotu i migotania czuło się, że kierunki oznaczeń moralnych przesunęły się dziwnie i że jesteśmy tu w innym klimacie, w którym kompas uczuć działa na opak.

To było ostatnie słowo Księgi, które zostawiało smak dziwnego oszołomienia, mieszaninę głodu i podniecenia w duszy.

V

Nachylony nad tą Księgą, z twarzą płonąca jak tęcza, gorzałem cicho od ekstazy do ekstazy. Zatopiony w czytaniu zapomniałem o obiedzie. Nie omyliło mnie przeczucie. Był to Autentyk, święty oryginał, choć w tak głębokim ponizeniu i degradacji. I kiedy późnym zmierzchem, błogo uśmiechnięty, układałem szpargał w najgłębszej szufladzie, nakrywając go dla niepoznaki innymi książkami - zdawało mi się, że to zorzę układam do snu w komodzie, zorzę, która wciąż na nowo od samej siebie się zapalała i szła przez wszystkie płomienie i purpury, i wracała raz jeszcze, i nie chciała się skończyć.

Jakże zobojętniały mi wszystkie książki!

Bo zwykle książki są jak meteory. Każda z nich ma jedną chwilę, moment taki, kiedy z krzykiem wlatuje jak feniks, płonąca wszystkimi stronicami. Dla tej jednej chwili, dla tego jednego momentu kochamy je potem, choć już wówczas są tylko popiołem. I z gorzką rezygnacją wędrujemy niekiedy późno przez te wystygłe stronice, przesuwając z drewnianym klekotem, jak różaniec, martwe ich formułki.

Egzegeci Księgi twierdzą, że wszystkie książki dążą do Autentyku. Żyją one tylko wypożyczonym życiem, które w momencie wlotu wraca do swego starego źródła. Znaczy to, że książek ubywa, a Autentyk rośnie. Jednakowoż nie chcemy nużyć czytelnika wykładem Doktryny. Chcielibyśmy tylko zwrócić na jedną rzecz uwagę: Autentyk żyje i rośnie. Co z tego wynika? Oto, gdy następnym razem otworzymy nasz szpargał, kto wie, gdzie będzie już wówczas Anna Csillag i jej wierni. Może ujrzymy ją, pątniczkę długowłosą, zamiatającą swym płaszczem gościńce Moraw, wędrującą przez kraj daleki, przez białe miasteczka pogrążone w codzienności i prozie i rozdającą próbki balsamu Elsa-fluid między prostaczków bożych, trapiionych wyciekami i świerzbem. Ach, co zrobią wówczas poczciwi brodacze miasteczka, unieruchomieni przez olbrzymie zarosty, co zrobi wierna ta gmina, skazana na pielęgnowanie i administrację nadmiernych swych urodzajów?

Kto wie, czy nie kupią sobie wszyscy prawdziwych katarynek z Szwarewaldu i nie podążą w świat za swą apostołką, ażeby szukać jej po kraju, grając na wszystkich miejscach "Daisy, Daisy".

O, Odysejo brodaczy, błędzących z katarynkami od miasta do miasta w poszukiwaniu swej matki duchowej! Kiedyż znajdzie się rapsod godny tej epopei? Bo komuż zostawili gród oddany ich pieczy, komu powierzyli rząd dusz w mieście Anny Csillag? Czy nie mogli przewidzieć, że pozbawione swej duchowej elity, swych patriarchów wspaniałych - miasto popadnie w zwątpienie i odszczepieństwo i otworzy swe bramy - komu? - ach, cynicznej i przewrotnej Magdzie Wang (Wydawnictwo Instytutu Antropozoficznego w Budapeszcie), która założy w nim szkołę tresury i łamania charakterów?

Ale powróćmy do naszych pielgrzymów.

Któż nie zna tej starej gwardii, tych Cymbrów wędrownych, głębokich brunetów o potężnych na pozór ciałach, zrobionych z tkanki bez tęczyzny i soków? Cała ich siła, cała moc weszła w uwłosienie. Antropologowie głowią się od dawna nad tą osobliwą rasą, odzianą zawsze w czarne ubrania, w grube, srebrne łańcuchy na brzuchach, z palcami w potężnych, mosiężnych sygnetach.

Lubię ich, tych na przemian Kasprów i Baltazarów, ich głęboką powagę, ich funebryczną dekoratywność, te wspaniałe okazy męskie z pięknymi oczami o tłustym połysku palonej kawy, lubię ten szlachetny brak żywotności w ciałach wybujających i gąbczastych morbidezzę wygasających rodów, ich sapiący oddech z potężnych piersi i nawet ten zapach waleriany, jaki roztaczają ich brody.

Jak Aniołowie Oblicza stają czasem niespodzianie w drzwiach naszych kuchni, ogromni i sapiący, i prędko zmęczeni - ocierają pot z zroszonego czoła, przewracając niebieskimi białkami oczu - i w tym momencie zapominają swe poselstwo i zdziwieni, szukając wybiegu, pretekstu dla swego przybycia - wyciągają dłoń po jałmużnę.

Wracamy do Autentyku. Ależ nie opuszczaliśmy go nigdy. I tu wskazujemy na dziwną cechę szpargału, już teraz jasną czytelnikowi, że rozwija się on podczas

czytania, że ma granice ze wszech stron otwarte dla wszystkich fluktuacyj i przepływów.

Teraz na przykład już nikt nie oferuje tam szczygłów harceńskich, bo z katarynek tych brunetów, z przełamań i zagięć melodii wyfruują w nieregularnych odstępach te pierzaste miotełki i rynek zasypany jest nimi, jak kolorowymi czcionkami. Ach, co za rozmnożenie migotliwe i pełne szczebiotu... Dokoła wszystkich cypli, drążków i chorągiewek tworzą się prawdziwe kolorowe zatory, trzepoty i walki o miejsce. I wystarczy wystawić przez okno pałąk laski, ażeby oblepiony trzepocącym i ciężkim gronem wciągnąć go z powrotem do izby.

Zbliżamy się teraz w naszym opowiadaniu szybkimi krokami do tej wspaniałej i katastroficznej epoki, która w biografii naszej nosi nazwę epoki genialnej.

Daremnie przeczylibyśmy, że czujemy już teraz to ściśnięcie serca, ten błogi niepokój, świętą treść, jaka poprzedza rzeczy ostateczne. Wkrótce zabraknie nam w tyglach kolorów, a w duszy blasku, aby położyć najwyższe akcenty, nakreślić najświetlistsze i już transcendentalne kontury w tym malowidle.

Cóż to jest epoka genialna i kiedy to było?

Tu zmuszeni jesteście stać się na chwilę całkiem ezoteryczni jak pan Bosco z Mediolanu, i zniżyć nasz głos do wnikliwego szeptu. Musimy pointować nasze wywody wieloznacznymi uśmiechami i, jak szczyptę soli, rozcierać w koniuszkach palców delikatną materię imponderabiliów. Nie nasza wina, jeżeli czasami będziemy mieli wygląd tych sprzedawców niewidzialnych tkanin, demonstrujących w wyszukanych gestach oszukańczy swój towar.

Więc czy epoka genialna zdarzyła się, czy nie zdarzyła? Trudno odpowiedzieć. I tak i nie. Bo są rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć. Są za wielkie, ażeby się zmieścić w zdarzeniu, i za wspaniałe. Próbuje one tylko się zdarzyć, próbują gruntu rzeczywistości, czy je uniesie. I wnet się cofają, bojąc się utracić swą integralność w ułomności realizacji. A jeśli nadłamały swój kapitał, pogubiły to i owo w tych próbach inkarnacji, to wnet, zazdrosne, odbierają swą własność, odwołują ją z powrotem, reinterują się i potem w biografii naszej zostają

te białe plamy, wonne stygmaty, te pogubione srebrne ślady bosych nóg anielskich, rozsiane ogromnymi krokami po naszych dniach i nocach, podczas gdy ta pełnia chwały przybiera i uzupełnia się niustannie i kulminuje nad nami, przekraczając w triumfie zachwyty po zachwycie.

A jednak w pewnym siensie mieści się ona cała i integralna w każdej ze swych ułomnych i fragmentarycznych inkarnacji. Zachodzi tu zjawisko reprezentacji i zastępczego bytu. Jakieś zdarzenie, może być co do swej proveniencji i swoich własnych środków małe i ubogie, a jednak, zbliżone do oka, może otwierać w swoim wnętrzu nieskończoną i promienną perspektywę dzięki temu, że wyższy byt usiłuje w nim się wyrazić i gwałtownie w nim błyszczy.

Tak tedy będziemy zbierali te aluzje, te ziemskie przybliżenia, te stacje i etapy po drogach naszego życia, jak ułamki potłuczonego zwierciadła. Będziemy zbierali po kawałku to, co jest jedno i niepodzielne, naszą wielką epokę, genialną epokę naszego życia.

Możemy ją w diminucyjnym zapędzie, sterroryzowani nieobjętością transcendetnu - zbyt ograniczyli, zakwestionowali i zachwiali. Gdyż mimo wszystkich zastrzeżeń: ona była.

Ona była i nic nam nie zabierze tej pewności, tego świetlanego smagku, który mamy jeszcze na języku, tego zimnego ognia na podniebieniu, tego westchnienia, szerokiego jak niebo i świeżego, jak haust czystej ultramaryny.

Czy przygotowaliśmy w pewnej mierze czytelnika do rzeczy, które nastąpią, czy możemy zaryzykować podróż w epokę genialną?

Nasza trema udzieliła się czytelnikowi. Czujemy jego zdenerwowanie. Mimo pozorów ożywienia i nam jest ciężko na sercu i pełni jesteśmy trwogi.

W imię Boże tedy - wsiadamy i odjazd!

Genialna Epoka

I

Zwykle fakty uszeregowane są w czasie, nanizane na jego ciąg jak na nitkę. Tam mają swoje antecedensy i swoje konsekwencje, które tłoczą się ciasno, następują sobie na pięty bez przerwy i bez luki. Ma to swoje znaczenie i dla narracji, której duszą jest ciągłość i sukcesja.

Cóż jednak zrobić ze zdarzeniami, które nie mają swego własnego miejsca w czasie, ze zdarzeniami, które przyszły za późno, gdy już cały czas był rozdany, rozdzielony, rozebrany, i teraz zostały niejako na łodzie, nie zaszeregowane, zawieszony w powietrzu, bezdomne i błędne?

Czyżby czas był za ciasny dla wszystkich zdarzeń? Czy może się zdarzyć, aby już wszystkie miejsca w czasie były wyprzedane? Zatroškani, biegniemy wzdłuż tego całego pociągu zdarzeń, przygotowując się już do jazdy.

Na miłość boską, czyżby nie istniał tu pewnego rodzaju aziotaż biletów na czas?... Panie konduktorze!

Tylko spokojnie! Bez zbytecznej paniki, załatwimy to po cichu we własnym zakresie działania.

Czy czytelnik słyszał coś o równoległych pasmach czasu w czasie dwutorowym? Tak, istnieją takie boczne odnogi czasu, trochę nielegalne co prawda i problematyczne, ale gdy się wiezie taką kontrabandę jak my, takie nadliczbowe zdarzenie nie do zaszeregowania - nie można być zanadto wybrednym. Spróbujmy tedy odgałęzić w którymś punkcie historii taką boczną odnogę, ślepy tor, ażeby zapchnąć nań te nielegalne dzieje. Tylko bez obawy. Stanie się to niepostrzeżenie,

czytelnik nie dozna żadnego wstrząsu. Kto wie - może, gdy o tym mówimy, już nieczysta manipulacja jest poza nami i jedziemy już ślepym torem.

II

Moja matka przybiegła przerażona i objęła mój krzyk ramionami, chcąc go nakryć jak pożar i stłumić w fałdach swej miłości. Zamknęła mi usta ustami i krzyczała wraz ze mną.

Ale odtrąciłem ją i wskazując na słup ognisty, na złotą belkę, która tkwiła ukośnie w powietrzu, jak zadra, i nie dała się zepchnąć - pełna blasku i krążących w niej pyłów - krzyczałem: - Wydrzyj ją, wyrwij!

Piec naindyczył się wielkim kolorowym bohomazem, namalowanym na jego czole, nabiegł krwią cały i zdawało się, że z konwulsji tych żył, ścięgien i całej tej napęczniałej do pęknięcia anatomii wyzwolił się jaskrawym, kogucim wrzaskiem.

Stałem rozkrzyżowany w natchnieniu i wyciągniętymi, wydłużonymi palcami pokazywałem, pokazywałem w gniewie, w przejęciu srogim, wyprężony jak drogowskaz i drżący w ekstazie.

Moja ręka prowadziła mnie, obca i blada, wlokła mnie za sobą, zeszywniała, woskowa ręka, jak wielkie wotywnie dłonie, jak dłoń anielska wzniesiona do przysięgi.

Było pod koniec zimy. Dni stały w kałużach i w żarach i miały podniebienie pełne ognia i pieprzu. Lśniące noże krajały miodną miazgę dnia na srebrne skiby, na pryzmy pełne w przekroju kolorów i korzennych pikanterij. Ale cyferblat południa gromadził na szczupłej przestrzeni cały blask tych dni i wskazywał wszystkie godziny pałające i pełne ognia.

O tej godzinie, nie mogąc pomieścić żaru, złuszczał się dzień arkuszami srebrnej blachy, chrzęszczącą cynfolią, i warstwa za warstwą odsłaniał swój rdzeń z litego blasku. I jakby nie dość było jeszcze tego, dymiły kominy, kłębiły się lśniącą parą, i każda chwila wybuchała wielkim wzlotem aniołów, burzą skrzydeł, które

niebo wchłaniało niesyte, wciąż otwarte dla nowych wybuchów. Jego jasne blanki eksplodowały białymi pióropuszcami, dalekie fortalicje rozwijały się w ciche wachlarze spiętrzonych wybuchów - pod lśniącą kanonadą niewidzialnej artylerii.

Okno pokoju, pełne po brzegi nieba, wzbierało tymi wzlotami bez końca i przelewało się firankami, które całe w płomieniach, dymiąc w ogniu, spływały złotymi cieniami i drganiem słoï powietrznych. Na dywanie leżał ukośny, pałający czworobok, falując blaskiem, i nie mógł oderwać się od podłogi. Ten słup ognisty wzburzał mnie do głębi. Stałem urzeczony, na rozkraczonych nogach i oszczekiwałem go zmienionym głosem, obcymi, twardymi przekleństwami.

Na progu, w sieni, stali skonsternowani, przestraszeni, załamując ręce: krewni, sąsiedzi, wystrojone ciotki. Podchodzili na palcach i odchodzili, zaglądali przez drzwi, pełni ciekawości. A ja krzychałem.

- Widzicie - krzychałem do matki, do brata - zawsze mówiłam wam, że wszystko jest zatamowane, zamurowane nudą, nie wyzwolone. A teraz patrzcie, co za wylew, co za rozkwit wszystkiego, co za błogość...

I płakałem ze szczęścia i z bezsilności.

- Obudźcie się - wołałem - pośpieszcie mi z pomocą! Czy mogę sam jeden podać temu zalewowi, czy mogę ogarnąć ten potop? Jak mam, sam jeden, odpowiedzieć na milion olśniewających pytań, którymi Bóg mnie zalewa?

A gdy milczeli, wołałem w gniewie: - Śpieszcie się, nabierajcie pełne wiadra tej obfitości, gromadźcie zapasy!

Ale nikt mnie nie mógł wyręczyć, stali bezradni i oglądali się za siebie, cofali za plecy sąsiadów.

Wtedy zrozumiałem, co mam czynić, i pełen zapału zacząłem z szaf wyciągać stare foliały, wypisane i rozsypujące się księgi handlowe ojca i rzucałem je na podłogę pod ten słup ognisty, który leżał na powietrzu i pałał. Nie można mi było nastarczyć papieru. Brat i matka przybiegali wciąż z nowymi naręczami starych gazet i dzienników i rzucali je stosami na ziemię. A ja siedziałem wśród tych papierów, oślepiiony blaskiem, z oczami pełnymi eksplozji, rakiet i kolorów, i

rysowałem. Rysowałem w pośpiechu, w panice, na poprzek, na ukos, poprzez zadrukowane i zapisane stronice. Moje kolorowe ołówki latały w natchnieniu przez kolumny nieczytelnych tekstów, biegły w genialnych gryzmołach, w karkołomnych zygzakach, zwięzłając się raptownie w anagramy wizyj, w rebusy świetlistych objawień, i znów rozwiązując się w puste i ślepe błyskawice, szukające tropu natchnienia.

O, te rysunki świetliste, wyrastające jak pod obcą ręką, o, te przejrzyste kolory i cienie! Jakże często jeszcze dziś znajduję je w snach po tylu latach na dnie starych szuflad, lśniące i świeże jak poranek - wilgotne jeszcze pierwszą rosą dnia: figury, krajobrazy, twarze!

O, te błękity mrozące oddech zatchnieniem strachu, o, te zieleń zieleńsze od zdziwienia, o, te preludia i świegoty kolorów dopiero przeczuty, dopiero próbujących się nazwać!

Dlaczego roztrwoiłem je wówczas w beztrosce nadmiaru z tą niepojętą lekkomyślnością? Pozwalałem sąsiadom przerzucać i plądrować te stosy rysunków. Zabierali całe ich pliki. Do jakich domów nie zawędrowały, na jakich śmietnikach nie wałęsały się wówczas! Adela wytapetowała nimi kuchnię, że stała się jasna i kolorowa, jak gdyby w nocy spadł śnieg za oknem.

Było to rysowanie pełne okrucieństwa, zasadzek i napaści. Gdy tak siedziałem napięty jak łuk, nieruchomy i czatujący, a w słońcu dookoła mnie płonęły jaskrawo papiery - wystarczyło, aby rysunek, przygwożdżony mym ołówkiem, uczynił najłżejszy ruch do ucieczki. Wówczas ręka moja, cała w drgawkach nowych odruchów i impulsów, rzucała się nań z wściekłością jak kot i już obca, zdziczała, który chciał się jej wymknąć spod ołówka. I dopiero wtedy odluźniała się od papieru, gdy martwe już i nieruchome zwłoki rozkładały, jak w zielniku, swą kolorową i fantastyczną anatomię na zeszyte.

Było to mordercze polowanie, walka na śmierć i życie. Któż mógł odróżnić w niej atakującego od atakowanego, w tym kłębku parszającym wściekłością, w tym splątaniu pełnym pisku i przerażenia! Bywało, że ręka moja dwa i trzy razy rzucała

się do skoku, ażeby gdzieś na czwartym lub piątym arkuszu dosięgnąć ofiary. Nieraz krzyczała z bólu i przerażenia w kleszczach i szczypcach tych dziwotworów, wijących się pod moim skalpelem.

Z godziny na godzinę coraz tłumniej napływały wizje, tłoczyły się, tworzyły zatory, aż pewnego dnia wszystkie drogi i ścieżki zaroily się i spłynęły pochodami, i kraj cały rogałęzię się wędrówkami, rozbiegł się ciągnącymi defiladami - nieskończonymi pielgrzymkami bestyj i zwierząt.

Jak za dni Noego płynęły te kolorowe pochody, te rzeki sierści i grzyw, te falujące grzbiety i ogony, te łby, potakujące bez końca w takt stąpania.

Mój pokój był granicą i rogatką. Tu zatrzymywały się, tłoczyły, becząc błagalnie. Kręciły się, dreptały w miejscu trwożnie i dziko - garbate i rogate jestestwa, zaszyte we wszystkie kostiumy i zbroje zoologii, i przestraszone same sobą, spłoszone własną maskaradą, patrzyły trwożnymi i zdziwionymi oczami przez otwory swych skór włochatych i myczały żałośnie, jakby zakneblowane pod swymi maskami.

Czy czekały, żebym je nazwał, rowiązał ich zagadkę, której nie rozumiały? Czy pytały mnie o swe imię, ażeby w nie wejść i wypełnić je swoją istotą? Przychodziły dziwne maskary, twory-pytania, twory-propozycje, i musiałem krzyczeć i odpędzać je rękami.

Wycofywały się tyłem, pochylając głowę i patrząc spode łba, i gubiły się same w sobie, wracały, rozwiązując się w bezimienny chaos, w rupieciarnię form. Ile grzbietów poziomych i garbatych przeszło wówczas pod moją ręką, ile łbów przesunęło się pod nią z aksamitną pieśczętą!

Zrozumiałem wówczas, dlaczego zwierzęta mają rogi. Było to - to niezrozumiałe, które nie mogło pomieścić się w ich życiu, kaprys dziki i natrętny, nierozumny i ślepy upór. Jakaś idée fixe, wyrosła poza granice ich istoty, wyżej ponad głowę, i wynurzona nagle w światło, zastygła w materię dotykálną i twardą. Tam przybierała kształt dziki, nieobliczalny i niewiarygodny, zakręcona w fantastyczną arabską niewidoczną dla ich oczu a przerażającą, w nieznaną cyfrę,

pod której grozą żyły. Pojąłem, dlaczego te zwierzęta skłonne były do paniki nierozumnej i dzikiej, do spłoszonego szału: wciągnięte w swój obłąd, nie mogły się wyplątać z gmatwaniny tych rogów, pomiędzy których - pochylając głowę - patrzyły smutno i dziko, jakby szukając przejścia między ich gałęziami. Te rogate zwierzęta dalekie były od wyzwolenia i nosiły ze smutkiem i rezygnacją stygmat swego błędu na głowie.

Ale jeszcze dalsze od światła były koty. Ich doskonałość zatrważała. Zamknięte w precyzji i akuratności swych ciał, nie znały błędu ani odchylenia. Na chwilę schodziły w głąb, na dno swej istoty, i wtedy nieruchomiały w swym miękkim futrze, poważniały groźnie i uroczyście, a oczy ich zakręgały się jak księżycy, chłonąc wzrok w swe leje ogniste. Ale po chwili już, wyrzucone na brzeg, na powierzchnię, ziewały swą nicością rozczarowane i bez złudzeń.

W ich życiu pełnym zamkniętej w sobie gracji nie było miejsca na żadną alternatywę. I znudzone w tym więzieniu doskonałości bez wyjścia, przejęte spleenem, sarkają zmarszczoną wargą pełne bezprzedmiotowego okrucieństwa w krótkiej, pręgami rozszerzonej twarzy. U dołu przemykały chyłkiem kuny, tchórze i lisy, złodzieje wśród zwierząt, stworzenia o złym sumieniu. Dorwały się one podstępem, intrygą, trickiem, swego miejsca w bycie wbrew planowi stworzenia i ścigane nienawiścią, zagrożone, wciąż na straży, wciąż w trwodze o to miejsce - kochały żarliwie swój kradziony, po norach kryjący się żywot, gotowe dać się poszarpać na sztuki w jego obronie.

Wreszcie przeszły wszystkie, i cisza zagościła w moim pokoju. Znow zacząłem rysować, zatopiony w moich szpargałach, które oddychały blaskiem. Okno było otwarte, i na gzymisie okiennym drżały w wiosennym wietrze synogarlice i turkawki. Przechylając głowę, pokazywały okrągłe i szklane oko w profilu, jakby przerażone i pełne lotu. Dni pod koniec stały się miękkie, opalowe i świetliste, to znowu perłowe i pełne zamglonej słodyczy.

Nadeszły święta wielkanocne, i rodzice wyjechali na przeciąg tygodnia do mej zameżnej siostry. Pozostawiono mnie samego w mieszkaniu, na łup mych

inspiracji. Adela przynosiła mi co dzień obiady i śniadania. Nie zauważyłem jej obecności, gdy przystawała na progu odświętnie ubrana, pachnąc wiosną ze swoich tiulów i fularów.

Przez otwarte okno wpływały łagodne powiewy, napelniając pokój refleksami dalekich krajobrazów. Przez chwilę utrzymywały się w powietrzu te nawiane kolory jasnych dali i wnet rozpląwały się, rozwiewały w cień błękitny, w tkliwość i wzruszenie. Powódź obrazów uspokoiła się nieco, wylew wizji złagodniał i uciekł.

Siedziałem na ziemi. Dookoła mnie leżały na podłodze kredki i guziczki farb, boże kolory, lazury dyszące świeżością, zielenie zbłąkane aż na kraniec zdziwienia. I gdy brałem do ręki czerwoną kredkę - w jasny świat szły fanfary szczęśliwej czerwieni, i wszystkie balkony płynęły falami czerwonych chorągwi, i domy ustawiały się wzdłuż ulicy w tryumfalny szpaler. Defilady strażaków miejskich w malinowych uniformach paradowały na jasnych szczęśliwych drogach, i panowie kłaniali się melonikami koloru czereśni. Czereśniowa słodycz, czereśniowy świergot szczygłów napelniał powietrze pełne lawendy i łagodnych blasków.

A gdy sięgałem po błękitną barwę - szedł ulicami przez wszystkie okna odbłask kobaltowej wiosny, otwierały się, dźwięcząc, szyby, jedna za drugą, pełne błękitu i ognia niebieskiego, firanki wstawały jak na alarm, i przeciąg radosny i lekki szedł tym szpalerem wśród falujących muślinów i oleandrów na pustych balkonach, jak gdyby na drugim końcu tej długiej i jasnej alei ktoś zjawił się bardzo daleki i zbliżał się - promienny, poprzedzany przez wieść, przez przecucie, zwiastowany przez loty jaskółek, przez wici świetliste, rozrzucone od mili do mili.

III

W same święta wielkanocne, z końcem marca lub z początkiem kwietnia, wychodził Szłoma, syn Tobiasza, z więzienia, do którego zamykano go na zimę po awanturach i szaleństwach lata i jesieni. Pewnego popołudnia tej wiosny widziałem go przez okno, jak wychodził od fryzjera, który był w jednej osobie balwierzem,

cyrulikiem i chirurgiem miasta, otwierał z dystynkcją, nabytą pod rygiem więziennym, szklane, błyszczące drzwi fryzjersi i schodził z trzech drewnianych schodków, wyświeżony i odmłodzony, z wystrzyżoną dokładnie głową, w przykrótkim surduciku i podciągniętych wysoko kraciastych spodniach, szczupły i młodzieńczy mimo swoich czterdziestu lat.

Plac Św. Trójcy był o tym czasie pusty i czysty. Po roztopach wiosennych i błotach, splukanych później ulewnymi deszczami, pozostał teraz bruk umyty, wysuszony w wielu dniach cichej, dyskretnej pogody, o tych dniach wielkich już i może zbyt obszernych na tę wczesną porę, wydłużonych trochę nad miarę, zwłaszcza wieczorami, kiedy zmierzch przedłużał się bez końca, pusty jeszcze w swej głębi, daremny i jałowy w swym ogromnym oczekiwaniu.

Gdy Szloma zamknął za sobą szklane drzwi fryzjersi, weszło w nie natychmiast niebo, jak we wszystkie małe okna tego piętrowego domu, otwartego ku czystej głębi cienistego nieboskłonu.

Zszedłszy ze schodków, znalazł się całkiem samotny na brzegu wielkiej pustej muszli placu, przez którą przepływał błękit nieba bez słońca.

Ten wielki, czysty plac leżał owego popołudnia jak bania szklana, jak nowy nie zaczęty rok. Szloma stał na jego brzegu całkiem szary i zgaszony, zawałony błękitami, i nie śmiał łamać decyzją tej doskonałej kuli dnia nie zużytego.

Tylko raz w roku, w dniu wyjścia z więzienia, czuł się Szloma tak czystym, nieobciążonym i nowym. Dzień przyjmował go wówczas w siebie umytego z grzechów, odnowionego, pojednanego ze światem, otwierał przed nim z westchnieniem czyste kręgi swych horyzontów, uwieńczone cichą pięknnością.

Nie śpieszył się. Stał na krawędzi dnia i nie śmiał przekroczyć, przekreślić swym drobnym, młodym, lekko utykającym chodem tej łagodnie sklepionej konchy popołudnia.

Przejrzysty cień leżał nad miastem. Milczenie tej trzeciej godziny po południu wydobywało z domów czystą biel kredy i rozkładało ją bezgłośnie, jak talię kart, dookoła placu. Obdzieliwszy go jedną turą, napoczytno już nową, czerpiąc

rezerwy bieli z wilkiej, barokowej fasady Św. Trójcy, która, jak zlatująca z nieba ogromna koszula Boga, pofałdowana w pilastry, ryzality i framugi, rozsadzona patosem wolut i archiwolut, porządkowała na sobie w pośpiechu tę wielką wzburzoną szatę.

Szloma podniósł twarz, wietrząc w powietrzu. Łagodny powiew niósł zapach oleandrów, zapach świątecznych mieszkań i cynamonu. Wtedy kichnął potężnie swym sławnym, potężnym kichnięciem, od którego gołębie na odwachu policji zerwały się przestraszone i wzleciały. Szloma uśmiechnął się do siebie: Bóg dawał znać przez wstrząs jego nozdrzy, że wiosna nastąpiła. Był to znak pewniejszy niż przyłot bocianów, i odtąd dni miały być przetykane tymi detonacjami, które zagubione w szumie miasta, to bliżej, to dalej głosowały jego zdarzenia swym dowcipnym komentarzem.

- Szloma! - zawołałem, stojąc w oknie naszego niskiego piętra.

Szloma dostrzegł mnie, uśmiechnął się swym miłym uśmiechem i zasalutował.

- Jesteśmy teraz sami w całym rynku, ja i ty - rzekłem cicho, gdyż wydęta bania nieba dźwięczała jak beczka.

- Ja i ty - powtórzył ze smutnym uśmiechem - jak pusty jest dziś świat.

- Moglibyśmy podzielić go i nazwać na nowo - taki leży otwarty, bezbronny i niczyj. - W taki dzień podchodzi Mesjasz aż na brzeg horyzontu i patrzy stamtąd na ziemię. I gdy ją tak widzi białą, cichą, z jej błękitami i zamyśleniem, może się zdarzyć, że mu się zgubi w oczach granica, niebieskawe pasma obłoków podłożą się przejściem i sam nie wiedząc, co czyni, zejdzie na ziemię. I ziemia nawet nie zauważy w swej zadumie tego, który zszedł na jej drogi, a ludzie obudzą się z popołudniowej drzemki i nie będą nic pamiętali. Cała historia będzie jak wymazana i będzie jak za prawieków, nim zaczęły się dzieje.

- Czy Adela jest w domu? - zapytał z uśmiechem.

- Nie ma nikogo, wejdź do mnie na chwilę, pokażę ci moje rysunki.

- Jeżeli nie ma nikogo, nie odmówię sobie tej przyjemności. Otwórz mi.

I rozglądając się w bramie na obie strony ruchem złodzieja, wszedł do środka.

IV

- To są kapitalne rysunki - mówił, oddalając je od siebie gestem znawcy. Jego twarz rozjaśniła się refleksami kolorów i światła. Czasami związał dłoń dookoła oka i patrzył przez tę zaimprovizowaną lunetę, ściągając rysy w grymas pełen powagi i znawstwa.

- Można by powiedzieć - rzekł - że świat przeszedł przez twoje ręce, ażeby się odnowić, ażeby zlenić się w nich i złuszczyć jak cudowna jaszczurka. O, czy myślisz, że byłbym kradł i popełniał tysiąc szaleństw, gdyby świat nie był tak bardzo się zużył i podupał, gdyby rzeczy nie były w nim straciły swej pozłoty - dalekiego odbłasku rąk bożych? Cóż można począć w takim świecie? Jak nie zwątpić, jak nie upaść na duchu, gdy wszystko jest zamknięte na głucho, zamurowane nad swoim sensem, i wszędzie tylko stukasz w cegłę, jak w ścianę więzienia? Ach Józefie, powinieneś być wcześniej się urodzić.

Staliśmy w tym na pół ciemnym, głębokim pokoju, wydłużającym się perspektywicznie ku otwartemu oknu na rynek. Stamtąd dochodziły aż do nas fale powietrza w łagodnych pulsach, rozpościerając się ciszą. Każdy przyptyw przynosił nowy jej ładunek zaprawiony kolorami dali, jak gdyby poprzedni już był zużyty i wyczerpany. Ciemny ten pokój żył tylko refleksami dalekich domów za oknem, odbijał ich kolory w swej głębi, jak camera obscura. Przez okno widać było, niby w rurze lunety, gołębie na odwachu policji, napuszone, spacerujące wzdłuż gzymsu attyki. Czasami zrywały się wszystkie razem i zataczały półkole na rynku. Wtedy pokój rozjaśniał się na chwilę od ich otwartych lotek, rozszerzał się odbłaskiem ich dalekiego trzepotu, a potem gasł, gdy opadając, zamykały skrzydła.

- Tobie, Szloma - rzekłem - mogę zdradzić tajemnicę tych rysunków. Już od początku nachodziły mnie wątpliwości, czy jestem naprawdę ich autorem. Czasami wydają mi się mimowolnym plagiatem, czymś, co mi zostało podpowiedziane, podsunięte... Jak gdyby coś obcego posłużyło się mym natchnieniem dla nie

znanych mi celów. Gdyż muszę ci wyznać - dodałem po cichu, patrząc mu oczy - znalazłem Autentyk...

- Autentyk? - zapisał z twarzą rozjaśnioną nagłym blaskiem.

- Tak jest, sam zresztą zobacz - rzekłem, przyklękając nad szufladą komody.

Wyjąłem naprzód jedwabną suknię Adeli, pudełko z wstążkami, jej nowe pantofelki na wysokich obcasach. Zapach pudru czy perfumy rozszedł się w powietrzu. Podniosłem jeszcze kilka książek: na dnie leżał w samej rzeczy długo nie widziany, drogi szpargał i świecił.

- Szloma - rzekłem wzruszony - popatrz, oto leży...

Ale on stał zatopiony w medytacji z pantofelkiem Adeli w ręku i przyglądał mu się z głęboką powagą.

- Tego Bóg nie powiedział - rzekł - a jednak, jak mnie to głęboko przekonywa, przypiera do ściany, odbiera ostatni argument. Te linie są nieodparte, wstrząsająco trafne, ostateczne i uderzają, jak błyskawica, w samo sedno rzeczy. Czym zasłonisz się, co im przeciwstawisz, gdy sam już jesteś przekupiony, przegłosowany i zdradzony przez najwierniejszych sprzymierzeńców? Sześć dni stworzenia było bożych i jasných. Ale siódmego dnia uczuł On obcy wątek pod rękami i, przerażony, odjął ręce od świata, choć jego zapał twórczy obliczony był na wiele jeszcze dni i nocy. O, Józefie, strzeż się siódmego dnia...

I podnosząc ze zgrozą smukły pantofelek Adeli, mówił jakby urzeczony połyskliwą, ironiczną wymową tej pustejszej łuski z laku: - Czy rozumiesz potworny cynizm tego symbolu na nodze kobiety, prowokację jej rozwiązłego stąpania na tych wymyślnych obcasach? Jakże mógłbym cię pozostawić pod władzą tego symbolu. Broń Boże, bym to miał uczynić...

Mówiąc to, wsuwał wprawnymi ruchami pantofelki, suknię, korale Adeli w zanadrze.

- Co robisz, Szloma? - rzekłem w osłupieniu.

Ale on szybko odalał się ku drzwiom, utykając lekko w swych przykrótkich, kraciastych spodniach. W drzwiach odwrócił raz jeszcze szarą, całkiem niewyraźną twarz i podniósł rękę do ust ruchem uspokajającym. Już był za drzwiami.

Wiosna

I

Oto jest historia pewnej wiosny, wiosny, która była prawdziwsza, bardziej olśniewająca i jaskrawsza od innych wiosen, wiosna, która po prostu wzięła serio swój tekst dosłowny, ten manifest natchniony, pisany najjaśniejszą, świąteczną czerwienią, czerwienią laku pocztowego i kalendarza, czerwienią ołówka kolorowego i czerwienią entuzjazmu, amarantem szczęśliwych telegramów stamtąd...

Każda wiosna tak się zaczyna, od tych horoskopów ogromnych i oszałamiających, nie na miarę jednej pory roku, w każdej - żeby to raz powiedzieć - jest to wszystko: nieskończone pochody i manifestacje, rewolucje i barykady, przez każdą przechodzi w pewnej chwili ten gorący wicher zapamiętania, ta bezgraniczność smutku i upojenia szukająca nadaremnie adekwatu w rzeczywistości.

Ale potem te przesady i te kulminacje, te spiętrzenia i te ekstazy wstępują w kwitnienie, wchodzą całe w bujanie chłodnego listowia, w wzburzone nocą wiosenne ogrody i szum je pochłania. Tak wiosny sprzeniewierzają się sobie - jeden za drugą, pogrążone w zdyszany szelest kwitnących parków, w ich wezbrania i przyływy - zapominają o swych przysięgach, gubią liść po liściu ze swego testamentu.

Ta jedna wiosna miała odwagę wytrwać, pozostać wierną, dotrzymać wszystkiego. Po tylu nieudanych próbach, wzlotach, inkantatach chciała się

wreszcie naprawdę ukonstytuować, wybuchnąć na świat wiosną generalną i już ostateczną.

Ten wicher zdarzeń, ten huragan wypadków: szczęśliwy zamach stanu, te dni patetyczne, górne i tryumfalne! Chciałbym, by krok tej historii pochwycił ich takt porywający i natchniony, przejął bohaterski ton tej epopei, zrównał się w marszu z rytmem tej wiosennej marsylianki!

Tak nieobjęty jest horoskop wiosny! Kto może jej wziąć za złe, że uczy się ona go czytać na raz na sto sposobów, kombinować na oślep, sylabizować we wszystkich kierunkach, szczęśliwa, gdy jej się uda coś odcyfrować wśród mylącego zgadywania ptaków. Czyta ona ten tekst w przód i na wspak, gubiąc sens i podejmując go na nowo, we wszystkich wersjach, w tysiącnych alternatywach, trelach i świergotach. Bo tekst wiosny znaczony jest cały w domyślnikach, w niedomówieniach, w elipsach, wykropkowany bez liter w pustym błękitcie, i w wolne luki między sylabami ptaki wstawiają kapryśnie swe domysły i swe odgadnienia. Dlatego będzie ta historia, wzorem tego tekstu, ciągnęła się na wielu rozgałęzionych torach i cała przetykana będzie wiosennymi myślnikami, westchnieniami i wielokropkami.

II

W te noce przedwiosenne, dzikie i rozprzestrzenione, nakryte ogromnymi niebami, jeszcze surowymi i bez woni, prowadzącymi wśród wertepów i rozłogów powietrznych w gwiazdne bezdroża - ojciec zabierał mnie ze sobą na kolację do małej restauracji ogrodowej zamkniętej między tylnymi murami ostatnich domów rynku.

Szliśmy w mokrym świetle latarni, brzęczących w podmuchach wiatru, na przełaj przez wielki sklepiony plac rynku, samotni, przywaleni ogromem labiryntów powietrznych, zagubieni i zdezorientowani w pustych przestrzeniach atmosfery. Ojciec podnosił do nieba twarz oblaną nikłą poświatą i patrzył z gorzką troską w ten

zwir gwiazdny rozsiany po mieliznach szeroko rozgałęzionych i rozlanych wirów. Nieregularne ich i nieprzeliczone zagęszczenia nie porządkowały się jeszcze w żadne konstelacje, żadne figury nie opanowywały tych rozległych i jałowych rozlewisk. Smutek pustkowi gwiazdnych ciążył nad miastem, latarnie przetykały dołem noc wiązkami promieni, wiążąc je obojętnie od węzła do węzła. Pod tymi latarniami przechodnie zatrzymywali się po dwóch, po trzech w kręgu światła, które stwarzało dookoła nich przelotnie złudzenie pokoju w świetle lampy stołowej - w nocy obojętnej i nieprzytulnej, rozpadającej się górą w nieregularne przestrzenie, w dzikie krajobrazy powietrzne, wystrzępione przez uderzenia wiatru, żalosne i bezdomne. Rozmowy nie kleiły się, z oczyma w głębokim cieniu kapeluszy uśmiechali się, słuchając w zamyśleniu dalekiego szumu gwiazd, którym rosły jak na drożdżach przestrzenie tej nocy.

W ogrodzie restauracyjnym ścieżki były wyżwirowane. Dwie latarnie na słupach syczały w zamyśleniu. Panowie w czarnych tużurkach siedzieli, po dwóch, po trzech, zgarbieni nad biało nakrytymi stolikami, zapatrzeni bezmyślnie w lśniące talerze. Siedząc tak, obliczali w duchu ciągi i posunięcia na wielkiej czarnej szachownicy nieba, widzieli w duchu wśród gwiazd przeskakujące konie i stracone figury i konstelacje wstępujące natychmiast na ich miejsce.

Muzykanci na estradzie maczali wąsy w kuflach gorzkiego piwa, milczeli tępo, zapatrzeni w głąb siebie. Ich instrumenty, skrzypce i wiolonczele o szlachetnych konturach leżały porzucone na boku pod bezgłośnie szumiącą ulewą gwiazd. Czasami brali je do rąk i przymierzali na próbę, stroili jękliwie na ton swych piersi, którego próbowali, chrząkając. Potem znów je odkładali, jak gdyby jeszcze niedojrzałe i nie na miarę tej nocy, która płynęła obojętnie dalej. Wtedy w ciszy i odpływie myśli, podczas gdy widelce i noże cicho pobrzękiwały nad biało nakrytymi stołami, wstawały nagle skrzypce same, przedwcześnie dorosłe i pełnoletnie, dopiero co jeszcze tak jęklive i niepewne, stały teraz wymowne, smukłe i wcięte w talii i zdawały sprawę ze swego pełnomocnictwa, podejmowały odroczoną na chwilę sprawę ludzką i toczyły dalej ten przegrany proces przed

obojętnym trybunałem gwiazd, wśród których wodnym drukiem rysowały się esownice i profile instrumentów, fragmentaryczne klucze, nie dokończone liry i łabędzie, imitacyjny, bezmyślny komentarz gwiazdny na marginesie muzyki.

Pan fotograf, który już od pewnego czasu rzucał ku nam znad sąsiedniego stołu porozumiewawcze spojrzenia, przysiadł się wreszcie do nas, przynosząc swój kufel piwa ze stołu na stół. Uśmiechał się wieloznacznie, walczył z własnymi myślami, przytykał palcami, gubiąc wciąż na nowo nieuchwytną pointę sytuacji. Czuliśmy od początku jej paradoksalność. To zaimprovizowane obozowisko restauracyjne pod auspicjami dalekich gwiazd bankrutowało bez ratunku, załamywało się nędznie, nie mogąc sprostać rosnącym bez miary pretensjom nocy. Cóż mogliśmy przeciwstawić tym bezdennym pustkowiom? Noc przekreślała tę ludzką imprezę, której nadaremnie próbowały bronić skrzypce, zajmowała tę lukę, zaciągała swe gwiazdozbiory na odzyskane pozycje.

Widzieliśmy rozprzegające się obozowisko stołów, pobojuwisko porzucanych serwet i obrusów, które noc przekraczała w tryumfie, świetlista i nieprzeliczona. Podnieśliśmy się i my, podczas gdy wyprzedzając ciała, myśl nasza już biegła od dawna za gwarnym turkotem jej wozów, za dalekim, szeroko rozsypanym turkotem gwiazdnych tych wielkich i jasnych szlaków.

Tak szliśmy pod raketami jej gwiazd, antycypując w duchu przymkniętymi oczyma jej coraz wyższe i wyższe olśnienia. Ach, ten cynizm tryumfującej nocy! Objąwszy w posiadanie całe niebo, grała ona teraz w domino na jego przestrzeniach, opieszale i bez rachuby, zagarniając obojętnie milionowe wygrane. Potem, znudzona, kreśliła na pobojuwisku odwróconych tabliczek przezroczyście gryzmoły, uśmiechnięte twarze, wciąż jeden i ten sam uśmiech w tysiącnych powtórzeniach, który za chwilę przechodził - już wieczny - do gwiazd, rozsypywał się w gwiazdną obojętność.

Wstąpiliśmy po drodze do cukierni na ciastka. Ledwie weszliśmy przez dźwięczne, szklane drzwi do tego białego, lukrowanego wnętrza, pełnego lśniących cukrów - noc stanęła od razu wszystkimi gwiazdami, baczna nagle i uważna,

ciekawa czy jej się nie wymkniemy. Czekala na nas cały czas cierpliwie, stróżując pod drzwiami, świecąc przez szyby z wysoka nieruchomymi gwiazdami, podczas gdy z głębokim namysłem wybieraliśmy ciastka. Wtedy ujrzałem po raz pierwszy Biankę. Stała profilem przy ladzie z guwernantką, w białej sukience, smukła i kaligraficzna, jakby wyszła z Zodiaku. Nie odwracała się, stojąc w wzorowym kontrapoście młodych dziewcząt, i jadła ciastko z kremem. Nie widziałem jej wyraźnie, cały jeszcze poprzekreślany gzygzakami linii gwiazdnych. Tak po raz pierwszy skrzyżowały się nasze horoskopy bardzo jeszcze zagmatwany. Spotkały się i rozwiązały obojętnie. Nie zrozumieliśmy jeszcze naszego losu w tym wczesnym gwiazdnym aspekcie i wyszliśmy obojętnie, dźwięcząc szklanymi drzwiami.

Wracaliśmy potem okrężną drogą przez odległe przedmieście. Domy stawały się coraz niższe i rzadsze, wreszcie rozstały się przed nami ostatnie i wkroczyliśmy w inny klimat. Weszliśmy nagle w łagodną wiosnę, w ciepłą noc srebrzącą się po błocie młodym, dopiero co weszłym, fiołkowym księżycem. Ta noc przedwiosenna awansowała w pośpiesznym tempie, uprzedzała gorączkowo swe późne fazy. Powietrze, zaprawione dopiero co jeszcze zwykłą cierpkością tej pory, stało się nagle słodkie i mdłe, pełne zapachu deszczówki, wilgotnego ładu i pierwszych śnieżyczek zakwitających lunatycznie w białym świetle magicznym. I aż dziw, że pod tym szczodrym księżycem nie zarośla się noc galareta żabią na srebrnych błotach, nie wylęgała się ikra, nie rozgadała się tysiącem plotkujących pyszczków na tych zwirowiskach nadrzecznych, przeciekających wszystkimi porami lśniąca siatką słodkiej wody. I trzeba było dopowiedzieć, dorozumieć się tego rechotu w tej nocy gwarnej i źródlanej i pełnej dreszczów podskórnych, ażeby, na chwilę wstrzymana, ruszyła dalej i księżyc kulminował coraz bielszy i bielszy, jak gdyby przelewał swą białość z czary do czary, coraz wyższy i coraz promienniejszy, coraz bardziej magiczny i transcendentalny.

Tak szliśmy pod przybierającą grawitacją księżyca. Ojciec i pan fotograf wzięli mnie między siebie, gdyż padałem z nóg z wielkiej senności. Nasze kroki chrzęściły

w mokrym piasku. Dawno już spałem, idąc, i miałem już pod powiekami całą fosforescencję nieba pełną świetlistych znaków, sygnałów i gwiazdnych fenomenów, gdy wreszcie stanęliśmy w szczerym polu. Ojciec ułożył mnie na płaszczu rozpostartym na ziemi. Z zamkniętymi oczami widziałem jak słońce, księżyc i jedenaście gwiazd ustawiło się w paradzie na niebie, defilując przede mną. - Brawo, Józefie - zawołał ojciec z uznaniem i klasnął w dłonie. Był to oczywisty plagiat popełniony na innym Józefie, zastosowany do innych zgoła okoliczności. Nikt nie robił mi z tego powodu zarzutu. Mój ojciec Jakub kiwał głową i cmokał językiem, a pan fotograf rozstawił swój trójnóg na piasku, rozsunął miech aparatu jak harmonię i pogrążył się cały w fałdach czarnego sukna: fotografował to osobliwe zjawisko, ten lśniący horoskop na niebie, podczas gdy ja z głową pływającą w blasku leżałem olśniony na płaszczu i podtrzymywałem bezwładnie ten sen do ekspozycji.

III

Dni stały się długie, jasne i rozległe, za rozległe niemal na swą treść jeszcze ubogą i nijaką. Były to dnie na wyrost, dnie pełne czekania, przybladłe z nudy i niecierpliwości. Jasne tchnienie, lśniący wiatr szedł przez pustkę tych dni, jeszcze nie zmacony wyziewami ogrodów nagich i pełnych słońca, wydmuchiwał do czysta ulice i stały długie i jasne, odświeżone zamiecione, jak gdyby czekały na czyjeś dalekie jeszcze i niewiadome przyjście. Słońce zmierzało powoli do punktów ekwinokcjalnych, zwalniało w biegu, dochodziło do pozycji wzorowy, w której stanąć miało nieruchomo w idealnej równowadze, wypuszczając strumienie ognia, porcja za porcją, na pustą i chłonącą ziemię.

Jasny i nieskończony przeciąg wiał przez całą szerokość horyzontu, ustawiał szpalery i aleje pod czyste linie perspektywy, wygładzał się w wielkim i pustym wianiu i stawał wreszcie zatchniony, ogromny i lustrzany, jak gdyby chciał w swym wszechobjmującym zwierciadle zamknąć idealny obraz miasta, fatamorganę

przedłużoną w głąb jego świetlanej wklęsłości. Wtedy świat nieruchomiał na chwilę, stawał bez tchu, olśniony, chcąc wejść cały w ten złudny obraz, w tę prowizoryczną wieczność, którą mu otwierano. Ale szczęśliwa oferta mijała, wiatr łamał swe zwierciadło i czas brał nas znów w swe posiadanie.

Nadeszły ferie wielkanocne, długie i nieprzejrzone. Wolni od szkoły wałęsaliśmy się po mieście bez celu i potrzeby, nie umieliśmy korzystać ze swobody. Była to wolność całkiem pusta, nieokreślona i bez zastosowania. Sami jeszcze bez definicji, oczekiwaliśmy jej od czasu, który nie umiał jej znaleźć, gubiąc się wśród tysiąca wybiegów.

Przed kawiarnią ustawiono już stoliki na bruku. Panie siedziały przy nich w jasnych kolorowych sukienkach i połykały wiatr małymi łykami, jak lody. Spódniczki furkotały, wiatr kąsał się od dołu, jak mały rozwścieczony piesek, panie dostawały wypieków, paliły je twarze od suchego wiatru i pierzchły wargi. Jeszcze trwał antrakt i wielka nuda antraktu, świat zbliżał się powoli i z tremą do jakiejś granicy, dobijał za wcześnie do jakiejś mety i czekał.

Mieliśmy w tych dniach wszyscy wilczy apetyt. Biegliśmy wysuszeni wiatrem do domu, ażeby spożywać w tępych zamyśleniu ogromne kawały chleba z masłem, kupowaliśmy na ulicy wielkie, trzeszczące od świeżości obwarzanki, siedzieliśmy wszyscy rzędem w rozległej sieni kamienicy w rynku - pustej i sklepionej - bez jednej myśli w głowie. Przez niskie arkady widać było biały i czysty plac rynkowy. Beczki po winie stały rzędem pod ścianą i pachniały. Siedzieliśmy na długiej ladzie, na której w dnie targowe sprzedawano kolorowe chustki chłopskie, i bębnieliśmy nogami w deski z bezradność i nudy.

Nagle Rudolf mając usta zapchane obwarzankami wyjął z zanadru markownik i rozwinął go przede mną.

IV

Zrozumiałem wtedy dlaczego ta wiosna była dotychczas tak pusta, wklęśła i zatchnięta. Nie wiedząc o tym, uciszała się w sobie, milkła, cofała się w głąb - robiła miejsce, otwierała się cała w czystą przestrzeń, pusty błękit bez mniemania i bez definicji - zdziwiona naga forma dla przyjęcia niewiadomej treści. Stąd ta błękitna, jakby ze snu zbudzona neutralność, ta wielka i jakby obojętna gotowość na wszystko. Ta wiosna trzymała się cała w pogotowiu - bezludna i obszerna, stawiała się cała do dyspozycji bez tchu i bez pamięci - czekała jednym słowem na objawienie. Któż mógł przewidzieć, że wyjdzie ono całkiem gotowe, w pełnym rynsztunku i olśniewające - z markownika Rudolfa:

Były to przedziwne skróty i formuły, recepty na cywilizacje, poręczne amulety, w których można było ująć między dwa place esencję klimatów i prowincyj. Były to przekazy na imperia i republiki, na archipelagi i kontynenty. Cóż więcej mogli osiąść cesarze i uzurpatorowie, zdobywcy i dyktatorzy? Poznałem nagle słodycz władzy nad ziemiami, kolec tego niedosytu, który tylko panowaniem ukoić można. Z Aleksandrem Macedońskim zapragnąłem świata całego. I ani o piędź ziemi mniej niż świata.

V

Ciemny, żarliwy, pełen zapiekłej miłości odbierałem defiladę stworzenia, maszerujące kraje, lśniące pochody, które widziałem w interwałach, poprzez purpurowe zaćmienia, ogłuszony od uderzeń krwi, bijącej do serca w takt tego uniwersalnego marsza wszystkich narodów. Rudolf przepuszczał przed moimi oczyma te bataliony i pułki, odprawiał paradę, pełen gorliwości i zaaferowania. On, właściciel tego albumu, degradował się dobrowolnie jakby do roli adiutanta, składał raport uroczyście, pełen przejęcia, jak przysięgę, zaślepiony i zdezorientowany w

swej roli niejasnej i pełnej dwuznaczności. W końcu w uniesieniu, w napływie jakiejś zapamiętałej wielkoduszności przypiął mi, jak order do piersi - różową Tasmanię, palającą jak maj, i Hajdarabad mrowiący się cygańskim bełkotem splątanych alfabetów.

VI

Wtedy to miało miejsce to objawienie, ta nagle ukazana wizja rozplomienionej piękności świata, wtedy to przyszła ta wieść szczęśliwa, posłanie tajemne, ta misja specjalna o nieobjętych możliwościach bytu. Otworzyły się na oścież horyzonty jaskrawe, srogie i zapierające oddech, świat drżał i migotał w swych przegubach, przechylał się niebezpiecznie, grożąc wyłamaniem się z wszystkich miar i reguł.

Czym jest dla ciebie, drogi czytelniku, marka pocztowa? Czym jest ten profil Franciszka Józefa I z łysiną uwieńczoną wieńcem wawrzynu? Czy nie jest on symbolem codzienności, zdeterminowaniem wszystkich możliwości, rękojmią nieprzekraczalnych granic, w których już raz na zawsze świat jest zamknięty?

Świat był naówczas objęty ze wszech stron Franciszkiem Józefem I i nie było wyjścia poza niego. Na wszystkich horyzontach wyrastał, zza wszystkich węglów wynurzał się ten profil wszechobecny i nieunikniony, zamykał świat na klucz, jak więzienie. I oto, gdyśmy już stracili nadzieję, pełni gorzkiej rezygnacji, pogodzili się wewnętrznie z jednoznacznością świata, z tą ciasną niezmiennością, której potężnym gwarantem był Franciszek Józef I - wtedy znenacka, jak rzecz nieważną otworzyłeś przede mną ten markownik, o Boże, pozwoliłeś rzucić mimochodem spojrzenie w tę księgę łuszczącą się blaskiem, w markownik strącający swe szaty, stronica za stronica, coraz jaskrawszy i coraz przeraźliwszy... Któż weźmie mi za złe, że stałem wówczas olśniony, bezsilny ze wzruszenia, a z oczu przepelnionych blaskiem lały mi się łzy. Co za olśniewający relatywizm, co za czyn kopernikański, co za płynność wszystkich kategorii i pojęć! Więc tyle dałeś sposobów istnienia, o Boże, więc taki Twój świat jest nieprzeliczony! To jest więcej niż w najśmielszych

marzeniach roilem. Więc prawdą jest ta wczesna antycypacja duszy, która wbrew oczywistości upierała się przy tym, że świat jest nieprzeliczony!

VII

Świat był naówczas ograniczony Franciszkiem Józefem I. Na każdej marce pocztowej, na każdej monecie i na każdym stemplu stwierdzał jego wizerunek niezmiennosc świata, niewzruszony dogmat jego jednoznaczności. Taki jest świat i nie masz innych światów prócz tego - głosiła pieczęć z cesarsko-królewskim starcem. Wszystko inne jest urojeniem, dziką pretensją i uzurpacją. Na wszystkim położył się Franciszek Józef I i zahamował świat w jego wzroście.

Skłaniamy się z głębi naszej istoty do prawomyślności, drogi czytelniku. Lojalność naszej układnej natury nie jest nieczuła na urok autorytetu. Franciszek Józef I był najwyższym autorytetem. Jeżeli ten autorytatywny starzec rzucał całą swą powagę na szalę tej prawdy - nie było rady, trzeba było zrezygnować z urojeń duszy, z żarliwych jej antycypacji - zaaranżować się, jak się da, w tym jedynie możliwym świecie, bez złudzeń i bez romantyki - i zapomnieć.

Ale gdy już więzienie zamyka się nieodwołalnie, gdy ostatni otwór jest zamurowany, gdy wszystko sprzysięgło się, ażeby cię przemilczeć, o Boże, gdy Franciszek Józef I zatarasował, zalepił ostatnią szparę, ażeby cię nie dojrzano, wtedy powstałeś w szumiącym płaszczu mórz i kontynentów i kłam mu zadałeś. Ty, Boże, wzięłeś wtedy na siebie odium herezji i wybuchnąłeś na świat tym ogromnym kolorowym i wspaniałym bluźnierstwem. O herezjarcho wspaniały! Uderzyłeś wtedy we mnie tą płonąca księgą, eksplodowałeś z kieszeni Rudolfa markownikiem. Nie znałem jeszcze wówczas trójkątnego kształtu markownika. Zamieniałem go w mym zaślepieniu z papierowym pistoletem, z którego strzelaliśmy w szkole pod ławką ku utrapieniu profesorów. O, jakże wystrześliłeś z niego, o Boże! To była Twoja żarliwa tyrada, to była płomienna i świetna filipika

Twoja przeciw Francizkowi Józefowi I i jego państwu prozy, to była prawdziwsza księga blasku!

Otworzyłem ją, i zajaśniało przede mną kolorami światów, wiatrem nieobjętych przestrzeni, panoramą wirujących horyzontów. Ty szedłeś przez nią, karta za karta, ciągnąc za sobą ten tren utkany ze wszystkich stref i klimatów. Kanada, Honduras, Nicaragua, Abrakadabra, Hiporabundia... Zrozumiałem cię, o Boże. To były wszystko wybiegi Twojego bogactwa, to były pierwsze lepsze słowa, które Ci się nawinęły. Sięgnąłeś ręką do kieszeni i pokazałeś mi, jak garść guzików, rojące się w Tobie możliwości. Tobie nie chodziło o ścisłość, mówiłeś, co Ci ślina na język przyniosła. Mogłeś tak samo powiedzieć: Panfribas i Haleliwa, i powietrze załopotaloby wśród palm papugami do potęgi, a niebo, jak ogromna, stokrotna, szafirowa róża, rozdmuchana do dna - ukazałoby olśniewające sedno - oko Twoje pawiookie, urzęsione i przeraźliwe, i zamigotałoby jaskrawym rdzeniem Twej mądrości, załśniłoby nad-kolorem, zawiąłoby nad-aromatem. Ty chciałeś mnie olśnić, o Boże, pochwalić się, skokietować mnie, bo i Ty masz chwilę próżności, kiedy się sam sobą zachwycasz. O jakże kocham te chwile!

Jakże pograżony zostałeś, Franciszku Józefie I i twoja ewangelia prozy! Nadaremnie szukały cię moje oczy. Na koniec znalazłem cię. Byłeś także w tym tłumie, lecz jakże mały, zdetronizowany i szary. Maszerowałeś z innymi w prochu gościńca tuż za Ameryką Południową, a przed Australią, i śpiewałeś z innymi: Hosanna!

VIII

Zostałem adeptem nowej ewangelii. Zaprzyjaźniłem się z Rudolfem. Podziwiałem go, przeczuwając niejasno, że jest on tylko narzędziem, że księga dla kogo innego jest przeznaczona. W istocie on zdawał się być raczej jej stróżem. Katalogował, przyklepał, odklepał, chował na klucz do szafy. W gruncie rzeczy był

smutny, jak ten, który wiedział, że jego będzie ubywać, podczas gdy ja przybieraćą będę. Był jak ten, który przyszedł prostować ścieżki Pańskie.

IX

Miałem wiele powodów do przyjęcia, że księga ta była dla mnie przeznaczona. Wiele znaków wskazywało na to, że do mnie zwracała się ona jako misja specjalna, posłanie i poruczenie osobiste. Poznałem to już po tym, że nikt nie czuł się jej właścicielem. Nawet Rudolf, który ją raczej obsługiwał. Była mu w gruncie rzeczy obcą. Był on jak niechętny i leniwy sługa w pańszczyźnie obowiązku. Niekiedy zazdrość zalewała mu serce goryczą. Buntował się wewnętrznie przeciwko swej roli klucznika skarbu, który do niego nie należał. Patrzył z zazdrością na refleks dalekich światów wędrujący cichą gamą kolorów po mojej twarzy. Dopiero odbity od mego oblicza, dochodził go daleki odbłask tych kart, w których dusza jego nie miała udziału.

X

Widziałem raz prestidigitatora. Stał on na estradzie szczupły, ze wszech stron widoczny, i demonstrował swój cylinder, ukazując wszystkim puste jego i białe dno. W ten sposób zabezpieczywszy swą sztukę ponad wszelką wątpliwość przed podejrzeniem oszukańczych manipulacji, zakreślił pałeczką w powietrzu splątany swój znak magiczny i natychmiast zaczął z przesadną precyzją i naocznością wywlekać laseczką z cylindra wstążki papierowe, kolorowe wstążki, łokciami, sążniami, na koniec kilometrami. Pokój napępiał się tą kolorową szeleszczącą masą, stawał się jasny od tego stokrotnego rozmnożenia, od spienionej i lekkiej bibułki, od świetlanego spiętrzenia, a on nie przestawał wywlekać tego nie kończącego się wątka, mimo przerażonych głosów, pełnych zachwyconego protestu, okrzyków ekstazy, spazmatycznych płaczów, aż w końcu stawało się

jasne, jak na dłoni, że go to nic nie kosztuje, że czerpie tę obfitość nie z własnych zasobów, że mu po prostu otworzyły się źródła nadziemskie, nie podług ludzkich miar i rachub.

Ktoś wówczas, predestynowany do recepcji głębszego sensu tej demonstracji, odchodził do domu zamyślony i olśniony wewnątrz, przeniknięty do głębi prawdą, która weń weszła: Bóg jest nieprzeliczony...

Noc Lipcowa

Noce letnie poznałem po raz pierwszy w roku mej matury, podczas wakacyj. Dom nasz, przez który dzień cały przewiewały poprzez otwarte okna powiewy, szumy, połyski gorących dni letnich, zamieszkał nowy lokator, maleńkie, dąsające się, kwilące stworzonko, synek mej siostry. Sprowadził on na nasz dom pewien powrót do stosunków prymitywnych, cofnął rozwój socjologiczny do koczowniczej i haremowej atmosfery matriarchatu z obozowiskiem pościeli, pieluszek, bielizny wiecznie pranej i suszonej, z niedbalstwem toalety kobiecej dążącej do obfitych obnażeń o charakterze wegetatywnie niewinnym, z kwaskawym zapachem niemowlęctwa i piersi mlekiem nabrzmiąłych.

Siostra po ciężkim połogu wyjechała do kąpiel, szwagier pojawiał się tylko w porach posiłków, a rodzice przebywali do późnej nocy w sklepie. Nad domem roztoczyła swe panowanie mamka dzieciątka, której ekspansywna kobiecość zwielokrotniała się jeszcze i czerpała sankcję ze swej roli matki-żywicielki. W majestacie tego dostojęństwa wyciskała ona swym szerokim i ważkim istnieniem piętno gynokracji na całym domu, będącej zarazem przewagą sytej i bujnej cielesności rozłożonej w mądrym stopniowaniu między nią samą i dwoje dziewcząt służebnych, którym każda czynność pozwalała rozwinąć, jak pawi wachlarz, całą skalę samowystarczalnej kobiecości. Na ciche kwitnienie i dojrzewanie ogrodu pełnego listnych szelestów, srebrnych lśnień i cienistych zamyśleń - odpowiadał nasz dom aromatem kobiecości i macierzyństwa unoszącym się nad białą bielizną i kwitnącym mięsem i gdy o straszliwie jaskrawej godzinie południa podnosiły się w przerażeniu wszystkie firanki u okien otwartych na przestrzał i wszystkie pieluszki rozpięte na sznurach wstawały lśniącym szpalerem - płynęły przez ten biały alarm fularów i płócien na wskroś pierzaste nasiona, pyłki, zgubione płatki i ogród z

przepływem swych światel i cieni, z wędrówką szumów i zamyśleń szedł wolno przez pokój, jak gdyby o tej godzinie Pana uniosły się wszystkie przegrody i ściany i przez świat cały przechodził w odpływie myśli i uczucia dreszcz wszechobejmującej jedności.

Wieczory tego lata spędzałem w kinoteatrze miasteczka. Opuszczałem go po ostatnim przedstawieniu.

Z czerności ściany kinowej, rozdartej popłochem latających światel i cieni, wchodziło się do cichego, jasnego westybulu, jak z bezmiaru nocy burzliwej do zacisznej gospody.

Po fantastycznej gonitwie po wertepach filmu uspokajało się zgonione serce po ekscesach ekranu w tej poczekalni jasnej, zamkniętej ścianami od naporu wielkiej patetycznej nocy, w tej przystani bezpiecznej, gdzie czas ustał od dawna, a żarówki wypuszczały nadaremnie jałowe światło, fala po fali, w rytmie raz na zawsze ustalonym przez głuchy tupot motoru, od którego lekko drżała budka kasjerki.

Ten westybul, zanurzony w nudę późnych godzin jak poczekalnie kolejowe dawno po odejściu pociągów, zdawał się chwilami ostatecznym tłem bytu, tym, co pozostanie, gdy przeminą wszystkie zdarzenia, gdy wyczerpie się zgiełk wielości. Na wielkim kolorowym afiszu Asta Nielsen ślaniała się już na zawsze z czarnym stygmatem śmierci na czole, raz na zawsze usta jej były otwarte w ostanim krzyku, a oczy wyteżone nadludzko i ostatecznie piękne.

Kasjerka dawno powędrowała do domu. Krzątała się teraz zapewne w swym pokoiku koło rozścielonego łóżka, które czekało na nią jak łódka, by unieść ją między czarne laguny snu, w zawikłania sennych przygód i awantur. Ta, co siedziała w budce, to tylko, powłoka jej, fantom złudny patrzący znużonymi, jaskrawo malowanymi oczyma w pustkę światła, trzepocący bezmyślnie rzęsami dla strącenia złotego pyłu senności, sypiącego się bez końca z lamp elektrycznych. Czasem uśmiechała się blado do sierżanta straży ogniowej, który sam dawno opuszczony przez swą realność stał oparty o ścianę, na zawsze nieruchomy w swym lśniącem kasku, w jałowej świetności epoletów, sznurów srebrnych i medali. Z

daleka brzęczały w rytmie motoru szyby szklanych drzwi prowadzących w późną noc lipcową, ale refleks elektrycznego pająka oślepił szkło, negował noc, latał, jak mógł, złudzenie bezpiecznej przystani nie zagrożonej żywiołem ogromnej nocy. W końcu przecież czar poczekalni musiał prysnąć, drzwi szklane otwierały się, czerwona portiera wzbierała tchem nocy, która nagle stawała się wszystkim.

Czy czujecie tajemny, głęboki sens tej przygody, gdy wąty i blady maturzysta wychodzi przez szklane drzwi z bezpiecznej przystani sam jeden w bezmiar nocy lipcowej? Czy przebrnie kiedyś te czarne moczary, trzęsawiska i przepaście nieskończonej nocy, czy wyląduje jakiegoś poranku w bezpiecznym porcie? Ile dziesiątek lat trwać będzie ta czarna odyseja?

Nikt jeszcze nie napisał topografii nocy lipcowej. W geografii wewnętrznego kosmosu te karty są nie zapisane.

Noc lipcowa! Z czym by ją porównać, jak opisać? Czy porównam ją do wnętrza ogromnej czarnej róży nakrywającej nas snem stokrotnym tysiąca aksamitnych płatków? Wiatr nocny rozdmuchuje do głębi jej puszystość i na dnie wonnym dosięga nas spojrzenie gwiazd.

Czy porównam ją do czarnego firmamentu naszych przymkniętych powiek, pełnego wędrujących pyłów, białego maku gwiazd, rakiet i meteorów?

A może porównać ją do długiego jak świat, nocnego pociągu jadącego nieskończonym czarnym tunelem? Iść przez noc lipcową, to przedzierać się z trudem z wagonu do wagonu, pomiędzy sennymi pasażerami, wśród ciasnych korytarzy, dusznych przedziałów i krzyżujących się przeciągów.

Noc lipcowa! Tajemny fluid mroku, żywa, czujna i ruchliwa materia ciemności, nieustannie kształtująca coś z chaosu i każdy kształt natychmiast zarzucająca! Budulec czarny piętrzący dookoła sennego wędrowca pieczary, sklepienia, wnęki i nyże! Jak natrętny gaduła towarzyszy ona samotnemu wędrowcowi, zamykając go w kręgu swych widziadeł, niezmordowana w wymyślaniu, bredzeniu, fantazjowaniu - halucynując przed nim gwiazdne dale, białe drogi mleczne, labirynty nieskończonych koloseów i forów. Powietrze nocy, ten czarny Proteusz formujący

dla zabawy aksamitne zgęszczenia, pasma jaśminowej woni, kaskady ozonu, nagle bezpowietrzne głusze rosnące jak czarne banie w nieskończoność, potworne winogrona ciemności, wezbrane ciemnym sokiem. Przepycham się wśród tych ciasnych framug, pochylam głowę pod te łuki i sklepienia nisko nawisłe i oto nagle sufit urywa się, z gwiazdnym westchnieniem otwiera się na chwilę kopuła bezdenna, aby wnet zaprowadzić mnie znów między ciasne ściany, przejścia i framugi. W tych zaciszach bez tchu, w tych zatokach ciemności stoją jeszcze urywki rozmów zostawione przez nocnych wędrowców, fragmenty napisów na plakatach, zgubione takty śmiechu, pasma szeptów, których powiew nocy nie rozprószył. Czasem zamyka mnie noc jakby w ciasnym pokoju bez wyjścia. Opanowuje mnie senność, nie zdaję sobie sprawy, czy nogi idą jeszcze, czy też od dawna spoczywam w tym hotelowym pokoiku nocy. Ale oto czuję aksamitny gorący pocałunek zgubiony w przestrzeni przez usta pachnące, otwierają się jakieś żaluzje, przekraczam wysokim krokiem parapet okna i wędruję dalej pod parabolami gwiazd spadających. Z labiryntu nocy wychodzą dwaj wędrowcy. Plotą wspólnie, wyciągają z ciemności jakieś długi, beznadziejny warkocz rozmowy. Stuka monotonnie parasol jednego z nich o bruk (takie parasole nosi się na deszcz gwiazd i meteorów), wałęsają się jak pijane, wielkie głowy w baniastych melonikach. Kiedy indziej zatrzymuje mnie przez chwilę konspiracyjne spojrzenie czarnego, zezowatego oka i wielka koścista dłoń o wydatnych węzłach sztykuta przez noc na szczudle laski, zaciśnięta dookoła rękojeści z rogu jeleniego (w takich laskach bywają ukryte długie cienkie szpady).

Wreszcie na końcu miasta noc rezygnuje ze swych igraszek, zrzuca zasłonę, odsłania swą poważną i wieczną twarz. Już nie zabudowuje nas w złudnym labiryncie halucynacyj i majaków, otwiera przed nami gwiazdzistą swą wieczność. Firmament rośnie w nieskończoność, gwiazdozbiory płoną w swej świetności w pozycjach odwiecznych, rysując magiczne figury na niebie, jak gdyby chciały coś zwiastować, obwieścić coś ostatecznego swym przeraźliwym milczeniem. Od migotania dalekich tych światów płynie rechot żab, srebrny gwar gwiazdny.

Lipcowe niebiosa sieją niesłyszalny mak meteorów, wsiąkający cicho w wszechświat.

O którejś godzinie nocy - konstelacje śniły na niebie swój sen odwieczny - znalazłem się znowu na mojej ulicy. Jakaś gwiazda stała u jej wylotu, pachnąc obcą wonią. Przeciąg szedł przez nią jak przez ciemny korytarz, gdy otwierałem bramę domu. W stołowym pokoju jeszcze świeciło się, kopciły cztery świece w brązowym kandelabrze. Szwagra jeszcze nie było. Od czasu wyjazdu siostry spóźniał się na kolację, przychodził późną nocą. Budząc się ze snu, widziałem nieraz rozbierającego się ze wzrokiem tęnym i zamyślonym. Potem gasił świecę, rozbierał się do naga i leżał długo bezsenny na chłodnym łóżku. Nie od razu zstępował nań niespokojny półsen, obezwładniający stopniowo jego wielkie ciało. Jeszcze mrucał coś, sapał, dychał ciężko, szamotał się z jakimś ciężarem, który przywalał mu piersi. Bywało czasem, że wybuchał nagle cichym, suchym szlochem. Przestraszony pytałem w ciemności: - Co ci jest, Karolu? - Ale on tymczasem już wędrował dalej na swej ciężkiej drodze sennej, pnąc się pracowicie na jakąś stromą górę chrapania.

Przez otwarte okno oddychała noc w wolnych pulsach. W jej wielkiej, nie uformowanej masie przelewał się chłodny pachnący fluid, w ciemnych jej bryłach rozluźniały się spojenia, przeciekały wąskie strużki woni. Martwa materia ciemności szukała wyzwolenia w natchnionych wzlotach woni jaśminowej ale nieobjęte masy w głębi nocy leżały wciąż jeszcze nie wyzwolone i martwe.

Szpara drzwi do przyległego pokoju świeciła złotą struną, dźwięczną i czułą jak sen niemowlęcia, które tam kaprysiło w kołysce. Stamtąd dochodził szczebiot pieśzcot, idylla między mamką i dzieckiem, sielanka pierwszej miłości, cierpień i dąsów miłosnych, napierana zewsząd przez demony nocy, które zagęszczały ciemność za oknem, zwabione tą ciepłą iskierką życia, które tam tlało.

Z drugiej strony przytykał pokój pusty i ciemny do naszego pokoju, a za nim sypialnia rodziców. Natężając ucho, słyszałem, jak ojciec mój uwisły u piersi snu dawał się ponosić w ekstazie w jego napowietrzne szlaki, całą istotą oddany temu

dalekiemu lotowi. Śpiewne jego i dalekie chrapanie opowiadało dzieje tej wędrówki po niewiadomych wertepach snu.

Tak wchodziły dusze powoli w ciemne apohelium, w bezsłoneczną stronę życia, której kształtów nikt żywy nie ujrzał. Leżeli jak umarli, rżąc strasznie i płacząc, podczas gdy czarne zaćmienie leżało głuchym ołowiem na ich duchu. A gdy mijali wreszcie czarny Nadir, sam najgłębszy Orkus dusz, gdy przewalczyli się w śmiertelnym pocie przez jego przedziwne przyładki, zaczynały znów miechy płuc wzbierać inną melodią, rosnąć natchnionym chrapaniem ku świtowi.

Głucha, gęsta ciemność tłoczyła ziemię, cielska jej leżały zabite jak czarne, bezwładne bydłeta z wywalonymi ozorami, lejąc ślinę z bezsilnych pysków. Ale jakaś inna woń, jakiś inny kolor ciemności zwiastował dalekie zbliżanie się świtu. Od zatrutych fermentów nowego dnia puchła ciemność, rosło jak na drożdżach fantastyczne jej ciasto, bujało w kształty obłędu, przelewało się przez wszystkie koryta i dzieże, kisło w pośpiechu, w panice, ażeby świt nie zaskoczył jej na tej rozpustnej płodności i nie przygwoździł na wieki tych wybujałości chorych, tych potwornych dzieci samoródtwa, wyrosłych z cebrów chlebowych nocy, jak demony kąpiące się parami w dziecinnych wanienkach. To jest chwila, kiedy na najtrzeźwiejszą, na bezsenną głowę spływa przez moment zamroka senna. Chorzy, bardzo smutni i rozdarci, mają wtedy chwilę ulgi. Kto wie, jak długo trwa ten moment i przez który noc zapuszcza kurtynę na to, co się dzieje w jej głębi, ale ten krótki antrakt wystarczy do przestawienia sceny, do usunięcia ogromnej aparatury, do zlikwidowania wielkiej imprezy nocy z całą jej ciemną, fantastyczną pompą. Budzisz się, przestraszony, z uczuciem, żeś coś zapóźnił i w samej rzeczy widzisz na horyzoncie jasną smugę świtu i czarną konsolidującą się masę ziemi.

Mój Ojciec Wstępuje Do Strażaków

W pierwszych dniach października powracaliśmy z matką z letniska, położonego w sąsiednim departamencie kraju, w lesistym dorzeczu Słotwinki, przesączonym źródlanym szmerem tysiąca strumieni. Mając jeszcze w uszach szelest olszyn przetykany świegotem ptaków, jechaliśmy w wielkiej starej landarze rozrosłej ogromną budą, jak ciemną rozłożystą gospodą, stłoczeni wśród tobołków, w głębokiej aksamitem wyścielanej alkwie, w którą karta po karcie zapadały przez okno kolorowe obrazy pejzażu, jakby tasowane powoli z ręki do ręki.

Pod wieczór przyjechaliśmy na wywiany wiatrami płaskowyż, na wielkie, zdziwione rozdroże kraju. Niebo stało nad tym rozdrożem głębokie, zatchnione, obracające się w zenicie kolorową różą wiatrów. Tu była najdalsza rogatka kraju, zakręt ostatni, za którym otwierał się w dole rozległy i późny krajobraz jesieni. Tu była granica i tu stał stary, zmurszały słup graniczny z zatartym napisem i grał na wietrze.

Wielkie obręcze landary zazgrzytały i ugrzęzły w piasku, gadające, migotliwe szprychy umilkły, tylko wielka buda dudniała głucho, łopotała ciemno w krzyżowych wiatrach rozdroża, jak arka osiadła na pustkowiach.

Matka płaciła myto, żuraw rogatki podniósł się, skrzypiąc, potem landara ciężko wjechała w jesień.

Wjechaliśmy w zwiędłą nudę ogromnej równiny, w spłowiałe i blade wianie, które otwierało tu nad żółtą dałą swą błogą i mdłą nieskończoność. Jakaś późna i ogromna wieczność wstawiała z wyblakłych dali i wiała.

Jak w starym romansie obracały się zżółkłe karty krajobrazu coraz bledsze i coraz bezsilniejsze, jakby się miały skończyć jakąś wielką rozwianą pustką. W tej rozwianej nicości, w tej żółtej nirwanie mogliśmy byli zajechać poza czas i

rzeczywistość i pozostać już na zawsze w tym krajobrazie, w tym ciepłym jałowym wianiu - nieruchomy dyliżans na wielkich kołach, uwięzły wśród obłoków na pergaminie nieba, stara ilustracja, zapomniany drzeworyt w staroświeckim rozsypanym romansie - gdy woźnica ostatkiem sił szarpnął lejce i wyprowadził landarę z słodkiego letargu tych wiatrów i skręcił w las.

Wjechaliśmy w gęstą i suchą puszystość, w tytoniowe wędnienie. Wnet stało się wokół nas zacisznie i brunatnie jak w skrzynce Trabucos. W tym cedrowym półmroku mijaly nas pnie drzew suche i wonne, jak cygara. Jechaliśmy, las ciemniał coraz bardziej, pachniał coraz aromatyczniej tabaką, aż w końcu zamknął nas, jak w suchym pudle wiolonczeli, którą wiatr głucho stroił. Woźnica nie miał zapalek, nie mógł zaświecić latarni. Konie, sapiąc w ciemności, instynktem znajdowały drogę. Klekot szprych zwolniał i przycichł, obręcze kół jechały miękko w pachnącym igliwiu. Matka zasnęła. Czas upływał nie liczony, tworząc dziwne węzły, abrewiatury w swym upływie. Ciemność była nieprzenikniona, nad budą huczał jeszcze suchy szum lasu, gdy grunt zgruzlił się nagle pod kopytami koni w twarde bruk uliczny, wóz skręcił w miejscu i stanął. Stanął tak blisko ściany, że otarł się o nią prawie. Wprost drzwiczek landary matka zmacała bramę domu. Woźnica wyładowywał tobołki.

Weszliśmy do wielkiej rozgałęzionej sieni. Było tam ciemno, ciepło i zacisznie, jak w starej pustej piekarni nad ranem po wygaśnięciu pieca, albo jak w łaźni późną nocą, gdy opuszczone wanny i cebry stygną w ciemności, w ciszy odmierzanej kapaniem kropli. Świerszcz wypruwał cierpliwie z ciemności złudne szwy światła, nikły ścieg, od którego nie stawało się jaśniej. Omackiem znaleźliśmy schody.

Gdyśmy osiągnęli skrzypiący podest na zakręcie, rzekła matka: - Zbudź się Józefie, padasz z nóg, jeszcze tylko kilka stopni. - Ale nieprzytomny z senności, przytuliłem się mocniej do niej i zasnąłem na dobre.

Nigdy potem nie mogłem się od matki dowiedzieć, ile rzeczywistego było w tym, co widziałem owej nocy przez zamknięte powieki, zmorzony ciężkim snem, wciąż zapadając w głuchą niepamięć, a ile było płodem mojej imaginacji.

Była tu jakaś wielka rozprawa między moim ojcem, matką a Adela, protagonistką tej sceny, rozprawa o zasadniczym znaczeniu, jak dziś się domyślam. Jeżeli na darmo próbuję odgadnąć jej wciąż wymykający się sens, to winę ponoszą tu zapewne luki mej pamięci, ślepe plamy snu, które usiłuję wypełnić domysłem, supozycją, hipotezą. Bezwładny i bezprzytomny odpływałem wciąż na nowo w głuchą niewiedzę, podczas gdy na zapadłe powieki zstępował powiew nocy gwiaździstej, rozpiętej w oknie otwartym. Noc oddychała w czystych pulsach i nagle zrzucała przejrzystą zasłonę gwiazd, zaglądała z wysoka w mój sen swym starym i wiecznym obliczem. Promień dalekiej gwiazdy uwikłany w moich rzęsach rozlewał się srebrem na ślepym białku oka i przez szczeliny powiek widziałem pokój w świetle świecy zaplątanej w gmatwaninę złotych linii i zygzaków.

Być może zresztą, że scena ta odbyła się kiedy indziej. Wiele wskazuje na to, że byłem jej świadkiem dopiero znacznie później, gdy wracaliśmy któregoś dnia po zamknięciu sklepu z matką i subiektami do domu.

Na progu mieszkania matka wydała okrzyk zdumienia i zachwytu, subiektci oniemieli olśnieni. Na środku pokoju stał świetny mosiężny rycerz, prawdziwy święty Jerzy, wyogromniony kirasem, złotymi puklerzami naramienników, całym dźwięczącym rynsztunkiem polerowanych blach złotych. Z podziwem i radością poznałem nastroszone wąsy i zjeżoną brodę mego ojca sterczącą spod ciężkiego pretoriańskiego hełmu. Pancierz falował na wzburzonej jego piersi, mosiężne pierścienie oddychały szparami, jak ciało ogromnego owada. Wyolbrzymiony zbroją, w blasku blach złotych podobny był do archistratega zastępów niebieskich.

- Niestety, Adelo - mówił ojciec - nigdy nie miałaś zrozumienia dla spraw wyższego porządku. Wszędzie i zawsze krzyżowałaś moje poczynania wybuchami bezmyślnej złości. Ale zakuty w zbroję, drwię sobie dziś z twego łaskotania, którym doprowadzałaś bezbronnego do rozpacz. Bezsilna wściekłość ponosi dziś twój język do godnej pożałowania swady, której prostactwo i niewybredność miesza się z tępotą. Wierz mi, że napełnia mnie ona tylko smutkiem i politowaniem.

Pozbawiona szlachetnego polotu fantazji, pałasz nieświadomą zawiścią do wszystkiego, co wznosi się ponad pospolitość.

Adela zmierzyła ojca wzrokiem pełnym bezgranicznej pogardy i zwracając się do matki rzekła wzburzonym głosem, roniąc mimowolne łzy irytacji: - Zabiera cały nasz sok! Wynosi z domu wszystkie butle z sokiem malinowym, który usmażyliśmy razem tego lata! Chce go dać tym nicponiom pompierom do wypicia. I w dodatku obsypuje mnie impertynencjami. - Adela zaszlochała krótko. - Kapitan straży ogniowej, kapitan urwipolciów - wołała, mierząc ojca nienawistnym spojrzeniem. - Mam ich wszędzie pełno. Rano, gdy chcę zejść po pieczywo, nie mogę otworzyć drzwi. Naturalnie dwóch z nich zasnęło na progu w sieniach i zatarasowało wyjście. Na schodach, na każdym stopniu leży jeden w mosiężnym kasku i śpi. Napraszają się do kuchni, wpychają przez szparę drzwi swe królicze twarze w mosiężnych puszkach, strzygą dwoma palcami jak uczniaki w szkole i skomlą błagalnie: cukru, cukru... Wirywają mi z rąk wiaderko i lecą przynieść wodę, tańczą dookoła mnie, mizdrzą się, merdają nieledwie ogonami. Łypią przy tym raz po raz czerwonymi powiekami i oblizują się wstrętnie. Wystarczy, żebym na którego spojrziała bystro, a zaraz puchnie mu twarz czerwonym bezwstydnym mięsem, jak indykowi. I takim dawać nasz sok malinowy!...

- Twoja pospolita natura - rzekł ojciec - plugawi wszystko, czego się dotknie. Nakreśliłaś obraz tych synów ognia godny twego miążkiego umysłu. Co do mnie, to cała moja sympatia należy do tego nieszczęśliwego rodu salamander, do tych biednych wydziedziczonych istot ognistych. Całą winą tego świetnego ongi rodu było, że oddał się w służbę ludzką, że zaprzedał się ludziom za łyżkę nędznej ludzkiej stawy. Odpłacono mu za to pogardą. Tępota plebsu jest bezgraniczna. Doprowadzono te delikatne istoty do najgłębszego upadku, do ostatecznego znikczemnienia. Cóż dziwnego, że nie smakuje im wikt, ten mdły i prostacki wikt, gotowany przez tercjanową szkołę miejskiej we wspólnym kotle dla nich i dla areztantów miejskich? Ich podniebienie, delikatne i genialne podniebienie duchów ognistych pożąda szlachetnych i ciemnych balsamów, aromatycznych i kolorowych

fluidów. Dlatego tej nocy uroczystej, gdy siedzieć będziemy odświętnie w wielkiej sali Staupigii miejskiej przy biało nakrytych stołach, w tej sali o wysokich, jasno oświetlonych oknach rzucających blask swój w głąb nocy jesiennej, a dookoła miasto zaroi się tysiącnymi światłami iluminacji, będzie każdy z nas z pietyzmem i smakoszostwem właściwym synom ognia maczał bułkę w pucharze soku malinowego i powoli popijał szlachetny ten i gęsty likwor. W ten sposób pokrzepia się wewnętrzna istota strażaka, regeneruje się bogactwo kolorów, które ten lud wyrzuca z siebie w postaci fajerwerków, raket i ogni bengalskich. Dusza moja pełna jest zmiłowania nad ich nędzą, nad ich niezawinioną degradacją. Jeżeli przyjąłem z ich rąk szablę kapitańską, to jedynie w nadziei, że uda mi się podnieść z upadku to plemię, wyprowadzić je z poniżenia i rozpiąć nad nim sztandar nowej idei.

- Jesteś cały odmieniony, Jakubie - rzekła matka - jesteś wspaniały. Nie odejdziesz przecież na noc z domu. Nie zapominaj, że od mego powrotu nie mieliśmy sposobności na dobre porozmawiać ze sobą. Co do pompierów zaś - rzekła, zwracając się do Adeli - to w samej rzeczy wydaje mi się, że kierujesz się jakimś uprzedzeniem. Są to mili chłopcy, chociaż nicponie. Patrzą zawsze z przyjemnością na tych wysmukłych młodzieńców w ich zgrabnych mundurach nieco zanadto ściągniętych w pasie. Mają wiele naturalnej elegancji i wzruszająca jest ich gorliwość i zapał, z jakim gotowi są każdej chwili usłużyć damom. Ile razy wypadnie mi na ulicy parasolka z ręki, rozwiąże się wstążka bucika, zawsze nadbiega któryś z nich pełen przejęcia i żarliwej gotowości. Nie mam serca rozczarować tych gorących chęci i czekam zawsze cierpliwie, aż przybiegnie i usłuży mi, czym zdaje się być bardzo uszczęśliwiony. Gdy oddała się po dokonaniu rycerskiego obowiązku, otacza go natychmiast gromada kolegów omawiająca z nim żywo całe zajście, przy czym bohater odtwarza mimicznie, jak wszystko się odbyło. Na twoim miejscu korzystałabym chętnie z ich galanterii.

- Uważam ich za darmozjadów - rzekł starszy subiekt Teodor. - Przecież nie dopuszczamy ich do gaszenia pożaru dla ich dziecinnej nieodpowiedzialności.

Wystarczy zobaczyć z jaką zazdrością przystają zawsze przed grupą chłopców, bawiących się rzucaniem guzików o ścianę, ażeby ocenić dojrzałość ich króliczego umysłu. Gdy dochodzi z ulicy dziki wrzask zabawy, można prawie na pewno, wyrzawszy przez okno, ujrzeć wśród gromady chłopców tych dryblasów zaaferowanych i zgonionych, nieprzytomnych niemal w rozhukaniu gonitwy. Na widok pożarów szaleją z radości, klaszczą w ręce i tańczą jak dzicy. Nie, do gaszenia niepodobna ich użyć. Używamy do tego kominiarzy i milicjantów miejskich. Pozostają tylko zabawy i święta ludowe, przy których są nieodzowni. Na przykład przy tzw. szturmie na Kapitel o ciemnym świecie, jesienią przebierają się za Kartagińczyków i oblegają z piekielnym hałasem wzgórze Bazyliańskie. Wszyscy śpiewają wówczas "Hanibal, Hanibal ante portas".

Przy tym pod koniec jesieni stają się leniwi i ospali, zasypiają stojąc, a gdy pierwszy śnieg spadnie, nie widać ich na lekarstwo. Opowiadał mi pewien stary zdun, że przy naprawianiu kominów znajduje się ich wczepionych w kanał dymnika, nieruchomych jak poczwarki, w ich szkarłatnych uniformach i lśniących kaskach. Śpią tak stojąc, upici sokiem malinowym, pełni wewnątrz lepkiej słodyczy i ognia. Wyciąga się ich wtedy za uszy i prowadzi do koszar, pijanych snem i nieprzytomnych, przez poranne jesienne ulice, kolorowe od pierwszych przymrozków, podczas gdy gawiedź uliczna rzuca za nimi kamieniami, a oni uśmiechają się swym zawstydzonym uśmiechem pełnym winy i złego sumienia i słaniają się jak pijani na nogach.

- Jakkolwiek bądź - rzekła Adela - soku im nie dam. Nie po to psułam sobie cerę przy kuchni, smażąc go, ażeby ci nicponie go wypili.

Zamiast odpowiedzi ojciec mój podniósł gwizdawkę do ust i gwizdnął przeraźliwie. Jak gdyby podsłuchiwali u dziurki od klucza, wpadli czterej wysmukli młodzieńcy i uszeregowali się pod ścianą. Pokój rozjaśnił się od blasku ich hełmów, a oni, stanąwszy w wojskowej postawie, ciemni i opaleni pod jasnymi szyszakami, czekali na rozkaz. Na znak ojca dwaj z nich pochwycili z obu stron wielką butlę w plecionce z wikliny pełną purpurowego płynu i nim Adela zdołała im przeszkodzić,

już zbiegli z tupotem ze schodów, unosząc łup drogocenny. Dwaj pozostali, oddawszy wojskowy ukłon, oddalili się za tamtymi.

Przez chwilę zdawało się, że Adela da się porwać do czynów niepoczytalnych, takie ognie miały jej piękne oczy. Ale ojciec nie czekał na wybuch jej gniewu. Jednym skokiem znalazł się na parapecie okna i otworzył ramiona. Podbiegliśmy za nim. Rynek zasiany rzęście światłami roił się od kolorowych tłumów. Pod naszym domem ośmiu strażaków rozciągało w koło wielkie płótno żaglowe. Ojciec odwrócił się raz jeszcze, zabłysnął całym przepychem rynsztunku, salutując nas w milczeniu, potem z otworzonymi ramionami, jasny jak meteor skoczył w noc płonąca tysiącem światła. Był to tak piękny widok, że wszyscy w zachwycie klasnęliśmy w dłonie. Nawet Adela, zapominając swej urazy, przyklasnęła temu skokowi, wykonanemu z taką elegancją. Mój ojciec tymczasem zeskoczył elastycznie z prześcieradła i wstrząsnąwszy z chrzęstem blaszane skorupy, stanął na czele oddziału, który, odpadając dwójkami, rozwinął się podczas marszu w długi rząd i oddalał się powoli ciemnym szpalerem tłumy, błyszcząc mosiężnymi puszkami kasków.

Druga Jesień

Wśród wielu prac naukowych, podejmowanych przez mego ojca w rzadkich chwilach spokoju i uciszenia wewnętrznego, pomiędzy ciosami klęsk i katastrof, w jakie obfitowało to życie awanturnicze i burzliwe - najbliższe jego sercu były studia nad meteorologią porównawczą, a zwłaszcza nad specyficznym klimatem naszej prowincji, pełnym jedynej w swoim rodzaju osobliwości. On to właśnie, mój ojciec, położył podstawy pod umiejętną analizę formacji klimatycznych. Jego "Zarys ogólnej systematyki jesieni" wyjaśnił raz na zawsze istotę tej pory roku, która w naszym klimacie prowincjonalnym przybiera tę przewlekłą, rozgałęzioną, pasożytniczo rozrosłą formę, która pod nazwą "chińskiego lata" przeciąga się daleko w głąb naszych zim kolorowych. Cóż powiedzieć? On pierwszy wyjaśnił wtórny, pochodny charakter tej późnej formacji, nie będącej niczym innym, jak pewnego rodzaju zatruciem klimatu miazmatami przejrzałej i wyradzającej się sztuki barokowej, stłoczonej w naszych muzeach. Ta rozkładająca się w nudzie i zapomnieniu sztuka muzealna przecukrza się, zamknięta bez odpływu, jak stare konfitury, przesładza nasz klimat i jest przyczyną tej pięknej, malarycznej febry, tych kolorowych deliriów, którymi agonizuje ta przewlekła jesień. Piękno jest bowiem chorobą, uczył mój ojciec, jest pewnego rodzaju dreszczem tajemniczej infekcji, ciemną zapowiedzią rozkładu, wstającą z głębi doskonałości i witaną przez doskonałość westchnieniem najgłębszego szczęścia.

Kilka rzeczowych uwag o naszym muzeum prowincjonalnym niechaj w tym miejscu posłuży do lepszego zrozumienia sprawy... Początek jego sięga XVIII wieku i wiąże się z godnym podziwu zapalem kolekcjonerskim oo.bazylianów, którzy obdarzyli miasto tą pasożytniczą naroślą, obciążającą budżet miejski nadmiernym i nieproduktywnym wydatkiem. Przez szereg lat skarb Republiki,

odkupiwszy za bezcen te zbiory od zubożalego zakonu, rujnował się wielkodusznie na to mecenasostwo, godne jakiejś królewskiej rezydencji. Ale następna już generacja ojców miasta, bardziej praktycznie zorientowana i nie zamykająca oczu na konieczności gospodarcze, po bezskutecznych pertraktacjach z kuratorią arcyksiążęcych zbiorów, której usiłowała to muzeum sprzedać - zamknęła je, zlikwidowała zarząd, wyznaczyszy dla ostatniego kustosza dożywotnią emeryturę. W czasie tych pertraktacyj stwierdzone zostało ponad wszelką wątpliwość, że wartość tych zbiorów była grubo przeceniana przez patriotów lokalnych. Poczciwi ojcowie nabyli w chwalebnym zapale niejednego falsyfikat. Muzeum to nie zawierało ani jednego obrazu pierwszorzędnego mistrza, ale za to całe kolekcje trzecio- i czwartorzędnych, całe szkoły prowincjonalne, tylko fachowcom znane, zapomniane, ślepe uliczki historii sztuki.

Rzecz dziwna: poczciwi mnisi mieli upodobania militarne, większa część obrazów była treści batalistycznej. Spalony złoty mrok ciemniał na tych zetlących od starości płótnach, na których floty galer i karaweli, stare zapomniane armady butwiały w zatokach bez odpływu, kołyszac na wzdętych żaglach majestat dawno zaginionych republik. Spod zadymionych i pociemniałych werniksów majaczyły ledwo widoczne zarysy konnych potyczek. Przez pustkę spalonych Kampanij, pod niebem ciemnym i tragicznym przeciągały w groźnej ciszy skłębione kawalkady, ujęte z obu stron w spiętrzenia i wykwyty artyleryjskiego ognia.

Na obrazach neapolitańskiej szkoły starzeje się bez końca popołudnie smagłe i wędzone, jakby widziane przez ciemną butelkę. Pociemniałe słońce zdaje się więdnąć w oczach w tych straconych krajobrazach, jak w przeddzień kosmicznej katastrofy. I dlatego tak błahe są uśmiechy i gesty złotych rybaczek, sprzedających z manierycznym wdziękiem wiązki ryb wędrownym komediantom. Cały ten świat jest dawno osądzony i dawno zamierzchły. Stąd ta słodycz bezgraniczna ostatniego gestu, który sam jeden jeszcze trwa - sobie samemu daleki i zgubiony, wciąż na nowo powtarzany już niezmienny.

A dalej jeszcze w głębi tego kraju, zamieszkałego przez beztroski lud wesółków, arlekinów i ptaszników z klatkami, w tym kraju bez powagi i bez rzeczywistości wyplaskują małe Turczynki pulchnymi rękami miodowe placki ułożone na deskach, dwaj chłopcy w neapolitańskich kapeluszach noszą kosz pełen gwarnych gołębi na kiju, który ugina się lekko pod tym gruchającym skrzydlatym ciężarem. A jeszcze głębiej, na samej krawędzi wieczoru, na ostatnim skrawku ziemi, gdzie na granicy mętnozłotej nicości chwieje się więdnący pęk akantu - toczy się jeszcze wciąż partia kart, ostatnia stawka ludzka przed wielką nocą, która nadciąga.

Całą tę rupieciarnię starego piękna poddano bolesnej destylacji pod ciśnieniem lat całych nudy.

- Czy potraficie zrozumieć - pytał mój ojciec - co oznacza rozpacz tego skazanego piękna, jego dni i noce? Ciągłe na nowo porywa się ono do złudnych licytacji, inscenizuje udane wyprzedaje, hałaśliwe i tłumne aukcje, pasjonuje się dzikim hazardem, gra na baisse, rozrzuca gestem utracjusza, marnotrawi swe bogactwo, ażeby trzeźwiejąc, spostrzec, że wszystko to jest daremne, że nie wyprowadza poza zamknięty krąg skazanej na siebie doskonałości i nie może ulżyć bolesnemu nadmiarowi. Nic dziwnego, że ta niecierpliwość, ta bezradność piękna musiała się w końcu wzwiercieścić w nasze niebo, rozgorzeć łuną nad naszym horyzontem, wyrodzić się w te kuglarstwa atmosferyczne, w te arrangementy obłoczne, ogromne i fantastyczne, które nazywam naszą drugą, naszą pseudojesienią. Ta druga jesień naszej prowincji nie jest niczym innym, jak chorą fatamorganą, wypromieniowaną w wyolbrzymionej projekcji na nasze niebo przez umierające zamknięte piękno naszych muzeów. Jesień ta jest wielkim, wędrownym teatrem kłamiącym poezją, ogromną kolorową cebulą łuszczącą się płatek po płatku coraz nową panoramą. Nigdy nie dotrzeć do żadnego sedna. Za każdą kulisą, gdy zwiędnie i zwinie się z szelestem, ukaze się nowy i promienny prospekt, przez chwilę żywy i prawdziwy, zanim, gasnąc, nie zdradzi natury papieru. I wszystkie perspektywy są malowane i wszystkie panoramy z tektury i tylko zapach jest

prawdziwy, zapach wędnących kulis, zapach wielkiej garderoby, pełen szminki i kadzidła. A o zmierzchu ten wielki nieporządek i gmatwanina kulis, ten zamęt porzuconych kostiumów, wśród których brodzi się bez końca, jak wśród szeleszczących zwiędłych liści. I jest wielkie bezhołowie, i każdy ciągnie za sznury kurtyn, i niebo, wielkie jesienne niebo wisi w strzępach prospektów i pełne jest skrzywienia bloków. I ta pośpieszna gorączka, ten zdyszany i późny karnawał, ta panika nadranych sal balowych i wieża Babel masek, które nie mogą trafić do swych szat prawdziwych.

- Jesień, jesień, aleksandryjska epoka roku, gromadząca w swych ogromnych bibliotekach jałową mądrość 365 dni obiegu słonecznego. O, te poranki starcze, żółte jak pergamin, słodkie od mądrości, jak późne wieczory! Te przedpołudnia uśmiechnięte chytrze, jak mądre palimpsesty, wielowarstwowe jak stare pożółkłe księgi! Ach, dzień jesienny, ten stary filut-bibliotekarz, łażący w spleźnym szlafroku po drabinach i kosztujący z konfitur wszystkich wieków i kultur! Każdy krajobraz jest mu jak wstęp do starego romansu. Jakże się świetnie bawi, wypuszczając bohaterów dawnych powieści na spacer pod to zadymione i miodne niebo, w tę mętną i smutną, późną słodycz światła! Jakich nowych przygód dozna Don Kichot w Sopladowie? Jak ułoży się życie Robinsonowi po powrocie do rodzinnego Bolechowa?

W duszne nieruchome wieczory, złote od zórz, odczytywał nam ojciec wyjątki ze swego manuskryptu. Porywający lot idei pozwalał mu chwilami zapomnieć o groźnej obecności Adeli.

Przyszły ciepłe wiatry mołdawskie, nadciągnęła ta ogromna żółta monotonia, to słodkie, jałowe wianie z Południa. Jesień nie chciała się skończyć. Jak bańki mydlane, wstawały dni coraz piękniejsze i eteryczniejsze i każdy wydawał się tak do ostatnich granic wyszlachetniony, że każda chwila trwania była cudem przedłużonym nad miarę i niemal bolesnym.

W ciszy tych dni głębokich i pięknych zmieniała się niepostrzeżenie materia listowia, aż pewnego dnia stały drzewa w słomianym ogniu całkiem

zdematerializowanych liści, w krasie lekkiej, jak wykwit plewy, jak nalot kolorowych confetti - wspaniałe pawie i feniksy, które wstrząsnąć się tylko muszą i zatrzepotać, ażeby strącić to świetne, lżejsze od bibułki, wylinione i niepotrzebne już pierze.

Martwy Sezon

I

O piątej godzinie rano - rano jaskrawe od wczesnego słońca, dom nasz kąpał się już od dawna w żarliwym i cichym blasku porannym. O tej solennej godzinie, nie podglądany przez nikogo, wchodził on cały po cichu - podczas gdy przez pokoje w półmroku spuszczonej storów szedł jeszcze solidarnie zgodliwy oddech śpiących - w fasadę płonąca w słońcu, w ciszę wczesnego żaru, jakby był ulepiony na całej powierzchni z błogo uśpionych powiek. Tak, korzystając z ciszy tych uroczystych godzin, chłonał najpierwszy ogień poranka twarzą uśpioną błogo, mdlejącą w blasku, lineaturą rysów drgających lekko przez sen od marzeń tej natężonej godziny. Cień akacji przed domem, falujący jaskrawo na tych gorących powiekach, powtarzał na ich powierzchni, jak na fortepianie, wciąż na nowo ten sam połyskliwy swój frazes, splukiwany przez powiew - próbując nadaremnie wniknąć w głąb tego snu złotego. Płócienne story chłoneły poranny pożar, porcja za porcją, i opalały się smagło, omdlewając w bezbrzeżnym blasku.

O tej wczesnej godzinie ojciec mój, nie mogąc już znaleźć snu, schodził ze schodów, obładowany księgami, ażeby otworzyć sklep znajdujący się w parterze kamienicy. Przez chwilę stał w bramie nieruchomy, wytrzymując z przymkniętymi oczyma potężny atak ognia słonecznego. Osłoneczniona ściana domu wciągała go słodko w swą płaskość zniwelowaną błogo, wygładzoną do zaniku. Na chwilę stawał się ojcem płaskim, wrośniętym w fasadę, i czuł, jak ręce rozgałęzione, drżące i ciepłe zablizniają się płasko wśród złotych sztukaterij fasady. (Iluż ojców wrosło już tak na zawsze w fasadę domu o piątej godzinie rano, w chwili gdy

zstępowali z ostatniego stopnia schodów. Iluż ojców stało się w ten sposób na zawsze odzwierciedleniami własnej bramy, płasko rzeźbionymi na framudze, z ręką na klamce i z twarzą rozwiązana w same równoległe i błogie bruzdy, po których potem wodzą miłośnic palce synów, szukając ostatnich śladów ojcowskich, wtopionych już na zawsze w uniwersalny uśmiech fasady.) Ale potem odrywał się ostatkiem woli, odzyskiwał trzeci wymiar, i znów ucłowieczony, uwalniał okute drzwi sklepu od kłódek i sztab żelaznych.

Gdy otwierał to ciężkie, okute żelazem skrzydło drzwi sklepowych, mrukliwy mrok cofał się o krok od wejścia, osuwał się o piędź w głąb sklepu, przemieszczał się i układał leniwie w głębi. Dymiąc niewidzialnie z chłodnych jeszcze płyt chodnika, świeżość poranna stawała nieśmiało na progu nikłą, drgającą strugą powietrza. W głębi leżała ciemność wielu poprzednich dni i nocy w nie napoczętych balach sukna, ułożona warstwami, biegnąca szpalerami w głąb, w stłumionych pochodach i wędrówkach, aż ustawała bezsilnie w samym sednie sklepu, w ciemnym magazynie, gdzie rozwiązywała się, już nieodróżniczkowana i nasycona sobą, w głuchą majaczącą pramaterię sukienną.

Ojciec szedł wzdłuż tej wysokiej ściany szewiotów i kortów, wodząc ręką po sztorcach bali sukiennych jak po rozporach sukien kobiecych. Pod jego dotknięciem uspokajały się te rzędy ślepych kadłubów, zawsze gotowe do popłochu, do przełamania ordynku, umacniały się w swych sukiennych hierarchiach i porządkach.

Dla ojca mego był sklep nasz miejscem wiecznych udręczeń i zgrzytot. Ten twór jego rąk nie od dziś zaczynał - dorastając - napierać nań z dnia na dzień coraz natarczywiej, przerastać go groźnie i niezrozumiale. Był on dla niego nadmiernym zadaniem, zadaniem nad siły, zadaniem wzniosłym i nieobjętym. Ogrom tej pretensji przerażał go. Z grozą wpatrzony w jej wielkość, której całym swym życiem rzuconym na tę jedną kartę nie mógł zadośćuczynić - widział z rozpaczą lekkomyślność subiektów, płochy, beztroski optymizm, figlarne i bezmyślne ich manipulacje, przebiegające na marginesie tej wielkiej sprawy. Z gorzką ironią badał

tę galerię twarzy nie zmaconych żadną troską, czoł nie zaatakowanych żadną ideą, gruntował do dna te oczy, których niewinnej ufności nie mącił najłżejszy cień podejrzania. Cóż mogła mu pomóc matka z całą swą lojalnością i oddaniem? Refleks tej rzeczy nadmiernej nie dosięgał jej duszy prostej i niezagrożanej. Nie była stworzona do zadań heroiczych. Czyż nie widział, jak poza jego plecami porozumiewała się prędkim spojrzeniem z subiektami rada z każdej chwili nienadzorowanej, w której mogła brać udział w ich bezmyślnych błazeństwach?

Od tego świata lekkomyślnej beztroski odgraniczał się ojciec coraz bardziej, uciekał w twardą regułę swego zakonu. Przerażony rozwiązłością szerzącą się wokoło, zamykał się w samotnej służbie wysokiego ideału. Nigdy ręka jego nie popuszczała zaciągniętych cugli, nigdy nie pozwalał sobie na zwolnienie rygoru, na wygodną łatwiznę.

Na to mógł sobie pozwolić Bałanda i Ska i ci inni dyletanci branży, którym obcy był głód doskonałości, asceza wysokiego mistrzostwa. Ojciec patrzył z boleścią na upadek branży. Kto z dzisiejszej generacji kupców bławatnych znał jeszcze dobre tradycje dawnej sztuki, kto z nich wiedział jeszcze na przykład, że kolumna bali sukiennych, ułożona w półkach szafy w myśl zasad sztuki kupieckiej, musiała pod zjeżdżającym z góry na dół palcem wydać ton jak gama klawiszy? Komu z dzisiejszych dostępne były ostatnie finezje stylu w wymianie not, memorandumów i listów? Kto znał jeszcze cały urok dyplomacji kupieckiej, dyplomacji dobrej starej szkoły, cały ten pełen napięcia przebieg negocjacji, od nieprzejednanej sztywności, od zamkniętej rezerwy przy pojawieniu się pełnomocnego ministra zagranicznej firmy poprzez powolne tajanie pod wpływem niezmordowanych zabiegań i umizgów dyplomaty aż do wspólnej kolacji, z winem, podanej na biurku, na papierach, w podniosłym nastroju, wśród szczypania pośladków usługującej Adeli i wśród pieprznej i swobodnej rozmowy, jak między panami, którzy wiedzą, co winni są chwili i okoliczności - a zakończonej obustronnie korzystnym interesem?

W ciszy tych godzin porannych, podczas których skwar dojrzewał, ojciec mój spodziewał się znaleźć szczęśliwy i natchniony chwyt, którego potrzebował, by zakończyć list do panów Chrystiana Seipla i Synów, przedzalnie i tkalnie mechaniczne. Była to cięta odprawa dana nieuzasadnionym roszczeniom tych panów, replika urwana właśnie w decydującym miejscu, gdzie styl listu miał podnieść się do mocnej i dowcipnej pointy szczytowej, w momencie której następowało to spięcie elektryczne, wyczuwalne lekkim dreszczem wewnętrznym, a po którym już tylko opaść mógł zwrotem zrobionym z rozmachem, z elegancją, i już zamykającym i definitywnym. Czuł kształt tej pointy, która mu się od dni wymykała, miał ją nieomal między palcami, wciąż nieuchwytną. Brakło mu tej chwili szczęśliwego humoru, momentu szczęśliwej werwy, ażeby wziąć szturmem przeszkodę, o którą za każdym razem się rozbijał. Wciąż na nowo sięgał po czysty arkusz, ażeby z świeżego rozpędu sforsować trudność urągającą jego wysiłkom.

Tymczasem sklep zaludniał się stopniowo subiektami. Wchodzili czerwoni od wczesnego żaru, omijając z daleka biurko ojca, ku któremu zerkali trwożliwie pełni złego sumienia.

Pełni zmayı i słabości, czuli na sobie ciężar jego milczącej dezaprobaty, której nic przeciwstawić nie mogli. Nic nie mogło przebłagać tego zamkniętego w swych troskach szefa, żadną gorliwością nie można go było udobruchać, zaczajonego jak skorpion za biurkiem, znad którego błyszczał jadowicie szklami okularów, szeleszcząc jak mysz wśród papierów. Podniecenie jego rosło, nieokreślona pasja wznosiła się, w miarę jak żar słońca nasilał się coraz bardziej. Czworobok blasku na podłodze pałał. Metaliczne i lśniące muchy polne przecinały błyskawicami wejście do sklepu, stawały na chwilę na szpaletach drzwi jakby wydmuchane ze szkła metalicznego - bańki szklane wytchnięte z gorącej fajeczki słońca, z huty szklanej tego dnia płomiennego, stawały z rozszrzonymi skrzydełkami, pełne lotu i chyżości, i wymieniały swe miejsca w wściekłych gzygzakach. W jasnym czworoboku drzwi omdlewały w blasku dalekie lipy parku miejskiego, odległa sygnaturka kościoła majaczyła całkiem blisko w tym przejrzystym i drgającym

powietrzu jak w soczewce lunety. Blaszane dachy pałały. Nad światem wzdymała się ogromna, złota bania upału.

Rozdrażnienie ojca rosło. Rozglądał się bezradnie, skurczony boleśnie, wycieńczony diareą. W ustach miał smak bardziej gorzki od piołunu.

Upał wzmagał się, wyostrzał wściekłość much, wyiskrzył światliste punkty na ich metalicznych odwłokach. Czworobok światła doszedł do biurka i papiery płonęły jak Apokalipsa. Oczy oświetlone nadmiarem światła nie mogły już utrzymać jego białej jednolitości. Przez swe grube szkła chromatyczne widzi ojciec wszystkie przedmioty obrzeżane purpurą, w fioletowo-zielonych obwódkach, i ogarnia go rozpacz nad tą eksplozją kolorów, nad tą anarchią barw, szalejącą nad światem w świetlanych orgiach. Ręce jego drżą. Podniebienie jest gorzkie i suche jak przed atakiem. W szparach zmarszczek zaczajone oczy śledzą z uwagą rozwój wypadków w głębi.

II

Gdy w południowej godzinie ojciec, już na granicy obłądu, bezradny z upału, drżąc z bezprzedmiotowego wzburzenia, wycofywał się do górnych pokoi i pułapy piętra trzaskały w ciszy to tu, to tam pod jego zaczajonym przykucnięciem, w sklepie nastawała chwila pauzy i odprężenia - przychodziła godzina sjeisty południowej.

Subiekci koziołkowali na balach sukna, rozbijali na półkach sukienne namioty, zwieszali huśtawki z draperii. Odwijali głuche bale, wypuszczali na wolność puszystą, stokrotnie zwiniętą, stuletnią ciemność. Zleżały od lat, pilśniowy mrok wypuszczony na wolność napełniał górne przestrzenie wonią innego czasu, zapachem dni przeszłych, ułożonych cierpliwie niezliczonymi warstwami za dawnych, chłodnych jesieni. Ślepe mole wysypywały się w zmroczniałym powietrzu, puszki pierza i wełny krążyły po całym sklepie z tym wysiewem ciemności i zapach apretury, głęboki i jesienny, napełniał to ciemne obozowisko

sukna i aksamitu. Biwakując wśród tego obozowiska, myśleli subiekci o figlach i kawałach. Dawali się kolegom zawijać ciasno aż po uszy w ciemne, chłodne sukno i leżeli tak rzędem, błogo znieruchomieni pod stosem bali - żywe postawy, mumie sukienne, toczące oczyma z udanym przerażeniem nad swą nieruchomością. Albo dawali się bujać i podrzucać aż pod sufit na ogromnych rozpostartych obrusach sukna. Głuchy łopot tych płacht i wianie wachlowanego powietrza wprawiało ich w nieprzytomny zachwyt. Zdawało się, że cały sklep zrywa się do lotu, sukna wstawały natchnione, subiekci wzlatywali z rozwianymi połami, jak prorocy, w krótkotrwałych wniebowstąpieniach. Matka patrzyła przez palce na te figle, rozluźnienie tych godzin sjeisty usprawiedliwiała w jej oczach najgorsze wybryki.

Latem zarastał sklep dziko i niechlujnie zielskiem. Od strony podwórza, od magazynu, okno zieleniało całe od chwastów i pokrzyw, podwodne i migotliwe od lśnień listnych, od falujących refleksów. Jak na dnie starej zielonej butelki bzykały w nim muchy w półmroku długich, letnich popołudni w nieuleczalnej melancholii - chore i monstrialne okazy wyhodowane na słodkim winie ojca, kosmaci samotnicy, oplakujący dzień cały swój los przeklęty, w długich monotonicznych epopiejach. Ta zwyrodniała rasa much sklepowych, skłonna do dzikich i niespodzianych mutacji, obfitowała w osobniki zdziwaczałe, płody kaziroducznych skrzyżowań, wyradzała się w jakąś nadrasę ociążałych olbrzymów, weteranów o głębokim i żalobnym timbrze, dzikich i posepnych druidów własnego cierpienia. Ku końcowi lata wylęgli się wreszcie ci samotni pogrobowcy, już ostatni z rodu, podobni do wielkich niebieskich żuków, niemi już i bez głosu, ze zmarniałymi skrzydłami, i dokonywali smutnego żywota, zbiegając bez końca zielone szyby w niezmordowanych i błędnych wędrówkach.

Drzwi rzadko otwierane zarastały pajęczyną. Matka spała za biurkiem, w hamaku z sukna zawieszzonego między półkami. Subiekci, trapieni przez muchy, drgali, pełni grymasów, rzucając się w niespokojnym śnie letnim. Na podwórzu tymczasem rozrastało się zielsko. Pod dziką spieką słońca plenił się śmietnik generacjami ogromnych pokrzyw i ślazów.

Z zetknięcia słońca i odrobiny wody gruntowej zaczynała się na tym kawałku ziemi zjadliwa substancja zielska, swarliwy odwar, jadowity derywat chlorofilu. Tam warzył się ten febryczny ferment w słońcu i bujał w lekkie formacje listne, wielokrotne, ząbkowane i pomarszczone, powtarzane tysiącrotnie według jednego wzoru, według utajonej w nich jedynej idei. Dorwawszy się swojej chwili, ta zaraźliwa koncepcja, ta płomienna i dzika idea szerzyła się jak ogień - zażegnęta słońcem rosła pod oknem pustą, bibulastą paplaniną zielonych pleonazmów, lichota zielna rozmnożona stokrotnie w niewybredne, wierutne brednie - papierowa tandetna łatanina, tapetująca ścianę magazynu coraz większymi szelestnymi płatami, pachnącymi wlochato, tapeta na tapecie. Subiekci budzili się z przelotnej drzemki z wypiekami na twarzy. Dziwnie podnieceni, podnosili się z posłania pełni gorączkowej przedsiębiorczości, imaginując heroiczne bufonady. Trawieni nudą, kołysali się na wysokich półkach i bębniłi nogami, wypatrywali nadaremnie pustą przestrzeń rynku, wymiecioną skwarem, za jakąkolwiek przygodą.

Zdarzało się wtedy, że kmiotek ze wsi, bosy i zgrzebny, przystawał we drzwiach sklepu z wahaniem, nieśmiało zaglądając do środka. Dla znudzonych subiektów była to gratka nie lada. Błyskawicznie spuszczał się z drabin, jak pająki na widok muchy, i wnet otoczony, ciągniony i popychany, zasypywany tysiącem pytań odcinał się chłopak z zawstydzonym uśmiechem indagacjom natrętów. Skrobał się w głowę, uśmiechał się, patrzył z nieufnością na przymilnych lowelasów. A więc o tytoń chodziło? Ale jaki? Czy najprzedniejszy, macedoński, bursztynowozłoty? Nie? Wystarczał zwykły, fajkowy? Machorka? Tylko bliżej, bliżej proszę. Bez obawy. Subiekci dyrygowali go wśród komplementów lekkimi szturchańcami w głąb sklepu, ku bocznej ladzie przy ścianie. Subiekt Leon, wszedłszy za kontuar, usiłował wysunąć fikcyjną szufladę. O, jakże męczył się biedny, jak przygryzał wargi z daremnego wysiłku. Nie! Należało walić w brzuch lady pięściami z rozmachem, z całej siły. Kmiotek, zachęcony przez subiektów, czynił to z przejęciem, pełen uwagi i skupienia. Wreszcie, gdy to nie pomagało,

wylał na stół, tupając bosymi nogami, zgarbiony i siwiutki. Zanosiliśmy się od śmiechu.

Wtedy to zaszedł ten godny pożałowania incydent, który nas wszystkich nappełnił smutkiem i wstydem. Nikt z nas nie był bez winy, jakkolwiek nie działaliśmy w złej woli. Była to raczej nasza lekkomyślność, brak powagi i zrozumienia dla wszystkich trosk ojca, była to raczej nasza nieopatrność, która przy nieobliczalnej, zagrożonej, skłonnej do ostateczności naturze ojca doprowadziła do tych następstw prawdziwie fatalnych.

Podczas gdy stojąc w półkolu bawiliśmy się w najlepsze, ojciec wsunął się cicho do sklepu.

Przeoczyliśmy moment jego wejścia. Spozregliśmy go dopiero, gdy nagle zrozumienie związku rzeczy przeszło go błyskawicą i wykrzywiło jego twarz dzikim paroksyzmem zgrozy. Matka przybiegła przerażona: - Co ci jest, Jakubie? - zawołała bez tchu. Chciała go, zrozpaczona, uderzyć w plecy jak kogoś, kto się zadławił. Ale już było za późno. Ojciec zjeżył się cały i nasrożył, twarz jego rozkładała się pośpiesznie na symetryczne człony przerażenia, przepoczwarczała się niewstrzymanie w oczach - pod ciężarem nieobjętej klęski. Nim zdołaliśmy zrozumieć, co się stało, zawibrował gwałtownie, zabzyczał i wionął nam przed oczyma monstrualną, buczącą, kosmatą muchą stalowobłękitną, objającą się w oszalałym locie o wszystkie ściany sklepu. Przejęci do głębi, słuchaliśmy beznadziejnego lamentu, głuchej skargi modulowanej wymownie, przebiegającej w dół i w górę przez wszystkie rejestry niezgłębionego bólu, nieutulonego cierpienia, pod ciemnym sufitem sklepu.

Staliśmy skonsternowani, głęboko zawstydzeni tym żalonym faktem, unikając nawzajem naszych spojrzeń. W głębi serca czuliśmy pewną ulgę, że w chwili krytycznej znalazł jednak to wyjście z głębokiego blamażu. Podziwialiśmy bezkompromisowy heroizm, z jakim bez opamiętania rzucił się w tę ślepą uliczkę desperacji, z której, zdawało się, nie było już powrotu. Należało zresztą ten krok ojca wziąć cum grano salis. Był to raczej gest wewnętrzny, demonstracja

gwałtowna i rozpaczliwa, operująca jednak minimalną dawką rzeczywistości. Nie trzeba zapominać: większość tego, co tu opowiadamy, położyć można na karb tych aberracji letnich, tej kanikularnej półrzeczywistości, tych nieodpowiedzialnych marginaliów, przebiegających bez żadnej gwarancji na rubieżach martwego sezonu.

Nasłuchiwaaliśmy w milczeniu. Była to wyrafinowana zemsta ojca, odwet jego na naszych sumieniach. Byliśmy odtąd na zawsze skazani słyszeć to żalosne niskie buczenie, skarżące się coraz natarczywiej, coraz boleśniej, i raptem milknące. Przez chwilę wykosztowywaaliśmy z ulgą tę ciszę, tę dobroczynną pauzę, podczas której budziła się w nas nieśmiała nadzieja. Lecz po chwili powracało nieukożone, coraz bardziej płaczliwe i rozdrażniane, i rozumieliśmy, że dla tego bezbrzeżnego bólu, dla tej buczącej klątwy skazanej na bezdomne obijanie się o wszystkie ściany - nie było mety ani wyzwolenia. Ten głuchy na wszystkie perswazje, płaczliwy monolog i te pauzy, podczas których zdawał się na chwilę zapominać o sobie, ażeby potem obudzić się z tym głośniejszym i gniewnym płaczem, jak gdyby odwoływał z rozpaczą poprzednią chwilę ukojenia - rozdrażniały nas do głębi. Cierpienie, któremu nie ma kresu, cierpienie z uporem zamknięte w kręgu swej manii, cierpienie z zapamiętaniem, z zaciekłością samo siebie biczujące - staje się w końcu nieznośne dla bezradnych świadków nieszczęścia. Ten nieustanny, gniewny apel do naszej litości zawierał w sobie zbyt wyraźny wyrzut, zbyt jaskrawe oskarżenie naszego własnego błogostanu, ażeby nie budzić sprzeciwu. Replikowaliśmy wszyscy w duchu, pełni wściekłości zamiast skruchy. Czy już naprawdę nie było dlań innego wyjścia, jak rzucić się na oślep w ten stan żalosny i beznadziejny, i czy, popadłszy weń, z swojej czy naszej winy, nie mógł znaleźć więcej hartu ducha, więcej godności, ażeby go znieść bez skargi? Matka tylko z trudnością hamowała gniew. Subiekci, siedząc na drabinach w tęym osłupieniu, marzyli krwawo, gonili w myśli z plackiem skórzonym po półkach i oczy zachodziły im czerwono. Markiza płócienna nad portalem falowała jaskrawo w upale, popołudniowy skwar pędził milami jasnej równiny, pustosząc daleki świat pod sobą, a w półmroku sklepu, pod

ciemnym sufitem krążył mój ojciec zaplątany bez wyjścia w pętlice swego lotu, oszalały, sam siebie motający w desperackich gzygzakach swej gonitwy.

III

Jak małe w gruncie rzeczy znaczenie wbrew wszelkim pozorom mają takie epizody, wynika z faktu, że jeszcze tego samego dnia wieczorem siedział mój ojciec jak zwykle nad swymi papierami - incydent zdawał się być dawno zapomniany, głęboki uraz przewyciężony i zatarty. Naturalnie, że wstrzymywaliśmy się od wszelkich aluzji. Patrzyliśmy z zadowoleniem, jak w zupełnej pozornie równowadze ducha, w pogodnej jakoby kontemplacji zapisywał skrzącymi stronicami za stronicą swym kaligraficznym, równym pismem. Tym trudniej za to dawały się zatrzeć ślady kompromitującej osobistości biednego kmiotka - wiadomo, jak uporczywie zakorzeniają się tego rodzaju pozostałości na pewnych podłożach. Przeoczałyśmy go umyślnie w ciągu tych pustych tygodni, tańczącego w tym ciemnym kącie na ladzie, z dnia na dzień mniejszego, z dnia na dzień bardziej szarego. Niemal już niedostrzegalny, podrygiwał jeszcze wciąż w tym samym miejscu na swoim posterunku, uśmiechnięty dobrodusznie, zgarbiony nad ladą, pukał niezmiernie uważnie nasłuchując, mówił coś po cichu do siebie. Pukanie stało się właściwym jego powołaniem, w którym zatracił się bezpowrotnie. Nie odwoływałyśmy go. Zbyt daleko już był zaszedł, ażeby go jeszcze można było dosięgnąć.

Dni letnie nie mają zmierzchu. Nim obejrzelśmy się, była już noc w sklepie, zapalono wielką lampę naftową i sprawa sklepowa toczyła się dalej. W te krótkie noce letnie nie opłacało się wracać do domu. Podczas gdy godziny nocy płynęły, siedział ojciec w pozornym skupieniu i znaczył marginesy listów dotknięciami pióra w czarne latające gwiazdki, diabliski atramentu, puszki kosmate, wirujące błędnie w polu widzenia, atomy ciemności oderwane od wielkiej nocy letniej za drzwiami. Ta noc za drzwiami prószyla jak purchawka, wysiewał się w cieniu

umbry ten czarny mikrokosmos ciemności, zaraźliwa wysypka nocy letnich. Okulary oślepiały go, lampa naftowa wisiała za nimi jak pożar otoczony gmatwaniną błyskawic. Ojciec czekał, czekał niecierpliwie, i nasłuchiwał wpatrzony w jaskrawą biel papieru, przez którą płynęły te ciemne galaktyki czarnych gwiazd i pyłów. Poza plecami ojca, niejako bez jego udziału, toczyła się wielka rozgrywka o sprawę sklepu, toczyła się, rzecz dziwna, na obrazie wiszącym za jego głową, między registraturą a lustrem, w jasnym świetle lampy naftowej. Był to obraz-talizman, obraz niedocieczony, obraz-zagadka, interpretowany bez końca, wędrujący z generacji w generację. Cóż przedstawiał? Była to nieskończona dysputa tocząca się od wieków, nigdy nie dokończony proces między dwiema rozbieżnymi zasadami. Stali tam naprzeciw siebie dwaj kupcy, dwie antytezy, dwa światy. - Ja sprzedawałem na kredyt - krzychał chudy, obdarty i osłupiały, i głos załamywał mu się z rozpacz. - Ja sprzedawałem za gotówkę - odpowiadał gruby w fotelu, przekładając nogę przez nogę i kręcąc kciukami splecionych na brzuchu dłoni. Jakże nienawidził ojciec grubego. Znał ich od dziecka. Już na szkolnej ławie napelniał go wstrętem ten opasły egoista pożerający nieskończoną ilość bułek z masłem na pauzach. Ale nie solidaryzował się i z chudym. Ze zdumieniem patrzył, jak cała inicjatywa wymykała mu się z rąk, zagarnięta przez tych dwóch dysputujących. Z zapartym oddechem, z znieruchomiałym zezem zza przesuniętych okularów oczekiwał ojciec wyniku, zjeżony i do głębi przejęty.

Sklep, sklep był niezgłębiony. Był on meta wszystkich myśli, nocnych dociekań, przerażonych zadumań ojca. Niedocieczony i bez granic stał on poza wszystkim, co się działo, mroczny i uniwersalny. W dzień leżały te sukienne generacje, pełne patriarchalnej powagi, ułożone podług starszeństwa, uszeregowane podług pokoleń i descendencji. Ale nocą wyłamywała się buntownicza, sukienka czarność i szturmowała niebo w pantomimicznych tyradach, w lucyferycznych improwizacjach. Jesienią szumiał sklep, wypływał ze siebie wezbrany ciemnym sortymentem zimowego towaru, jak gdyby całe hektary lasów ruszyły z miejsca wielkim, szumiącym krajobrazem. W lecie, w martwym sezonie, mroczniał i cofał

się do swych ciemnych rezerwatów, niedostępny i mrukliwy w swym sukiennym mateczniku. Subiekci walili po nocach drewnianymi łokciami, jak cepami, w głuchą ścianę bali, nasłuchując, jak ryczał boleśnie w głębi, zamurowany w niedźwiedzim jądrze sukiennym.

Po tych głuchych stopniach pilśni ojciec zstępował w głąb genealogii, na dno czasów. Był ostatnim z rodu, był Atlasem, na którego barkach spoczywał ciężar ogromnego testamentu. Dniami i nocami ojciec rozmyślał nad tezą tego testamentu, usiłował w nagłym błysku zrozumieć jego meritum. Nieraz patrzył pytająco, pełen oczekiwania, na subiektów. Sam bez znaków w swej duszy, bez lśnień, bez dyrektyw oczekiwał, że tym młodym i naiwnym, dopiero co przepoczwarzonym, objawi się nagle sens sklepu, który się przed nim zatajał. Przypierał ich do ściany uporczywym mruganiem, ale oni, tępi i bełkocący, uchylali się od jego spojrzenia, uciekali wzrokiem, plotąc w zmieszaniu wierutne nonsensy. Rankami, wsparty na wysokiej lasce, wędrował ojciec, jak pasterz, wśród tej ślepej wełnianej trzody, tych tłumnych zatorów, tych falujących kadłubów beczących, bez głowy, przy wodopoju. Jeszcze czekał, odwlekał jeszcze tę chwilę, kiedy podźwignie cały swój lud i ruszy w zgiełkliwą noc tym objuczonym, mrowiącym się, stokrotnym Izraelem...

Noc za drzwiami była jak z ołowiu - bez przestrzeni, bez powiewu, bez drogi. Po paru krokach kończyła się ślepo. Dreptało się, jak w półśnie, w miejscu u tej prędkiej granicy i podczas gdy nogi więzły, wyczerpawszy skąpą przestrzeń, myśl biegła dalej, bez końca, indagowana nieustannie, brana na spytki, prowadzona przez wszystkie manowce tej czarnej dialektyki. Dyferencjalna analiza nocy toczyła się z siebie samej. Aż w końcu nogi ustawały zupełnie w tym głuchym zaułku bez odpływu. Stało się tam po ciemku, w najintymniejszym zakątku nocy, jakby przed pisuarem, w głuchej ciszy całymi godzinami, z uczuciem błogiego blamażu. Tylko myśl, pozostawiona sobie, odkręcała się z wolna, zawiła anatomia mózgu odwijala się jak z kłębka i wśród zjadliwej dialektyki toczył się bez końca abstrakcyjny traktat nocy letniej, przekoziółkowywał się wśród logicznych łamańców, z obu

stron podtrzymywany przez niestrudzone i cierpliwe indagacje, sofistyczne pytania, na które nie było odpowiedzi. Tak przefilozofowywał się z trudem przez spekulatywne przestrzenie tej nocy i wchodził, już bezcielesny, w ostateczną głąsę.

Było już głęboko po północy, gdy ojciec mój podniósł raptownie głowę znad papierów. Powstał pełen ważności, z rozszerzonymi oczyma, cały w słuch zamieniony. - Idzie - rzekł z rozpromienioną twarzą - otwórzcie. - Nim starszy subiekt Teodor podbiegł do szklanych drzwi, zatarasowanych nocą, już precyzyjnie się przez nie obładowany tobołami, czarnobrody, świetny i uśmiechnięty - gość dawno oczekiwany. Pan Jakub do głębi wzruszony wybiegł naprzeciw, kłaniając się, i wyciągnął obie ręce. Objęli się. Przez chwilę zdawało się, że czarna, niska, błyszcząca lokomotywa pociągu zajechała bezgłośnie pod same drzwi sklepu. Bagażowy w kolejowej czapce wniósł na plecach ogromny kufer.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kim był naprawdę ten gość znakomity. Starszy subiekt Teodor utrzymywał niezłomnie, że był to w własnej osobie Chrystian Seipel i Synowie (przędzalnie i tkalnie mechaniczne). Niewiele przemawiało za tym, matka nie tała zastrzeżeń co do tej koncepcji. Jakkolwiek jednak rzecz się miała, nie było wątpliwości, że musiał to być potężny demon, jeden z filarów Krajowego Związku Kredytorów. Czarna aromatyczna broda okalała jego twarz tłustą, błyszczącą i pełną dostojności. Otoczony przez ojca ramieniem, szedł wśród ukłonów do biurka.

Nie rozumiejąc cudzoziemskiej mowy, słuchaliśmy z respektem tej ceremonialnej konwersacji pełnej uśmiechów, przymykania oczu, delikatnego i pełnego czułości klepania się po plecach. Po wymianie tych wstępnych grzeczności panowie przeszli do rzeczy właściwej. Rozłożono księgi i papiery na biurku, odkorkowano butelkę białego wina. Korzenne cygara w kątach ust, z twarzą ściągniętą w grymas opryskliwego ukontentowania wymieniani panowie krótkie parole, jednozgłoskowe znaki porozumiewawcze, palcem przytrzymując kurczowo właściwą pozycję księgi, z filuternym błyskiem augurów w spojrzeniu. Z wolna dyskusja stawała się gorętsza, znać było z trudem hamowane wzburzenie.

Zakąsywali wargi, cygara wisiały gorzkie i wygasłe, z twarzy nagle zawiedzionych i pełnych niechęci. Drżeli z wewnętrznego wzburzenia. Ojciec mój oddychał przez nos. z wypiekami pod oczyma, włosy zjeżyły mu się nad spoconym czołem. Sytuacja zaogniała się. Była chwila, iż obaj panowie zerwali się ze swych miejsc i stali nieprzytomni, sapiąc ciężko i błyszcząc ślepo szklami okularów. Przerazona matka błagalnie zaczęła klepać ojca po plecach, chcąc zapobiec katastrofie. Na widok damy obaj panowie oprzytomnieli, przypomnieli sobie kodeks towarzyski, uklonili się sobie z uśmiechem i zasiedli do dalszej pracy.

Okolo drugiej po północy ojciec zatrzasnął wreszcie ciężką okładkę książki głównej. Z niepokojem śledziliśmy w twarzach obu rozmówców, na którą stronę przechylało się zwycięstwo. Humor ojca wydawał się nam sztuczny i wymuszony, natomiast czarnobrody rozpierał się w fotelu ze skrzyżowanymi nogami i oddychał całą życzliwością i optymizmem. Z ostentacyjną hojnością rozdelał napiwki między subiektów.

Złożywszy papiery i rachunki, panowie podnosili się znad biurka. Ich miny były nader obiecujące. Mrugając do subiektów porozumiewawczo, dawali do poznania, że pełni są przedsiębiorczości. Markowali ochotę na tęgą birbantkę za plecami matki. Były to czcze przechwałki. Subiekci wiedzieli, co o tym myśleć. Ta noc nie prowadziła nigdzie. Kończyła się nad rynsztokiem, w wiadomym miejscu, ślepią ścianą nicości i wstydliwego blamażu. Wszystkie ścieżki w nią prowadzące wracały do sklepu z powrotem. Wszystkie eskapady w głąb jej przestworów przedsięwzięte miały od początku złamane skrzydła. Subiekci odmrużali z grzeczności.

Czarnobrody i ojciec, ująwszy się pod ramię, wyszli ze sklepu pełni ochoczości, odprowadzani pobłażliwymi spojrzeniami subiektów. Tuż za drzwiami gilotyna nocy ucięła im jednym zamachem głowy, plusnęli w noc jak w czarną wodę.

Kto zbadal bezdeń nocy lipcowej, kto przemierzył, ile sążni w głąb leci się w próżnię, w której się nic nie dzieje? Przeleciawszy całą tę czarną nieskończoność, stali znowu przed drzwiami sklepu, jak gdyby dopiero co wyszli, odzyskując stracone głowy z wczorajszym jeszcze słowem nie użytym na ustach. Stojąc tak,

nie wiedzieć jak długo, gawędzili monotonie, niby to wracając z dalekiej wyprawy, związani koleżeństwem rzekomych przygód i awantur nocnych. Zesuwali wstecz kapelusze gestem podchmielonych, zataczali się na miękkich nogach.

Omijając oświetlony portal sklepu, weszli chyłkiem w bramę domu i zaczęli cichaczem przeprowiać się przez skrzypiące schody piętra. Tak przedostali się na tylny ganek przed okno Adeli i usiłovali zaglądnąć do śpiącej. Nie mogli jej dostrzec, leżała w cieniu z rozchyłonymi udami, spazmując bezprzytomnie w objęciach snu, z głową wstecz odrzuconą i płonąca, fanatycznie snom zaprzysięgła. Dzwonili w czarne szyby, śpiewali sprośne kuplety. Ale ona, z letargicznym uśmiechem na rozchyłonych ustach, wędrowała drętwa i kataleptyczna na swych dalekich drogach, o mile oddalona i niedosięgła.

Wtedy, rozwaleni na poręczach balkonu, ziewali szeroko i głośno, już zrezygnowani, i bębniłi nogami w deski balustrady. O jakiejś późnej i niewiadomej godzinie nocy znajdowali swe ciała, nie wiadomo jakim sposobem, na dwóch wąskich łóżeczkach, unoszone na wysoko spiętrzonej pościeli. Płynęli równolegle, śpiąc na wyścigi, wyprzedzając się na przemian pracowitym galopem chrapania.

Na którymś kilometrze snu - czy nurt senny złączył ich ciała, czy sny ich niepostrzeżenie zeszyły się w jedno? - uczuli w jakimś punkcie tej czarnej bezprzestrzeni, że leżąc sobie w objęciach walczą ze sobą ciężkim bezprzytomnym zmaganiem. Dyszeli sobie w twarz wśród jałowych wysiłków. Czarnobrody leżał na ojcu jak Anioł na Jakubie. Ale ojciec ścisnął go ze wszystkich sił kolanami i odpływając drętwo w głuchą nieobecność, kradł jeszcze po kryjomu krótką posilną drzemkę między jedną rundą a drugą. Tak walczyli, o co? o imię? o Boga? o kontrakt? - zmagali się w śmiertelnym pocie, dobywając z siebie ostatniej siły, podczas gdy nurt snu unosił ich w coraz dalsze i dziwniejsze okolice nocy.

IV

Nazajutrz ojciec kulał lekko na jedną nogę. Twarz jego promieniała. O samym świcie znalazł gotową i olśniewającą pointę listu, o którą walczył daremnie tyle dni i nocy. Czarnobrodego nie ujrzeliśmy więcej. Wyjechał nad ranem z kufrem i tobołami, nie żegnając się z nikim. Była to ostatnia noc martwego sezonu. Od tej nocy letniej licząc, zaczęło się dla sklepu siedem długich lat urodzaju.

Sanatorium Pod Klepsydrą

I

Podróż trwała długo. Na tej bocznej, zapomnianej linii, na której tylko raz na tydzień kursuje pociąg - jechało zaledwie parę pasażerów. Nigdy nie widziałem tych wagonów archaicznego typu, dawno wycofanych na innych liniach, obszernych jak pokoje, ciemnych i pełnych zakamarków. Te korytarze załamujące się pod różnymi kątami, te przedziały puste, labiryntowe i zimne miały w sobie coś dziwnie opuszczonego, coś niemal przerażającego. Przenosiłem się z wagonu do wagonu w poszukiwaniu jakiegoś przytulnego kąta. Wszędzie wiało, zimne przeciągi torowały sobie drogę przez te wnętrza, przewiercały na wskroś cały pociąg. Tu i ówdzie siedzieli ludzie z węzełkami na podłodze, nie śmiejąc zająć pustych kanap nadmiernie wysokich. Zresztą te cedrowe, wypukłe siedzenia zimne były jak lód i lepkie od starości. Na pustych stacjach nie wsiadał ani jeden pasażer. Bez gwizdu, bez sapania pociąg ruszał powoli i jakby w zamyśleniu w dalszą drogę.

Przez jakiś czas towarzyszył mi człowiek w podartym mundurze kolejowca, milczący, pogrążony w myślach. Przyciskał chustkę do spuchniętej, obolałej twarzy. Potem i ten gdzieś przepadł, wysiadł niepostrzeżenie na którymś przystanku. Zostało po nim wyciśnięte miejsce w słomie, zalegającej podłogę, i czarna, zniszczona walizka, którą zapomniał.

Brodząc w słomie i odpadkach, szedłem chwiejnym krokiem od wagonu do wagonu. Drzwi przedziałów chwiały się w przeciągu, na przestrzał otwarte. Nigdzie ani jednego pasażera. Wreszcie spotkałem konduktora w czarnym mundurze służby kolejowej tej linii. Owijał szyję grubą chustką, pakował swoje manatki, latarkę,

książkę urzędową. - Dojeżdżamy, panie - rzekł, spojrzawszy na mnie całkiem białymi oczyma. Pociąg powoli stawał, bez sapania, bez stukotu, jak gdyby życie powoli zeń uchodziło wraz z ostatnim tchnieniem pary. Stanęliśmy. Cisza i pustka, żadnego budynku stacyjnego. Pokazał mi jeszcze, wysiadając, kierunek, w którym leżało Sanatorium. Z walizką w ręku poszedłem białym wąskim gościńcem, uchodzącym niebawem w ciemny gąszcz parku. Z pewną ciekawością przyglądałem się pejzażowi. Droga, którą szedłem, wznosiła się i wyprowadzała na grzbiet łagodnej wyniosłości, z której obejmowało się wielki widnokrąg. Dzień był całkiem szary, przygaszony, bez akcentów. I może pod wpływem tej aury, ciężkiej i bezbarwnej, ciemniała cała ta wielka misa horyzontu, na której aranżował się rozległy, lesisty krajobraz ułożony kulisowe z pasm i warstw zalesienia, coraz dalszych i bardziej szarych, spływających smugami, łagodnymi spadami, to z lewej, to z prawej strony. Cały ten ciemny krajobraz, pełen powagi, zdawał się ledwie dostrzegalnie płynąć sam w sobie, przesuwając się mimo siebie jak chmurne i spiętrzone niebo pełne utajonego ruchu. Płynne pasy i szlaki lasów zdawały się szumieć i rosnać na tym szumie jak przyptyw morza wzbierający niedostrzegalnie ku lądowi. Wśród ciemnej dynamiki lesistego terenu wyniesiona biała droga wiała się jak melodia grzbietem szerokich akordów, naciskana naporem potężnych mas muzycznych, które ją w końcu pochłaniały. Uszczknąłem gałązkę z przydrożnego drzewa. Zieleń liści była całkiem ciemna, niemal czarna. Była to czerń dziwnie nasycona, głęboka i dobroczynna jak sen pełen mocy i posilności. I wszystkie szarości krajobrazu były pochodnymi tej jednej barwy. Taki kolor przybiera krajobraz niekiedy u nas w chmurny zmierzch letni, nasycony długimi deszczami. Ta sama głęboka i spokojna abnegacja, to samo zdrętwienie zrezygnowane i ostateczne, nie potrzebujące już pociechy barw.

W lesie było ciemno jak w nocy. Szedłem omackiem po cichym igliwiu. Gdy drzewa się przeredziły, zadudniły mi pod nogami belki mostu. Na drugim jego końcu, wśród czerni drzew majaczyły szare wielookienne ściany hotelu, reklamującego się jako Sanatorium. Podwójne szklane drzwi u wejścia były

otwarte. Wchodziło się w nie wprost z mostku ujętego z obu stron w chwiejne balustrady z gałęzi brzoźowych. W korytarzu panował półmrok i solenna cisza. Zacząłem na palcach posuwać się od drzwi do drzwi, czytając w ciemności umieszczone nad nimi numery. Na zakręcie natknąłem się wreszcie na pokojówkę. Wybiegła z pokoju, jakby się wyrwała z czyichś rąk natrętnych, zdyszana i wzburzona. Ledwo rozumiała, co do niej mówiłem. Musiałem powtórzyć. Kręciła się bezradnie.

Czy moją depeszę otrzymali? Rozłożyła ręce, jej wzrok powędrował w bok. Czekala tylko na sposobność, by móc skoczyć ku drzwiom wpółotwartym, ku którym zezowała.

- Przyjechałem z daleka, zamówiłem telegraficznie pokój w tym domu - rzekłem z pewnym zniecierpliwieniem. - Do kogo mam się zwrócić?

Nie wiedziała. - Może pan wejdzie do restauracji - plątała się. - Teraz wszyscy śpią. Gdy pan Doktor wstanie, zamelduję pana.

- Śpią? Przecież jest dzień, daleko jeszcze do nocy...

- U nas ciągle śpią. Pan nie wie? - Podniosła na mnie zaciekawione oczy. - Zresztą tu nigdy nie jest noc - dodała z kokieterią. Już nie chciała uciekać, skubała w rękach koronkę fartuszka, kręcąc się.

Zostawiłem ją. Wszedłem do ciemnej na wpół restauracji. Stały tu stoliki, wielki bufet zajmował szerokość całej ściany. Po długim czasie uczułem znowu pewien apetyt. Cieszył mnie widok ciast i tortów, którymi obficie były zastawione płyty bufetu.

Położyłem walizkę na jednym ze stolików. Wszystkie były puste. Klasnąłem w ręce. Żadnej odpowiedzi. Zajrzałem do sąsiedniej sali, większej i jaśniejszej. Sala ta otwarta była szerokim oknem czy loggią na znany mi już pejzaż, który w obramowaniu framugi stał ze swoim głębokim smutkiem i rezygnacją jak żałobne memento. Na obrusach stolików widać było resztki niedawnego posiłku, odkorkowane butelki, na wpół opróżnione kieliszki. Gdziekolwiek leżały nawet jeszcze napiwki nie podjęte przez służbę. Wróciłem do bufetu, przyglądając się

ciastom i pasztetom. Miały wygląd nader smakowity. Zastanawiałem się, czy wypada samemu się obsłużyć. Uczulem napływ niezwykłego łakomstwa. Zwłaszcza pewien gatunek kruchego ciasta z marmoladą jabłeczną napędzał mi do ust oskome. Już chciałem podważyć jedno z tych ciast srebrną łąpatką, gdy uczulem za sobą czyjąś obecność. Pokojówka weszła na cichych pantoflach i dotykała mi pleców palcami. - Pan Doktor prosi pana - rzekła, oglądając swoje paznokcie.

Szła przede mną - i pewna magnetyzmu, jaki wywierało granie jej bioder, nie odwracała się wcale. Bawiła się nasilaniem tego magnetyzmu, regulując odległość naszych ciał, podczas gdy mijaliśmy dziesiątki drzwi opatrzonych numerami. Korytarz ściemniał się coraz bardziej. W zupełnej już ciemności oparła się przelotnie o mnie. - Tu są drzwi Doktora - szepnęła - proszę wejść.

Doktor Gotard przyjął mnie, stojąc na środku pokoju. Był to mężczyzna małego wzrostu, szeroki w barkach, z czarnym zarostem.

- Dostaliśmy pańską depeszę jeszcze wczoraj - rzekł. - Wysłaliśmy kocz zakładowy na stację, ale przyjechał pan innym pociągiem. Niestety, połączenie kolejowe jest nie najlepsze. Jakże się pan czuje?

- Czy ojciec żyje? - zapytałem, zatapiając wzrok niespokojny w jego uśmiechniętej twarzy.

- Żyje, naturalnie - rzekł, wytrzymując spokojnie moje żarliwe spojrzenie. - Oczywiście w granicach uwarunkowanych sytuacją - dodał, przymrużając oczy. - Wie pan równie dobrze jak ja, że z punktu widzenia pańskiego domu, z perspektywy pańskiej ojczyzny - ojciec umarł. To się nie da całkiem odrobić. Ta śmierć rzuca pewien cień na jego tutejszą egzystencję.

- Ale ojciec sam nie wie, nie domyśla się? - zapytałem szeptem. Potrząsnął głową z głębokim przekonaniem. - Niech pan będzie spokojny - rzekł przyciszonym głosem - nasi pacjenci nie domyślają się, nie mogą się domyślić...

- Cały trick polega na tym - dodał, gotów mechanizm jego demonstrować na palcach, już ku temu przygotowanych - że cofnęliśmy czas. Spóźniamy się tu z czasem o pewien interwał, którego wielkości niepodobna określić. Rzecz sprowadza

się do prostego relatywizmu. Tu po prostu jeszcze śmierć ojca nie doszła do skutku, ta śmierć, która go w pańskiej ojczyźnie już dosięgła.

- W takim razie - rzekłem - ojciec jest umierający lub bliski śmierci...

- Nie rozumie mnie pan - odrzekł tonem pobłażliwego zniecierpliwienia. - Reaktywujemy tu przeszły czas z jego wszystkimi możliwościami, a zatem i z możliwością wyzdrowienia.

Patrzył na mnie z uśmiechem, trzymając się za brodę.

- Ale teraz zechce pan pewnie zobaczyć się z ojcem. Stosownie do pańskiego zlecenia zarezerwowaliśmy dla pana drugie łóżko w pokoju ojca. Zaprowadzę pana.

Gdyśmy wyszli na ciemny korytarz, Doktor Gotard już mówił szeptem. Zauważyłem, że ma na nogach filcowe pantofle, jak pokojówka.

- Dajemy naszym pacjentom długo się wysypiać, oszczędzamy ich energię życiową. Zresztą i tak nie mają tu nic lepszego do roboty.

Pod którymiś tam drzwiami zatrzymał się. Przyłożył palec do ust.

- Niechże pan wejdzie cicho - ojciec śpi. Niech się pan także położy. To najlepsze, co pan może w tej chwili uczynić. Do widzenia.

- Do widzenia - szepnąłem, czując bicie serca podchodzące mi do gardła. Nacisnąłem klamkę, drzwi poddały się same, uchyliły jak usta otwierające się bezbronnie we śnie. Wszedłem do środka. Pokój był prawie pusty, szary i nagi. Na zwykłym drewnianym łóżku pod małym okienkiem leżał mój ojciec w obfitej pościeli i spał. Głęboki jego oddech wyładowywał całe pokłady chrapania z głębi snu. Cały pokój zdawał się być już wyłożony tym chrapaniem, od podłogi do sufitu, a wciąż jeszcze przybywały nowe pozycje. Pełen wzruszenia patrzyłem na wychudzoną, zmizerowaną twarz ojca, pochłoniętą teraz całkiem przez tę pracę chrapania, twarz, która w dalekim transie - porzuciwszy swą ziemską powłokę - spowiadała się gdzieś na odległym brzegu ze swej egzystencji uroczystym wyliczaniem swych minut.

Drugiego łóżka nie było. Od okna ciągnęło przenikliwe zimno. Piec był nieopalony.

Nie zdają się tu zbyt troszczyć o pacjentów - myślałem sobie. Tak chory człowiek wydany na pastwę przeciągów! I nikt chyba tu nie sprząta. Gruba warstwa kurzu zalegała podłogę, pokrywała szafkę nocną z lekarstwami i ze szklanką wystygłej kawy. Na bufecie leżą stosy ciastek, a pacjentom dają czystą czarną kawę zamiast czegoś posilnego! Ale wobec dobrodziejstw cofniętego czasu jest to naturalnie drobnostką.

Rozebrałem się powoli i wsunąłem się do łóżka ojca. Nie obudził się. Chrapanie jego tylko, widocznie za wysoko już spiętrzone, zeszło o oktawę niżej, rezygnując z gómolotności swej deklamacji. Stało się niejako prywatnym chrapaniem, na własny użytek. Obcisnąłem dookoła ojca pierzynę, chroniąc go, ile możliwości, od wiejącego z okna przeciągu. Wkrótce zasnąłem obok niego.

II

Gdy się obudziłem, był zmrok w pokoju. Ojciec siedział już ubrany przy stole i pił herbatę, maczając w niej sucharki z lukrem. Miał na sobie nowe jeszcze, czarne ubranie z angielskiego sukna, które sprawił sobie ostatniego lata. Krawat jego był trochę niedbale związany.

Widząc, że nie śpię, rzekł z miłym uśmiechem w swojej przybladłej od choroby twarzy: - Ucieszyłem się serdecznie, żeś przyjechał, Józefie. Co za niespodzianka! Czuję się tu tak samotny. Nie można się co prawda w mojej sytuacji uskarżać, przeszedłem już gorsze rzeczy i gdybyście wyciągnąć *facit* ze wszystkich pozycji... Ale mniejsza o to. Wyobraź sobie, podano mi tu zaraz pierwszego dnia wspaniałą *filet de boeuf* z grzybkami. Była to piekielna sztuka mięsa, Józefie. Ostrzegam cię najusilniej - gdyby ci tu kiedykolwiek miano podać *filet de boeuf*... Jeszcze czuję ogień w brzuchu. I diarea za diareą... Nie mogłem sobie całkiem dać rady. Ale muszę ci oznajmić nowinę - ciągnął dalej. - Nie śmieję się, wynająłem tu lokal na sklep. Tak jest. I gratuluję sobie tego pomysłu. Nudziłem się, wiesz,

serdecznie. Nie masz wyobrażenia, co za nudy tu panują. A tak mam przynajmniej przyjemne zajęcia. Nie wyobrażaj sobie znów żadnych wspaniałości. Skądże znowu. Daleko skromniejszy lokal niż nasz dawny magazyn. Po prostu buda w porównaniu z tamtym. U nas w mieście wstydzilibym się takiego straganu, ale tutaj, gdzieśmy tyle musieli popuścić z naszych pretensyj - nieprawdaż, Józefie?... - Zaśmiał się boleśnie. - I tak jakoś się żyje. - Zrobiło mi się przykro. Wstydzilem się zmieszania ojca, który spostrzegł, że użył niewłaściwego wyrazu.

- Widzę, żeś śpiący - rzekł po chwili. - Prześpij się jeszcze trochę, a potem odwiedzisz mnie w sklepie - nieprawdaż? Właśnie tam śpieszę, żeby zobaczyć, jak interesy idą. Nie masz pojęcia, jak trudno było o kredyt, z jakim niedowierzaniem odnoszą się tu do starych kupców, do kupców z poważną przeszłością... Przypominasz sobie lokal optyka na rynku? Otóż zaraz obok jest nasz sklep. Szyldu jeszcze nie ma, ale i tak trafisz. Trudno się omylić.

- Czy ojciec wychodzi bez palta? - zapytałem z niepokojem.

- Zapomniano mi je zapakować - wyobraź sobie - nie znalazłem go w kufrze, ale zupełnie mi go nie brak. Ten łagodny klimat, ta słodka aura!...

- Niech ojciec weźmie moje palto - nalegałem - proszę koniecznie wziąć. - Ale ojciec już wkładał kapelusz. Kiwnął mi ręką i wysunął się z pokoju.

Nie, nie byłem już śpiący. Czułem się wypoczęty... i głodny. Z przyjemnością przypomniałem sobie bufet zastawiony ciastkami. Ubierałem się, myśląc, jak sobie dogodzę na rozmaitych rodzajach tych przysmaków. Pierwszeństwo zamierzałem dać kruchemu ciastu z jabłkami, nie zapominając o świetnym biszkopcie nadziewanym łupką pomarańczową, który tam widziałem. Stanąłem przed lustrem, aby zawiązać krawat, ale powierzchnia jego, jak zwierciadło sferyczne, zataiła gdzieś w głębi mój obraz, wirując mętną tonią. Nadaremnie regulowałem oddalenie, podchodząc, cofając się - ze srebrnej płynnej mgły nie chciało wyłonić się żadne odbicie. Muszę kazać dać inne lustro - pomyślałem sobie i wyszedłem z pokoju.

Na korytarzu było całkiem ciemno. Wrażenie solennej ciszy potęgowała jeszcze nikła lampa gazowa, płonąca niebieskawym płomykiem na zakręcie. W tym

labiryncie drzwi, framug i zakamarków trudno mi było przypomnieć sobie wejście do restauracji. Wyjdę na miasto - pomyślałem z nagłym postanowieniem. Zjem gdzieś na mieście. Znajdę tam chyba jakąś dobrą cukiernię.

Owiało mnie za bramą ciężkie, wilgotne i słodkie powietrze tego szczególnego klimatu. Chroniczna szarość aury zeszła jeszcze o kilka odcieni głębiej. Był to jakby dzień widziany przez kir żałobny.

Nie mogłem nasycić oczu aksamitną, soczystą czamością najciemniejszych partij, gamą zgaszonych szarości pluszowych popiołów, przebiegającą pasażami stłumionych tonów, złamanych dławikiem klawiszy - ten nokturn pejzażu. Obfite i fałdziste powietrze obłopotało mi twarz miękką płachtą. Miało w sobie mdłą słodycz odstałej deszczówki.

Znowu ten powracający sam w siebie szum czarnych lasów, głuche akordy, wzburzające przestworza już poza skalą słyszalności! Byłem na tylnym dziedzińcu Sanatorium. Obejrzałem się na wysokie mury tej oficyny głównego budynku załamanego w podkowę. Wszystkie okna zamknięte były na czarne okiennice. Sanatorium spało głęboko. Minałem bramę w żelaznych sztachetach. Obok niej stała buda psa - niezwykłych rozmiarów - opuszczona. Znow wchłonał mnie i przytulił czarny las, w którego ciemnościach szedłem omackiem, jakby z zamkniętymi oczyma, na cichym igliwiu. Gdy się trochę rozwidniło, zarysowały się między drzewami kontury domów. Jeszcze kilka kroków i byłem na obszernym placu miejskim.

Dziwne, mylące podobieństwo do rynku naszego miasta rodzinnego! Jak podobne są w samej rzeczy wszystkie rynki na świecie! Niemal te same domy i sklepy!

Chodniki były prawie puste. Żałobny i późny półbrzask nieokreślonej pory prószył z nieba o niezdefiniowanej szarości. Czytałem z łatwością wszystkie afisze i szyldy, a jednak nie byłbym zdziwiony, gdyby mi powiedziano, że to noc głęboka! Tylko niektóre sklepy były otwarte. Inne miały na wpół zasunięte żaluzje, zamykano je pośpiesznie. Tęgie i bujne powietrze, powietrze upojne i bogate,

pochłaniało miejscami część widoku, zmywało jak mokra gąbka parę domów, latarnię, kawałek szyldu. Chwilami trudno było unieść powieki, zapadające przez dziwne niedbalstwo czy senność. Zacząłem szukać sklepu optyka, o którym wspominał ojciec. Mówił o tym jak o czymś mi znanym, odwoływał się jakby do mojej znajomości lokalnych stosunków. Czy nie wiedział, że byłem tu pierwszy raz? Bez wątplenia plątało mu się w głowie. Ale czegoż, można było oczekiwać od ojca na wpół tylko rzeczywistego, żyjącego życiem tak warunkowym, relatywnym, ograniczonym tylu zastrzeżeniami! Trudno zataić, że trzeba było dużo dobrej woli, ażeby przyznać mu pewien rodzaj egzystencji. Był to godny politowania surogat życia, zawisły od powszechnej pobłażliwości, od tego *consensus omnium*, z którego czerpał swe nikłe soki. Jasnym było, że tylko dzięki solidarnemu patrzeniu przez palce, zbiorowemu przymykaniu oczu na oczywiste i rażące niedomogi tego stanu rzeczy mógł się utrzymać przez chwilę w tkance rzeczywistości ten żalony pozór życia. Najlżejsza opozycja mogła go zachwiać, najslabszy podmuch sceptycyzmu obalić. Czy Sanatorium Doktora Gotarda mogło mu zapewnić tę cieplarnianą atmosferę życzliwej tolerancji, ochronić od zimnych podmuchów trzeźwości i krytycyzmu? Należało się dziwić, że przy tym zagrożonym, zakwestionowanym stanie rzeczy ojciec potrafił jeszcze zachować tak znakomitą postawę.

Ucieszyłem się, ujrzawszy okno wystawowe cukierni, wypełnione babkami i tortami. Mój apetyt odżył. Otworzyłem szklane drzwi z tablicą "lody" i wszedłem do ciemnego lokalu. Pachniało tam kawą i wanilią. Z głębi sklepu wyszła panienska, z twarzą zamazaną zmierzchem, i przyjęła zamówienie. Nareszcie po tak długim czasie mogłem raz posilić się do syta świetnymi pączkami, które maczałem w kawie. W ciemności, obtańczony wirującymi arabeskami zmierzchu, pochłaniałem wciąż nowe ciastka, czując, jak warowanie ciemności wciska się pod powieki, opanowuje cichaczem me wnętrzości swym ciepłym pulsowaniem, milionowym rojowiskiem delikatnych dotknięć. Wreszcie już tylko prostokąt okna świecił szarą plamą w zupełnej ciemności. Nadaremnie stukałem łyżeczką w płytę stołu. Nikt nie zjawiał się, aby przyjąć należytość za posiłek. Zostawiłem monetę srebrną na stole i

wyszedłem na ulicę. W księgami obok świeciło się jeszcze. Subiekci zajęci byli sortowaniem książek. Zapytałem o sklep ojca. To właśnie drugi lokal obok nas - objaśnili mnie. Usłużny chłopak podbiegł nawet do drzwi, ażeby mi pokazać. Portal był szklany, okno wystawowe jeszcze niegotowe, zasłonięte szarym papierem. Już ode drzwi zauważyłem ze zdziwieniem, że sklep był pełny kupujących. Mój ojciec stał za ladą i sumował, śliniąc wciąż ołówek, pozycje długiego rachunku. Pan, dla którego wygotowywano ten rachunek, pochylony nad ladą, posuwał palcem wskazującym za każdą dodaną cyfrą, licząc półgłosem. Reszta gości przyglądała się w milczeniu. Mój ojciec rzucił na mnie spojrzenie znad okularów i rzekł, przytrzymując pozycję, na której się zatrzymał: - Jest tu jakiś list do ciebie, leży na biurku między papierami - i znów pogrążył się w liczeniu. Subiekci tymczasem odkładali kupione towary, zawijali je w papier, obwiązywali sznurkami. Regały były tylko częściowo wypełnione sukmem. Większa część była jeszcze pusta.

- Dlaczego ojciec nie siada sobie? - zapytałem cicho, wszedłszy za ladę. - Wcale ojciec nie uważa na siebie, będąc tak chorym. - Podniósł wzbraniająco dłoń, jak gdyby oddalał moje perswazje, i nie przestawał rachować. Miał wygląd bardzo mizerny. Leżało jak na dłoni, że tylko sztuczne podniecenie, gorączkowa czynność podtrzymuje jego siły, oddala jeszcze chwilę zupełnego załamania.

Poszukałem na biurku. Był to raczej pakiet niż list. Przed kilkoma dniami pisałem do księgami w sprawie pewnej książki pornograficznej i oto posyłano mi ją tu, znaleziono mój adres, a raczej adres ojca, który zaledwie otworzył sobie sklep, bez szyldu i firmy. W istocie zdumiewająca organizacja wywiadu, godna podziwu sprawność ekspedycji! I ten niezwykły pośpiech!

- Możesz sobie przeczytać z tyłu w kontuarze - rzekł ojciec, posyłając mi niezadowolone spojrzenie - widzisz sam, że tu nie ma miejsca.

Kontuar za sklepem był jeszcze pusty. Przez szklane drzwi wpadało tam nieco światła ze sklepu. Na ścianach wisiały palta subiektów. Otworzyłem list i zacząłem czytać w słabym świetle ode drzwi.

Donoszono mi, że książki żądanej nie było niestety na składzie. Wszczęto poszukiwania za nią, ale nie uprzedzając wyniku, pozwala sobie firma przesłać mi tymczasem, nieobowiązująco, pewien artykuł, dla którego przewidywano moje niewątpliwe zainteresowanie. Następował teraz zawili opis składanego refraktora astronomicznego, o wielkiej sile świetlnej i rozlicznych zaletach. Zaciekawiony, wydobyłem z koperty ten instrument zrobiony z czarnej ceraty lub sztywnego płótna złożonego w płaską harmonijkę. Miałem zawsze słabość do teleskopów. Zacząłem rozkładać wielokrotnie złożony płaszcz instrumentu. Usztywniony cienkimi pręcikami, rozbudowywał mi się pod rękami ogromny miech dalekowidza, wyciągający na długość całego pokoju swą pustą budę, labirynt czarnych komór, długi kompleks ciemni optycznych wsuniętych w siebie do połowy. Było to coś na kształt długiego auta z łąkowego płótna, jakiś rekwizyt teatralny imitujący w lekkim materiale papieru i sztywnego drelichu masywność rzeczywistości. Spojrzałem w czarny lejek okularu i ujrzałem w głębi zaledwie majaczące zarysy podwórzowej fasady Sanatorium. Zaciekawiony, wsunąłem się głębiej w tylną komorę aparatu. Śledziłem teraz w polu widzenia lunety pokojówkę idącą półciemnym korytarzem Sanatorium z tacą w ręku. Odwróciła się i uśmiechnęła. Czy ona mnie widzi? - pomyślałem sobie. Nieodparta senność przesłaniała mi mgłą oczy. Siedziałem właściwie w tylnej komorze lunety jakby w limuzynie wozu. Lekkie poruszenie dźwigni i oto aparat zaczął szeleścić łopotem papierowego motyla i uczułem, że porusza się wraz ze mną i skręca ku drzwiom.

Jak wielka czarna gąsienica wyjechała luneta do oświetlonego sklepu - wieloczłonkowy kadłub, ogromny papierowy karakon z imitacją dwóch latarni na przedzie. Kupujący stłoczyli się, cofając się przed tym ślepym smokiem papierowym, subiekci otworzyli szeroko drzwi na ulicę i wyjechałem powoli tym papierowym autem, wśród szpaleru gości odprowadzających zgorszonym spojrzeniem ten w istocie skandaliczny wyjazd.

III

Tak żyje się w tym mieście i czas upływa. Większą część dnia przesypia się, i to nie tylko w łóżku. Nie, nie jest się zbyt wybrednym na tym punkcie. W każdym miejscu i o każdej porze dnia gotów jest człowiek uciąć sobie tutaj smaczną drzemkę. Z głową opartą o stół w restauracji, w dorożce, a nawet na stojącą po drodze, w sieni jakiegoś domu, do której wpada się na chwilę, ażeby ulec na moment nieodpartej potrzebie snu.

Budząc się, zamroczeni jeszcze i chwiejni, ciągniemy dalej przerwana rozmowę, kontynuujemy uciążliwą drogę, toczymy naprzód zawiłą sprawę bez początku i końca. Skutkiem tego gubią się kędyś po drodze mimochodem całe interwały czasu, tracimy kontrolę nad ciągłością dnia i w końcu przestajemy na nią nalegać, rezygnujemy bez żalu ze szkieletu nieprzerwanej chronologii, do której bacznego nadzorowania przywykliśmy ongiś z nałogu i z troskliwej dyscypliny codziennej. Dawno poświęciliśmy tę nieustanną gotowość do złożenia rachunku z przebytego czasu, tę skrupulatność w wyliczaniu się co do grosza z zużytych godzin - dumę i ambicję naszej ekonomiki. Z tych kardynalnych cnót, w których nie znaliśmy ongiś wahania ani uchybienia - kapitulowaliśmy dawno.

Parę przykładów niechaj posłuży za ilustrację tego stanu rzeczy. O jakiejś porze dnia i nocy - ledwo widoczna niuansa nieba odróżnia te pory - budzę się przy balustradzie mostku prowadzącego do Sanatorium. Jest zmierzch. Musiałem, zmorzony sennością, długo bezwiednie wędrować po mieście, nim dowlokłem się, śmiertelnie zmęczony, do tego mostku. Nie mogę powiedzieć, czy w drodze tej towarzyszył mi cały czas Dr Gotard, który stoi teraz przede mną, kończąc jakiś długi wywód wyprowadzeniem statecznych wniosków. Porwany własną wymową, bierze mnie nawet pod ramię i pociąga za sobą. Idę z nim i nim jeszcze przekroczyliśmy dudniące deski mostku, już śpię na nowo. Przez zamknięte powieki widzę niejasno wnikliwą gestykulację Doktora, uśmiech w głębi jego

czarnej brody i staram się na darmo pojąć ten kapitalny chwyt logiczny, ten ostateczny atut, którym na szczycie swej argumentacji, nieruchomiejąc z rozłożonymi rękami, triumfuje. Nie wiem, jak długo jeszcze idziemy tak obok siebie pogrążeni w rozmowie pełnej nieporozumień, gdy w pewnej chwili ocykam się zupełnie. Doktora Gotarda już nie ma, jest całkiem ciemno, ale to tylko dlatego, że trzymam oczy zamknięte. Otwieram je i jestem w łóżku, w moim pokoju, do którego nie wiem, jakim się dostałem sposobem.

Jeszcze drastyczniejszy przykład:

Wchodzę w obiadowej porze do restauracji na mieście, w bezładny gwar i zamęt jedzących. I kogóż spotykam tu na środku sali przed stołem uginającym się od potraw? Ojca. Wszystkie oczy skierowane są na niego, a on, błyszcząc brylantową szpilką, niezwykle ożywiony, rozanielony do ekstazy, przechyla się z afektacją na wszystkie strony w wylewnej rozmowie z całą salą od razu. Ze sztuczną brawurą, na którą patrzeć nie mogę bez najwyższego niepokoju, zamawia wciąż nowe potrawy, które piętrzą się stosami na stole. Z lubością gromadzi je dookoła siebie, chociaż nie uporał się jeszcze z pierwszym daniem. Mlaskając językiem, żując i mówiąc jednocześnie, markuje on gestami, mimiką najwyższe ukontentowanie tą biesiadą, wodzi wielbiącym wzrokiem za panem Adasiem, kelnerem, któremu z rozkochanym uśmiechem rzuca wciąż nowe zlecenia. I gdy kelner, wzięc serwetę, biegnie je spełnić, ojciec apeluje błagalnym gestem do wszystkich, bierze wszystkich na świadków nieodpartego czaru tego Ganimeda.

- Nieoceniony chłopak - woła z błogim uśmiechem, przymykając oczy - anielski chłopak! Przyznajcie, panowie, że jest czarujący!

Wycofuję się z sali pełen niesmaku, nie zauważony przez ojca. Gdyby był umyślnie dla reklamy nastawiony przez zarząd hotelu dla animowania gości, nie mógłby bardziej prowokująco i ostentacyjnie się zachowywać. Z głową ćmiącą się od senności zataczam się ulicami, zdążając do domu. Na skrzynce pocztowej opieram chwilę głowę i robię sobie krótką sjęstę. Wreszcie domacuję się w ciemności bramy Sanatorium i wchodzę. W pokoju jest ciemno. Przekręcę

kontakt, ale elektryczność nie funkcjonuje. Od okna wieje zimnem. Łóżko skrzypi w ciemności. Ojciec podnosi znad pościeli głowę i mówi: - Ach, Józefie, Józefie! Leżę tu już od dwóch dni bez żadnej opieki, dzwonki są przerwane, nikt do mnie nie zagląda, a własny syn opuszcza mnie, ciężko chorego człowieka, i włóczy się za dziewczętami po mieście. Popatrz, jak mi serce wali.

Jak to pogodzić? Czy ojciec siedzi w restauracji, ogarnięty niezdrową ambicją żarłoczności, czy leży w swoim pokoju, ciężko chory? Czy jest dwóch ojców? Nic podobnego. Wszystkiemu winien jest prędko rozpad czasu, nie nadzorowanego nieustanną czujnością.

Wiemy wszyscy, że ten niezdyscyplinowany żywioł trzyma się jedynie od biedy w pewnych ryzach dzięki nieustannej uprawie, pieczołowitej troskliwości, starannej regulacji i korygowaniu jego wybryków. Pozbawiony tej opieki skłania się natychmiast do przekroczeń, do dzikiej aberracji, do płatania nieobliczalnych figlów, do bezkształtnego błaznowania. Coraz wyraźniej zarysowuje się inkongruencja naszych indywidualnych czasów. Czas mego ojca i mój własny czas już do siebie nie przystawały.

Nawiasem mówiąc, zarzut rozwiązłości obyczajów, uczyniony mi przez ojca, jest bezpodstawną insynuacją. Nie zbliżyłem się jeszcze tu do żadnej dziewczyny. Zataczając się jak pijany od jednego snu do drugiego, ledwo zwracam uwagę w trzeźwiejących chwilach na tutejszą płęć piękną.

Zresztą chroniony zmrok na ulicach nie pozwala nawet dokładnie rozróżnić twarzy. Co jedynie zdołałem zauważyć, jako młody człowiek mający jeszcze na tym polu bądź co bądź pewne zainteresowania - to osobliwy chód tych panienek.

Jest to chód w nieubłaganie prostej linii, nie liczący się z żadnymi przeszkodami, posłuszny tylko jakiemuś wewnętrznemu rytmowi, jakiemuś prawu, które odwijają one jak z kłębka w nić prostolinijnego truchciku pełnego akurataności i odmierzonej gracji.

Każda nosi w sobie jakieś inne, indywidualne prawidło, jak nakręconą sprężynkę.

Gdy tak idą prosto przed siebie, wpatrzone w to prawidło, pełne skupienia i powagi, wydaje się, że przejęte są jedyną tylko troską, by nie uronić nic z niego, nie zmylić trudnej reguły, nie zboczyć od niej ani na milimetr. I wtedy jasnym się staje, że to, co z taką uwagą i przejęciem niosą nad sobą, nie jest niczym innym jak jakąś *idée fixe* własnej doskonałości, która przez moc ich przekonania staje się niemal rzeczywistością. Jest to jakaś antycypacja powzięta na własne ryzyko, bez żadnej poręki, dogmat nietykalny, wyniesiony ponad wszelką wątpliwość.

Jakich mankamentów i usterek, jakich nosków perkatych lub spłaszczonych, jakich piegów i pryszczyci nie przemycają z brawurą pod flagą tej fikcji! Nie ma takiej brzydoty i pospolitości, której by wzlot tej wiary nie porywał ze sobą w to fikcyjne niebo doskonałości.

Pod sankcją tej wiary ciało pięknieje wyraźniej, a nogi, kształtne istotnie i elastyczne nogi w nieskazitelnym obuwiu, mówią swym chodem, eksplikują skwapliwie płynnym, połyskliwym monologiem stapania bogactwo tej idei, którą zamknięta twarz przez dumę przemilcza. Ręce trzymają w kieszeniach swych krótkich, obcisłych żakiecików. W kawiarni i w teatrze zakładają nogi wysoko odsłonięte do kolan i milczą nimi wymownie. Tyle mimochodem tylko o jednej z osobliwości miasta. Wspomniałem już o czarnej roślinności tutejszej. Na uwagę zasługuje zwłaszcza pewien gatunek czarnej paproci, której ogromne pęki zdobią flakony w każdym tutejszym mieszkaniu i w każdym lokalu publicznym. Jest to niemal żałobny symbol, funebryczny herb tego miasta.

IV

Stosunki w Sanatorium stają się z dniem każdym nieznośniejsze. Trudno zaprzeczyć, że wpadliśmy po prostu w pułapkę. Od chwili mego przyjazdu, w której przed przybyłym rozsnuto pewne pozory gościnnej zabieглиwości - zarząd Sanatorium nie zadaje sobie najmniejszego trudu, żeby nam choćby zostawić złudzenie jakiejś opieki. Jesteśmy po prostu zdani na siebie samych. Nikt nie

troszczy się o nasze potrzeby. Od dawna stwierdziłem, że przewody dzwonek elektrycznych urywają się zaraz nad drzwiami i nigdzie nie prowadzą. Służby nie widać. Korytarze pogrążone są dzień i noc w ciemności i ciszy. Mam silne przekonanie, że jesteśmy jedynymi gośćmi w tym sanatorium i że tajemnicze i dyskretne miny, z jakimi pokojówka zaciska drzwi pokoi, wchodząc lub wychodząc, są po prostu mistyfikacją.

Miałbym niekiedy ochotę otworzyć po kolei szeroko drzwi tych pokoi i zostawić je tak na oścież otwarte, żeby zdemaskować tę niecną intrygę, w którą nas wplątano.

A jednak nie jestem całkiem pewny moich podejrzeń. Czasami późno w nocy widzę Dra Gotarda w korytarzu, jak śpieszy gdzieś w białym płaszczu operacyjnym, ze szprycą lewatywy w rękę, poprzedzany przez pokojówkę. Trudno go wtedy zatrzymać w pośpiechu i przyprzeć do muru zdecydowanym pytaniem.

Gdyby nie restauracja i cukiernia w mieście, można by umrzeć z głodu. Dotychczas nie mogłem się doprosić drugiego łóżka. O świeżej pościeli nie ma mowy. Trzeba przyznać, że powszechne rozprzężenie obyczajów kulturalnych nie oszczędziło i nas samych.

Wejść do łóżka w ubraniu i w butach było dla mnie zawsze, jako dla człowieka cywilizowanego, rzeczą po prostu nie do pomyślenia. A teraz przychodzę późno do domu, pijany od senności, w pokoju półmrok, firanki u okna wzdęte od zimnego tchu. Bezprzytomny walę się na łóżko i zagrzebuję w pierzyny. Śpię tak przez całe nieregularne przestrzenie czasu, dni czy tygodnie, podróżując przez puste krajobrazy snu, ciągle w drodze, ciągle na stromych gościńcach respiracji, raz zjeżdżając lekko i elastycznie z łagodnych pochyłości, to znowu pnąc się z trudem na prostopadłą ścianę chrapania. Dosięgłszy szczytu, obejmuję ogromne widnokreśli tej skalistej i głuchej pustyni snu. O jakiejś porze, w niewiadomym punkcie, gdzieś na raptownym skrócie chrapania budzę się na wpół przytomny i czuję w nogach ciało ojca. Leży tam zwinięty w kłębek, mały jak kociak. Zasypiam znowu z

otwartymi ustami i cała ogromna panorama górzystego krajobrazu przesuwa się mimo mnie falisto i majestatycznie.

W sklepie rozwija ojciec pełną ożywienia czynność, przeprowadza transakcje, wyteża całą swoją swadę dla przekonania klientów. Policzki jego są zarumienione od ożywienia, oczy błyszczą. W Sanatorium leży ciężko chory, jak w ostatnich tygodniach w domu. Trudno zataić, że proces szybkim krokiem zbliża się do fatalnego końca. Słabym głosem mówi do mnie: - Powinieneś częściej zachodzić do sklepu, Józefie. Subiekci nas okradają. Widzisz przecież, że nie mogę już sprostać zadaniu. Leżę tu od tygodni chory, a sklep marnuje się, zdany na łaskę losu. Czy nie było jakiejś poczty z domu?

Zaczynam żałować całej tej imprezy. Trudno nazwać szczęśliwym pomysłem, żeśmy, uwiedzeni szumną reklamą, wysłali tu ojca. Cofnięty czas... w samej rzeczy pięknie to brzmi, ale czymże okazuje się w istocie? Czy dostaje się tu pełnowartościowy, rzetelny czas, czas niejako ze świeżego postawu odwinięty, pachnący nowością i farbą? Wprost przeciwnie. Jest to do cna zużyty, znoszony przez ludzi czas, czas przetarty i dziurawy w wielu miejscach, przezroczysty jak sito.

Nic dziwnego, toż to jest czas niejako zwymiotowany - proszę mnie dobrze zrozumieć - czas z drugiej ręki. Pożal się, Boże!...

Przy tym cała ta wysoce niewłaściwa manipulacja z czasem. Te zdrożne konszachty, zakradanie się od tyłu w jego mechanizm, ryzykowne paluszkowanie koło jego drażliwych tajemnic! Niekiedy chciałoby się uderzyć w stół i zawołać na całe gardło: - Dość tego, wara wam od czasu, czas jest nietykalny, czasu nie wolno prowokować! Czy nie dość wam przestrzeni? Przestrzeń jest dla człowieka, w przestrzeni możecie bujać do woli, koziołkować, przewracać się, skakać z gwiazdy na gwiazdę. Ale przez miłość boską nie tykać czasu!

Z drugiej strony, czy można żądać ode mnie, żebym sam wypowiedział umowę Doktorowi Gotardowi? Jakakolwiek jest ta nędzna egzystencja ojca, ale widzę go

байдь ко байдь, jestem z nim razem, мовію з ним... Власцівіе вініенем Докторові Gotardові нескоңчзонау вдзідчность.

Kilkakrotnie chciałem się z nim otwarcie rozmówić. Ale Doktor Gotard jest nieuchwytny. - Właśnie poszedł do sali restauracyjnej - oznajmia mi pokojówka. Kieruję się tam, gdy dogania mnie ona, ażeby powiedzieć, że się pomyliła. Dr Gotard jest w sali operacyjnej. Spieszę na piętro, zastanawiając się, jakie operacje mogą tu być przeprowadzane, wchodzę do przedsiionka i w samej rzeczy każą mi czekać. Dr Gotard wyjdzie za chwilę, właśnie skończył operację, myje ręce. Widzę go niemal, małego, kroczącego wielkimi krokami, w rozwianym płaszczu, spieszącego przez szereg sal szpitalnych. Po chwili cóż się okazuje? Doktora Gotarda wcale tu nie było, od lat nie przeprowadzono tu żadnej operacji. Doktor Gotard śpi w swoim pokoju, a jego czarna broda sterczy zadarta w powietrze. Pokój zapełnia się chrapaniem jak kłębami chmur, które rosna, piętrzą się, podnoszą na swym skłębieniu Doktora Gotarda wraz z jego łóżkiem, coraz wyżej i wyżej - wielkie patetyczne wniebowstąpienie na falach chrapania i wzdętej pościeli.

Dzieją się tu jeszcze dziwniejsze rzeczy, rzeczy, które zatajam przed samym sobą, rzeczy fantastyczne wprost przez swą absurdalność. Ile razy wychodzę z pokoju, wydaje mi się, że ktoś szybko oddała się spod drzwi i skręca w boczny korytarz. Albo ktoś idzie przede mną, nie odwracając się. To nie jest pielęgniarzka. Wiem, kto to jest! - Mamo! - wołam drżącym ze wzburzenia głosem i matka odwraca twarz i patrzy na mnie przez chwilę z błagalnym uśmiechem. Gdzież jestem? Co się tu dzieje? W jaką matnię wplątałem się?

V

Не віем, czy jest to wpływ późnej pory roku, ale dni poważnieją coraz bardziej w barwie, mroczą się i ciemnieją. Jest tak, jakby patrzyło się na świat przez całkiem czarne okulary.

Cały krajobraz jest jakby dnem ogromnego akwarium - z bladego atramentu. Drzewa, ludzie i domy zlewają się w czarne sylwetki, falujące jak rośliny podwodne na tle tej atramentowej toni.

W pobliżu Sanatorium roi się od czarnych psów. Różnej wielkości i kształtu, przebiegają nisko w zmięczeniu wszystkie drogi i ścieżki, wciągnięte w swoje psie sprawy, ciche, pełne napięcia i uwagi.

Przelatują po dwa, po trzy z wyciągniętymi czujnymi szyjami, uszy spiczasto nastawione, z żalnym tonem cichego skomlenia, które się mimo woli wydiera z krtani, sygnalizując najwyższe wzburzenie. Zaprzątnięte swoimi sprawami, pełne pośpiechu, zawsze w drodze, zawsze pochłonięte niezrozumiałym celem - ledwo zwracają uwagę na przechodnia. Czasem tylko łypną ku niemu oczyma w locie i wtedy z tego zeza czarnego i mądrego wyziera wściekłość, hamowana w swych zapędach jedynie brakiem czasu. Czasami nawet, dając folgę swej złości, podbiegają do nogi, z pochyloną głową i ze złowróbnym warczeniem, ale tylko po to, by w połowie drogi poniechać zamiaru i polecieć dalej w wielkich psich płasach.

Na tę plagę psów nie ma rady, ale po co u licha zarząd Sanatorium trzyma na łańcuchu ogromnego wilczura, straszliwą bestię, prawdziwego wilkołaka o demonicznej wprost dzikości?

Ciarki przechodzą mnie, ile razy mijam jego budę, przy której stoi unieruchomiony na krótkim łańcuchu, z nastroszonym dziko kołnierzem kudłów dookoła głowy, wąsaty, szczeciniasty i brodaty, z maszynią potężnej paszczy pełnej kłów. Nie szczeka wcale, tylko jego dzika twarz staje się na widok człowieka jeszcze straszniejsza, rysy drętwieją w wyraz bezdennej wściekłości i, podnosząc powoli straszną mordę, zanosi się w cichej konwulsji całkiem niskim, żarliwym, z głębi nienawiści wydobytym wyciem, w którym brzmi żal i rozpacz bezsilności.

Mój ojciec przechodzi z obojętnością obok tej bestii, gdy razem wychodzimy z Sanatorium. Co do mnie, to jestem za każdym razem wstrząśnięty do głębi tą żywiołową manifestacją bezsilnej nienawiści. Przerastam teraz o dwie głowy ojca, który mały i chudy drepce obok mnie swym drobnym starczym kroczkiem.

Już zbliżając się do rynku, widzimy ruch niezwykle. Tłumy ludzi przebiegają ulice. Dochodzą nas nieprawdopodobne wieści o wtargnięciu nieprzyjacielskiej armii do miasta.

Wśród powszechnej konsternacji ludzie podają sobie alarmujące i sprzeczne wiadomości. Trudno to pojąć. Wojna nie poprzedzona pociągnięciami dyplomatycznymi? Wojna wśród błogiego spokoju, nie zakłóconego żadnym konfliktem? Wojna z kim i o co? Informują nas, że inwazja nieprzyjacielskiej armii ośmieliła partię malkontentów w tym mieście, którzy wylegli na ulice z bronią w rękę, terroryzując spokojnych mieszkańców. Ujrzelśmy w samej rzeczy grupę tych zamachowców, w czarnych cywilnych ubraniach, z białymi rzemieniami skrzyżowanymi na piersi, posuwających się w milczeniu, z pochylonymi karabinami. Tłum cofał się przed nimi, tłoczył się na chodniki, a oni szli, posyłając spod cylindrów ironiczne ciemne spojrzenia, spojrzenia, w których malowało się poczucie przewagi, błysk złośliwego ubawienia i jakieś porozumiewawcze mruganie, jak gdyby powstrzymywali parsknięcie śmiechu demaskujące całą tę mistyfikację. Niektórzy z nich zostają rozpoznani przez tłum, ale wesóły okrzyk tłumiony jest przez grozę pochylonych luf. Mijają nas, nie zaczepiwszy nikogo. Znowu wszystkie ulice przelewają się trwożnym, ponuro milczącym tłumem. Głuchy gwar płynie nad miastem. Wydaje się, że z daleka słychać turkot artylerii, dudnienie jaszczyków. - Muszę przedostać się do sklepu - mówi ojciec blady, lecz zdeterminowany. - Nie potrzebujesz mi towarzyszyć; będziesz mi tylko przeszkadzał - dodaje - wracaj do Sanatorium. - Głos tchórzostwa doradza mi być posłusznym. Widzę, jak ojciec wciska się w zwartą ścianę tłumy, i tracę go z oczu.

Bocznymi uliczkami przekradam się w pośpiechu w górę miasta. Zdaję sobie sprawę, że na tych stromych drogach uda mi się obejść w półkołu śródmieście zamknięte natłokiem ludzkim.

Tam, w górnej części miasta, tłum był rzadszy, wreszcie znikł zupełnie. Szedłem spokojnie pustymi ulicami do parku miejskiego. Paliły się tam latarnie

ciemnym, niebieskawym płomykiem, jak żałobne asfodele. Każda obtańczona była rojem chrabąszczy, ciężkich jak kule, niesionych ukośnym, bocznym lotem wibrujących skrzydeł. Niektóre opadłe gramoliły się na piasku niedołącznie, z wypukłym grzbietem, zgarbione twardymi pokrywami, pod które próbowały złożyć rozpostarte delikatne błony skrzydeł. Po trawnikach i ścieżkach spacerowali przechodnie, pogrążeni w beztroskich rozmowach. Ostatnie drzewa zwieszają się nad podwórzami domów leżących nisko w dole i przypartych do muru parkowego. Wędrowałem wzdłuż tego muru, który od mojej strony sięga zaledwie do piersi, ale na zewnątrz opada ku poziomowi podwórzy wysokimi na piętro szkarpami. W pewnym miejscu podchodziła pomiędzy podwórzy rampa z ubitej ziemi, aż do wysokości muru. Przekroczyłem z łatwością barierę i wąską tą groblą precyzyjnie się pomiędzy stłoczonymi zabudowaniami domów na ulicę. Moje obliczenia, wsparte znakomitą intuicją przestrzenną, były trafne. Znajdowałem się niemal na wprost budynku sanatoryjnego, którego oficyna bieleje niewyraźnie w czarnej oprawie drzew. Wchodzę jak zwykle od tyłu przez podwórze, przez bramę w żelaznym ogrodzeniu i widzę już z daleka psa na jego posterunku. Jak zawsze przechodzi mnie dreszcz awersji na ten widok. Chcę go minąć czym prędzej, by nie słyszeć tego, z głębi serca dobytego jęku nienawiści, gdy ku memu przerażeniu, nie wierząc oczom własnym, widzę, jak oddala się w podskokach od budy, nie uwiązany, biegnie dookoła podwórza z głuchym, jakby z beczki dobytym szczeniem, chcąc odciąć mi odwrót.

Zdrętwiały ze zgrozy cofam się w przeciwległy, najdalszy kąt podwórza i instynktownie szukając jakiegoś ukrycia, chronię się do małej altanki tam stojącej, z całym przeświadczeniem daremności moich wysiłków. Kudłata bestia zbliża się w podskokach i oto morda jego jest już u wejścia altanki i zamyka mnie w pułapce. Ledwo żywy ze strachu, miarkuję, że rozwinął on całą długość łańcucha, który włócił za sobą przez podwórze, i że sama altanka jest już poza zasięgiem jego zębów. Zmaltretowany, zmiażdżony zgrozą, ledwo odczuwam jakąś ulgę. Słaniając się na nogach, bliski zemdenia, podnoszę oczy. Nigdy nie widziałem go z tak

bliska i dopiero teraz opadają mi łuski z oczu. Jak wielka jest moc uprzedzenia! Jak potężna jest sugestia strachu! Co za zaślepienie! Toż to był człowiek. Człowiek na łańcuchu, którego w upraszczającym, metaforycznym, ryczałtowym skrócie brałem niepojętym sposobem za psa. Proszę mnie źle nie rozumieć. Był to pies - niezawodnie, ale w postaci ludzkiej. Jakość psia jest jakością wewnętrzną i może się manifestować równie dobrze w postaci ludzkiej, jak zwierzęcej. Ten, który stał przede mną w otworze altany, z paszczą niejako na wywrót odwiniętą, ze wszystkimi zębami wyszczerzonymi w strasznym warczeniu - był mężczyzną średniego wzrostu, z czarnym zarostem. Twarz żółta, koścista, oczy czarne, złe i nieszczęśliwe. Sądząc z czarnego ubrania, z cywilizowanej formy brody - można by go wziąć za inteligenta, za uczonego. Mógłby to być starszy nieudany brat Doktora Gotarda. Ale ten pierwszy pozór mylił. Jego wielkie, powalane klejem ręce, dwie brutalne i cyniczne bruzdy dookoła nosa, gubiące się w brodzie, poziome ordynarne zmarszczki na niskim czole rozwiewały prędko to pierwsze złudzenie. Był to raczej introligator, krzykacz, mówca wiecowy i partyjnik - człowiek gwałtowny, o ciemnych wybuchowych namiętnościach. I tam właśnie, w tych czeluściach pasji, w tym konwulsyjnym zjeżeniu wszystkich fibrów, w tej furii szaleńczej, wściekle oszczekującej koniec skierowanego doń kija - był on stuprocentowym psem.

Jeślibym przelazł przez tylną barierę altanki - myślę sobie - uszedłbym w zupełności z zasięgu jego wściekłości i mógłbym boczną ścieżką dojść do bramy Sanatorium. Już przerzucam nogi przez poręcz, gdy nagle zatrzymuję się w połowie ruchu. Czuję, że byłoby zbyt okrutne odejść po prostu i zostawić go tak z jego bezradną wściekłością wyprowadzoną ze wszystkich granic. Wyobrażam sobie jego straszne rozczarowanie, ból niehumaniczny, gdyby mnie widział uchodzącego z pułapki, oddalającego się raz na zawsze. Zostaję. Podchodzę doń i mówię naturalnym, spokojnym głosem: - Niech się pan uspokoi, ja pana odczepię.

Na to twarz jego, posiekana drgawkami, wzburzona wibracją warczenia, całkuje się, wygładza i z głębi wynurza się oblicze niemal zupełnie ludzkie. Podchodzę bez obawy i odczepiam sprzączkę na jego karku. Idziemy teraz obok siebie. Introligator

jest w porządnym czarnym ubraniu, ale bosy. Próbuje nawiązać z nim rozmowę, ale z jego ust wychodzi tylko niezrozumiały bełkot. Tylko w oczach, w tych czarnych wymownych oczach czytam dziki entuzjizm przywiązania, sympatii, który mnie zdejmuję grozą. Chwilami potyka się o kamień, o grudę ziemi i wtedy wskutek wstrząśnięcia twarz jego natychmiast łamie się, rozpada, przerażenie wynurza się do połowy, gotowe do skoku, a tuż za nim wściekłość, czekająca tylko na moment, ażeby znów zamienić tę twarz w kłębowisko syczących żmij. Przywołuję go wtedy do porządku szorstkim koleżeńskim upomnieniem. Klepię go nawet po plecach. I czasem próbuje się na jego twarzy uformować zdziwiony, podejrzliwy, nie dowierzający sobie uśmiech. Ach! jak mi cięży ta straszna przyjaźń. Jak mnie przeraża ta niesamowita sympatia. Jak pozbyć się tego człowieka kroczącego obok mnie i uwiesłego okiem, całą żarliwością swej psiej duszy na mojej twarzy. Nie wolno mi jednak zdradzić mego zniecierpliwienia. Wyciągam portfel i mówię rzeczowym tonem: - Potrzeba wam pewnie pieniędzy, mogę wam z przyjemnością pożyczyć - ale na ten widok twarz jego nabiera tak strasznej dzikości, że chowam czym prędzej pugilares. I jeszcze czas długi nie może się uspokoić i opanować rysów, które wciąż wykrzywia konwulsja wycia. Nie, tego dłużej nie zniosę. Wszystko raczej niż to. Sprawy już i tak powikłały się, splątały beznadziejnie. Nad miastem widzę łunę pożaru. Ojciec gdzieś w ogniu rewolucji w płonącym sklepie. Doktor Gotard nieosiągalny, i w dodatku niepojęte pojawienie się matki, incognito, w jakiejś tajemnej misji! Są to ogniwa jakiejś wielkiej, niezrozumiałej intrygi zaciskającej się dookoła mej osoby. Uciekać, uciekać stąd. Gdziekolwiek. Zrzucić z siebie tę okropną przyjaźń, tego cuchnącego psem introligatora, który mnie nie spuszcza z oka. Stoimy przed bramą Sanatorium. - Proszę pana do mego pokoju - mówię z uprzejmym gestem. Cywilizowane ruchy fascynują go, usypiają jego dzikość. Puszczam go przed sobą do pokoju. Sadzam go na krześle.

- Pójdę do restauracji przynieść koniaku - mówię.

Na to zrywa się z przerażeniem, chcąc mi towarzyszyć. Uspokajam jego popłoch z łagodną stanowczością.

- Pan będzie siedział, pan będzie czekał spokojnie - mówię doń głębokim, wibrującym głosem, na którego dnie brzmi ukrywany strach. Siada z niepewnym uśmiechem.

Wychodzę i idę powoli korytarzem, potem schodami na dół, korytarzem do wyjścia, przekraczam bramę, przemierzam podwórze, zatraskuję za sobą żelazną furtkę i teraz zaczynam biec bez tchu, z bijącym sercem, walącymi skroniami, ciemną aleją wiodącą do dworca kolejowego.

W głowie piętrzą mi się obrazy, jeden straszliwszy od drugiego. Niecierpliwość potwora, jego przerażenie, rozpacz, gdy pozna, że jest oszukany. Powrót furii, recydywa wściekłości wybuchająca z niepohamowaną siłą. Powrót mego ojca do Sanatorium, jego nic nie przeczuwające pukanie do drzwi i niespodziane twarzą w twarz ze straszliwą bestią.

Szczęście, że ojciec już w gruncie rzeczy nie żyje, że go już to właściwie nie dosięga - myślę z ulgą i widzę już przed sobą czarny ciąg wagonów kolejowych stojących u wyjazdu.

Siadam do jednego z nich i pociąg jakby czekał na to, rusza z miejsca powoli, bez gwizdu.

W oknie jeszcze raz przesuwa się i obraca powoli ta ogromna misa horyzontu, nalana ciemnymi szumiącymi lasami, wśród których bieleją mury Sanatorium. Żegnaj, ojcze, żegnaj, miasto, którego już nie zobaczę.

Od tego czasu jadę, jadę wciąż, zadomowiłem się niejako na kolei i toleruję mnie tam, wałęsającego się z wagonu do wagonu. Ogromne jak pokoje, wozy pełne są śmiecia i słomy, przeciągi przewiercają je na wskroś w szare bezbarwne dni.

Moje ubranie podarło się, postrzępiło. Podarowano mi znoszony mundur kolejarza. Twarz mam obwiązaną brudną szmatą wskutek spuchniętego policzka. Siedzę w słomie i drzemię, a gdy jestem głodny, staję w korytarzu przed przedziałami drugiej klasy i śpiewam. I wrzucają mi drobne monety do mojej konduktorskiej czapki, do czarnej czapki kolejarza, z oddartym daszkiem.

Dodo

Przychodził do nas w sobotę po południu w ciemnym tuzurku do białej pikowej kamizelki, w meloniku, który na rozmiar jego czaszki musiał być specjalnie sporządzony, przychodził, aby posiedzieć kwadrans albo dwa na szklanką wody z sokiem malinowym, podumać z brodą opartą na kościanej gałce laski, którą trzymał między kolanami, zamyślić się nad błękitnym dymem papierosa.

Zazwyczaj byli wtedy z wizytą i inni krewni i podczas swobodnie toczącej się rozmowy Dodo usuwał się niejako w cień, spadał do biernej roli statysty w tym ożywionym zebraniu. Nie zabierając głosu, wodził spod wspaniałych brwi pełnymi wyrazu oczyma od jednego rozmówcy do drugiego, przy czym stopniowo, twarz jego wydłużała się, wychodziła niejako ze stawów, głupia zupełnie, niczym nie powściągnięta w tym żywiołowym zasłuchaniu.

Mówił tylko, gdy się wprost do niego zwracano i wtedy odpowiadał na pytanie, co prawda monosylabami, jakby niechętnie, patrząc w inną stronę, o ile te pytania nie przekraczały pewnego zakresu spraw prostych i łatwych do rozstrzygnięcia. Niekiedy udawało mu się utrzymać rozmowę jeszcze parę pytań dalej, poza ten zakres, a to dzięki zasobowi wyrazistych min i gestów, którymi rozporządzał, a które wskutek swej wieloznaczności oddawały mu uniwersalne usługi, wypełniając luki artykułowanej mowy i podtrzymując swą żywą mimiczną ekspresją sugestię rozumnego rezonansu. Było to jednak złudzenie, które prędko pryskało, i rozmowa urywała się żałośnie, podczas gdy wzrok interlokutora odwracał się powoli i w zamyśleniu od Doda, który pozostawiony sobie, spadał z powrotem do właściwej sobie roli statysty i biernego obserwatora na tle ogólnej konwersacji.

Bo jakże można było kontynuować rozmowę, gdy na przykład na pytanie, czy towarzyszył matce w drodze na wieś, odpowiadał tonem minorowym: "nie wiem", i

była to smutna i zawstydzająca prawdomówność, gdyż pamięć Doda nie sięgała w istocie poza chwilę i najbliższą aktualność.

Dodo przebył był raz dawno, w dzieciństwie jeszcze, jakąś ciężką chorobę mózgu, podczas której leżał wiele miesięcy bezprzytomny, bliższy śmierci niż życia, a gdy w końcu mimo to wyzdrowiał - okazało się, że był już niejako wycofany z obiegu, nie należał do wspólnoty ludzi rozumnych. Jego edukacja odbyła się prywatnie, niejako pro forma, z wielką oględnością. Wymagania, twarde i nieustępliwe wobec innych, wobec Doda miękkie niejako, powściągały swą surowość i były pełne pobłażania.

Dookoła niego utworzyła się jakaś sfera dziwnego uprzywilejowania, która go odgradzała pasem ochronnym, strefą neutralną od naporu życia i jego wymagań. Wszyscy na zewnątrz tej sfery byli zaatakowani przez jego fale, brodzili w nich hałaśliwie, dawali się ponosić, przejęci, porwani, w dziwnym zapamiętaniu - wewnątrz tej sfery był spokój i pauza, cezura w tym ogólnym tumultcie.

Tak wyrastał, a wyjątkowość jego losu rosła z nim razem, jakby sama przez się zrozumiała i bez sprzeciwu z żadnej strony.

Dodo nie dostawał nigdy nowego ubrania, tylko zawsze znoszone starszego brata. Podczas gdy życie rówieśników rozczłonkowane było na fazy, okresy, artykułowane przez zdarzenia graniczne, podniosłe i symboliczne momenty: imieniny, egzaminy, zaręczyny, awanse - jego życie upływało w niezróżniczkowanej monotonii, nie mąconej niczym przyjemnym ani przykrym, a także przyszłość ukazywała się jako całkiem równy i jednostajny gościniec bez zdarzeń i niespodzianek.

Myliłby się, kto by sądził, że Dodo sprzeciwiał się wewnętrznie temu stanowi rzeczy. Przyjmował go z prostotą jako właściwą sobie formę życia, bez zdziwienia, z rzeczową zgodą, z poważnym optymizmem, i urządzał się, aranżował szczegóły w granicach tej bezzdarzeniowej monotonii.

Codziennie przed południem wychodził na spacer na miasto i szedł zawsze tą samą turą wzdłuż trzech ulic, które przemierzał do końca, i potem tą samą drogą

powracał. Ubrany w wytworny, choć znoszony garnitur brata, z rękoma, którymi oplatał swą laskę, założonymi na plecach - poruszał się z dystynkcją i bez pośpiechu. Wyglądał na podróżującego dla przyjemności pana, zwiedzającego miasto. Ten brak pośpiechu, jakiegoś kierunku lub celu, który by się w jego ruchach wyrażał, przybierał niekiedy kompromitujące formy, gdyż Dodo okazywał skłonność do zagapiania się: przed drzwiami sklepów, przed warsztatami, w których stukano i majstrowano, a nawet przed grupą ludzi rozmawiających.

Jego fizjonomia wcześniej zaczęła dojrzewać i, rzecz dziwna, podczas gdy przejścia i wstrząsy życiowe zatrzymywały się na progu tego życia, oszczędzając jego. pustą nienaruszoność, jego zamarginesową wyjątkowość, rysy jego formowały się na tych przeżyciach, które przechodziły mimo niego, antycypowały jakąś nieurzeczywistnianą biografię, która zarysowana zaledwie w sferze możliwości modelowała i rzeźbiła to oblicze w iluzoryczną maskę wielkiego tragika, pełną wiedzy i smutku wszystkich rzeczy.

Brwi jego sklepiły się wspinałymi łukami, pogrążając w cieniu wielkie i smutne oczy podkrążone głęboko. Dookoła nosa wgłębiły się dwie bruzdy, pełne abstrakcyjnego cierpienia i iluzorycznej mądrości, i biegły do kątów ust i poza nie jeszcze. Małe i nabrzmiałe usta zamknięte były boleśnie, a kokieteryjna "muszka" na długiej burbońskiej brodzie nadawała mu pozór starszego i doświadczonego bonwianta.

Nie obeszło się bez tego, by ta jego uprzywilejowana wyjątkowość została wysledzona, zwężona drapieżnie przez chytrze zaczajoną i zawsze głodną żeru złośliwość ludzką.

Więc coraz częściej zdarzało się, że dostawał podczas swych rannych spacerów towarzyszy, i należało to do warunków tej uprzywilejowanej wyjątkowości, że byli to towarzysze specjalnego gatunku, nie w znaczeniu koleżeństwa i wspólności interesów, ale w sensie wysoce problematycznym i nie przynoszącym zaszczytu. Były to przeważnie znacznie młodsze roczniki, które garnęły się do pełnego

godności i powagi, a rozmowy, które prowadzili, miały ton specjalny, wesoły i żartobliwy, dla Doda - trudno zaprzeczyć - miły i orzeźwiający.

Gdy szedł tak, górując głową nad tą wesołą i trzpiotową gromadką, wyglądał jak filozof perypatetyczny w otoczeniu swych uczniów, a w twarzy jego spod maski powagi i smutku wyłamywał się frywolny uśmiech, walcząc z tragiczną dominantą tej fizjonomii.

Dodo spóźniał się teraz ze swych porannych spacerów, wracał z nich ze zmierzwioną czupryną, w stroju lekko zderanżowanym, ale ożywiony i skłonny do wesołej kontrowersji z Karolą, biedną kuzynką, przytuloną przez ciotkę Retycję. Zresztą, jakby w poczuciu małej zaszczytności tych spotkań, Zachowywał Dodo w domu na ten temat zupełną dyskrecję.

Raz albo dwa razy zaszły w tym monotonnym życiu wypadki wyściskające swym formatem ponad mieliznę codziennych zdarzeń.

Raz, wyszedłszy rano, nie powrócił na obiad. Nie powrócił także na kolację ani na obiad dnia następnego. Ciotka Retycja była bliska rozpacz. Ale tego dnia wieczorem przyszedł trochę pomięty, w meloniku zgniecionym i krzywo siedzącym, ale zresztą zdrow i pełen spokoju ducha.

Trudno było zrekonstruować historię tej eskapady, co do której Dodo zachowywał zupełne milczenie. Prawdopodobnie, zagapiwszy się na spacerze, zaszedł w nieznaną okolicę miasta, może dopomogli mu do tego młodociani perypatetycy, wstawiający chętnie Doda w nowe i nieznanne warunki życiowe.

Być może, że był to jeden z tych dni, w których Dodo posyłał na urlop swą biedną, przeciążoną pamięć - i zapominał swój adres, a nawet nazwisko, daty, które mu zresztą kiedy indziej były zawsze przytomne.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy bliższych szczegółów tej przygody.

Gdy starszy brat Doda wyjechał za granicę, rodzina zeszczuplała do trojga, czworga osób. Oprócz wujka Hieronima i ciotki Retycji była jeszcze Karola, sprawująca rolę klucznicy w wielkim gospodarstwie wujostwa.

Wuj Hieronim nie wychodził już od wielu lat z pokoju. Od czasu gdy Opatrzność łagodnie wyjęła z jego ręki ster tej skołatanej i ugrzęzłej na mieliźnie nawy życiowej - prowadził żywot emeryta na wąskim skrawku, między sienią a ciemnym alkierzem, który mu został przydzielony.

W długim, do ziemi sięgającym szlafroku siedział w głębi alkierza i porastał z dnia na dzień coraz bardziej fantastycznym zarostem. Długa broda barwy pieprzu (ku końcom długich kosmyków prawie że biała) opływała mu twarz dookoła, sięgała do połowy policzków, zostawiając tylko wolny krogulczy nos i dwoje oczu, tonących białkami w cieniu krzaczastych brwi.

W ciemnym alkierzu, w tym ciasnym więzieniu, w którym skazany był jak wielki, drapieżny kot krążyć tam i z powrotem przed szklanymi drzwiami prowadzącymi do salonu - stały dwa ogromne łoża z dębu, nocne łęgowiska wujostwa, a całą tylną ścianę osłaniał wielki gobelin, mający niewyraźnym kształtem w ciemnej głębi. Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, wyłaniał się spomiędzy bambusów i palm ogromny lew, potężny i ponury jak prorok, i majestatyczny jak patriarcha.

Siedząc tyłem do siebie, lew i wuj Hieronim wiedzieli o sobie pełni nienawiści. Nie patrząc na siebie, grozili sobie wyszczerzonym, odsłoniętym kłębem i groźnie warczącym słowem. Chwilami lew, podrażniony, przypodnosił się aż na przednich łapach, zjeżał grzywę wyciągniętej szyi i groźny ryk jego toczył się dookoła chmurnego horyzontu.

To znowu wuj Hieronim wyrastał ponad niego proroczą tyradą, a twarz jego modelowała się groźnie od wielkich słów, którymi wzbierał, podczas gdy broda falowała w natchnieniu. Wtedy lew zwęzał boleśnie ślepią i odwracał z wolną głowę, kuląc się pod potęgą słowa bożego.

Ten lew i ten Hieronim napełniali ciemny alkierz wujostwa wieczną zwadą.

Wuj Hieronim i Dodo żyli w tym ciasnym mieszkaniu niejako mimo siebie, w dwóch różnych dymensjach, które się krzyżowały, nie tangując się wcale. Oczy ich, gdy spotkały się ze sobą, szły dalej, poza siebie, jak u zwierząt dwu różnych i

dalekich gatunków, które nie dostrzegają się wcale, niezdolne zatrzymać obcego obrazu, lecącego na wskroś przez świadomość, która nie może go w sobie zrealizować.

Nigdy nie mówili do siebie.

Gdy zasiadano do stołu, ciotka Retycja, siedząc między mężem a synem, stanowiła granicę dwóch światów, istmus między dwoma morzami obłędu.

Wuj Hieronim jadł niespokojnie, długa broda wpadała mu do talerza. Gdy drzwi zaskrzypiały w kuchni, podrywał się na wpół z krzesła i chwycił za talerz z zupą, gotów ze swą porcją uciec do alkierza, gdyby ktoś obcy wszedł do mieszkania. Wtedy ciotka Retycja uspokajała go: - Nie bój się, nikt nie idzie, to służąca. - Natenczas Dodo rzucał na wystraszonego pełne gniewu i indygnacji spojrzenie lśniących swych gałek, mrużąc do siebie z nieukontentowaniem: - Ciężki wariat...

Zanim wuj Hieronim dostał był absolicję ze zbyt zawikłanych komplikacji życia i otrzymał pozwolenie wycofania się w swe samotne refugium w alkierzu - był on człowiekiem zupełnie innego pokroju. Ci, którzy go znali za młodu, twierdzili, że ten niepohamowany temperament nie znał żadnych hamulców, względów ani skrupułów. Z satysfakcją mówił nieuleczalnie chorym o czekającej ich śmierci. Z wizyt kondolencyjnych korzystał, by przed skonsternowaną rodziną poddawać ostrej krytyce żywot zmarłego, po którym jeszcze łyzy nie obeschły. Ludziom, ukrywającym jakieś przykre i drażliwe sprawy osobiste - wypominał je głośno i urągliwie. Ale pewnej nocy powrócił z podróży cały zmieniony i nieprzytomny ze strachu, usiłując schować się pod łóżko. W kilka dni potem rozeszła się wieść w rodzinie, że wuj Hieronim abdykował ze wszystkich swoich zawiłych, wątpliwych i ryzykownych interesów, które mu ponad głowę wyrosły, abdykował na całej linii i definitywnie i rozpoczął nowy żywot, żywot objęty surową i ścisłą, acz niezrozumiałą dla nas regułą.

W niedzielę po południu przychodziliśmy wszyscy do ciotki Retycji na mały rodzinny podwieczorek. Wuj Hieronim nie poznawał nas. Siedząc w alkierzu, rzucał na to zebranie spoza szklanych drzwi dzikie i przerażone spojrzenia. Czasami

atoli niespodzianie wychodził ze swej samotni w swoim długim do ziemi szlafroku, z falującą dookoła twarzy brodą, i robiąc rękami ruch, jak gdyby nas rozdzielał, mówił: - A teraz błagam was, tak jak tu jesteście, rozejdźcie się, rozbiegnijcie chyłkiem, cichaczem i niepostrzeżenie... - Potem, grożąc nam tajemniczo palcem, głosem przyciszonym dodawał: - Mówią już powszechnie: Di - da.

Ciotka wpychała go łagodnie do alkierza, a on we drzwiach jeszcze odwracał się groźnie i z podniesionym palcem powtarzał: - Di - da.

Dodo pojmował wszystko nie od razu, powoli, i mijalo kilka chwil milczenia i konsternacji, zanim sytuacja rozjaśniała się w jego umyśle. Wtedy wodząc oczyma od jednego do drugiego, jakby upewniając się, że zaszło coś wesołego, wybuchał śmiechem i śmiał się hałaśliwie i z satysfakcją, wstrząsał głową z politowaniem i powtarzał wśród śmiechu: - Ciężki wariat...

Zapadała noc nad domem ciotki Retycji, krowy, wydojone, ocierały się w ciemności o deski, dziewczki spały już w kuchni, z ogrodu płynęły banie nocnego ozonu i pękały w otwartym oknie. Ciotka Retycja spała w głębi swego wielkiego łóża. Na drugim łóżu siedział jak puszczyk w poduszkach wuj Hieronim. Jego oczy błyszczały w ciemności, broda spływała mu na podciągnięte kolana.

Powoli schodził z łóżka, skradając się na palcach do ciotki. Stał tak nad śpiącą przyczajony jak kot do skoku, z nastroszonymi brwiami i wąsami. Lew na ścianie ziewnął krótko i odwrócił głowę. Ciotka, obudzona, przeraziła się tej głowy roziskrzonej oczyma i prychnęła.

- Idź, idź do łóżka - mówiła odpędzając go, jak koguta, ruchem ręki.

Cofał się prychnając i oglądając się nerwowymi ruchami głowy.

W drugim pokoju leżał Dodo. Dodo nie umiał spać. Ośrodek snu w jego chorym mózgu nie funkcjonował prawidłowo. Kręcił się, tarzał w pościeli, przewracał się z boku na bok.

Materac skrzypiał. Dodo wzdychał ciężko, sapał, powstawał, bezradny, w poduszkach.

Nie żyte życie męczyło się, dręczyło w rozpacz, kręciło się jak kot w klatce. W ciele Doda, w tym ciele półgłówka, ktoś starzał się bez przeżyć, ktoś dojrzewał do śmierci bez okruszyny treści.

Nagle zaszlochał w ciemności przerażająco.

Ciotka Retycja zbiegła do niego z łóżka: - Co ci jest, Dodo, czy cię coś boli?

Dodo odwrócił głowę ze zdumieniem. - Kto? - zapytał.

- Czego jęczysz? - pyta ciotka.

- To nie ja, to on...

- Jaki on?

- Zamurowany...

- Kto taki?

Ale Dodo z rezygnacją machnął ręką: - Eh... - i obrócił się na drugą stronę. Ciotka Retycja wróciła na palcach do łóżka. Wuj Hieronim pogroził jej w przejściu palcem: - Mówią już powszechnie: Di - da...

Edzio

I

Na tym samym, co my, piętrze domu, w wąskim i długim skrzydle od podwórza mieszka Edzio ze swoją rodziną.

Edzio nie jest już dawno małym chłopcem, Edzio jest dorosłym mężczyzną o głosie tubalnym i męskim, którym czasem śpiewa arie operowe.

Edzio ma skłonność do korpulencji, jednakowoż nie do tej gąbczastej i miękkiej formy, ale raczej do atletycznej i muskularnej odmiany. Jest on silny w ramionach jak niedźwiedź, cóż z tego, kiedy nogi jego, całkiem zwyrodniałe i bezkształtne, są niezdatne do użytku.

Nie wiadomo właściwie, gdy się patrzy na nogi Edzia, na czym polega to dziwne kalectwo. Wygląda to tak, jakby miały one za wiele przegubów między kolanem a kostką, co najmniej o dwa stawy więcej niż normalne nogi. Nic dziwnego, że w tych nadliczbowych stawach załamują się załóśnie, i to nie tylko na boki, ale i ku przodowi, i we wszystkich kierunkach.

Edzio porusza się tedy przy pomocy dwóch szczudeł, szczudeł doskonałej roboty, pięknie na mahoń politurowanych. O tych szczudłach schodzi codziennie na dół kupować gazetę i to jest jedyny jego spacer i jedyne urozmaicenie. Przykro jest patrzeć na jego przeprawę przez schody. Jego nogi wybaczają się nieregularnie to w bok, to ku tyłowi, załamują się w niespodzianych miejscach, a stopy, jak kopyta końskie, krótkie i wysokie, stukocą jak kłody po deskach. Ale znalazłszy się na płaszczyźnie, Edzio zmienia się niespodzianie. Wyprostowuje się, tors jego wzdyma się okazale, a ciało bierze rozmach. Wspierając się na szczudłach, jak na

poręczach, wyrzuca daleko przed siebie nogi, które uderzają z nierównym tupotem w ziemię, potem przenosi szcudła z miejsca i z nowego rozmachu znów wyrzuca się z mocą naprzód. Takimi rzutami ciała zdobywa on przestrzeń. Nieraz, manewrując szcudłami na podwórzu, może on w nadmiarze sił, nagromadzonych długim siedzeniem, z prawdziwie wspaniałą pasją demonstrować tę heroiczną metodę lokomocji ku podziwowi służących z parteru i pierwszego piętra. Kark jego wówczas pęcznieje, pod brodą zarysowują się dwie fałdy podbródka, a w ukośnie trzymanej twarzy, z zaciśniętymi od nateżenia ustami, pojawia się ukradkiem bolesny grymas. Edzio nie ma żadnego zawodu ani zajęcia, jak gdyby los, obarczając go brzemieniem kalectwa, w zamian za to zwolnił go cichaczem od tej klątwy dzieci Adama. W cieniu swego kalectwa Edzio korzysta w całej pełni z tego wyjątkowego prawa do próżniactwa i w cichości ducha zadowolony jest ze swojej prywatnej niejako, indywidualnie zawartej transakcji z losem.

Nieraz zastanawiamy się jednak nad tym, czym wypełnia sobie czas ten dwudziestokilkuletni młodzieniec. Dużo zajęcia daje mu czytanie gazety. Edzio jest gruntownym czytelnikiem. Uwagi jego nie uchodzi żadna notatka ani żaden anons. A gdy dobije wreszcie do ostatniej stronicy dziennika, nie czeka go przez resztę dnia nuda, o, bynajmniej. Wówczas dopiero zaczyna się właściwa praca, na którą Edzio się już z góry cieszy. Po południu, gdy inni kładą się na poobiednią drzemkę, Edzio wyjmuje swoje wielkie, grube księgi, rozkłada je na stole przy oknie, przygotowuje klej, pędzel i nożyce i zaczyna swoją miłą i interesującą pracę wykrawywania najbardziej interesujących artykułów i wcielania ich na zasadzie pewnego systemu w swoje księgi. Szcudła stoją na wszelki wypadek przygotowane, oparte o parapet okna, ale Edzio nie potrzebuje ich, gdyż ma wszystko na podorędziu, i tak wśród skrzętnej pracy upływa kilka godzin do podwieczorku.

Co trzeci dzień Edzio goli swój rudy zarost. Lubi tę czynność i wszystkie jej rekwizyty: gorącą wodę, pieniące się mydło i gładką, łagodną brzytwę. Rozrabiając mydło, ostrząc brzytwę o pas skórzany, Edzio śpiewa nieuczenie i niekunsztownie,

ale raczej bezpretensjonalnie i z pełnej piersi, a Adela twierdzi, że ma przyjemny głos.

Jednakowoż w domu Edzia nie wszystko poza tym zdaje się być w porządku. Panuje tam niestety między nim a rodzicami jakiś bardzo poważny rozdzźwięk, którego tło i podłoże są nieznane. Nie będziemy powtarzali domysłów i plotek, ograniczając się do stwierdzonych empirycznie faktów.

Zdarza się to zazwyczaj pod wieczór, o cieplej porze roku, gdy okno Edzia jest otwarte, że dochodzą nas odgłosy tych nieporozumień. Słyszymy właściwie tylko jedną połowę dialogu, partię Edzia mianowicie, gdyż replika jego antagonistów, ukrytych w dalszych ubikacjach mieszkania, nie dochodzi do nas.

Trudno jest z tego domyślić się, co zarzucają Edziowi, ale z tonu jego reakcji wnosić można, że jest on do żywego dotknięty, doprowadzony niemal do ostateczności. Słowa jego są gwałtowne i nierozważne, podyktowane nadmiernym wzburzeniem, ale ton, choć zaperzony, jest jednak tchórzliwy i nędzny.

- Tak jest - woła on płaczącym głosem - to i co z tego?... - Kiedy wczoraj? - Nieprawda! - A jeżeli tak? - No to tata kłamie! - I tak ciągnie się to całe kwadrans, urozmaicone tylko wybuchami żalu i oburzenia Edzia, który bije się w głowę i wyrywa sobie włosy z bezradnej wściekłości.

Ale czasami - i to jest właściwą pointą tych scen, która zaprawia je specyficznym dreszczykiem - następuje to, na co z zapartym oddechem czekaliśmy. W głębi mieszkania zdaje się coś walić, jakieś drzwi otwierają się z trzaskiem, jakieś meble przewracają się z hukiem, potem rozlega się rozdzierający pisk Edzia.

Słuchamy tego wstrząśnięci i pełni wstydu, ale i niesamowitej satysfakcji, jaka budzi się na myśl o dzikim i fantastycznym gwałcie dokonany na osobie atletycznego, choć w nogach bezwładnego młodzieńca.

II

O zmierzchu, gdy już naczynie po wczesnej kolacji jest umyte, siada Adela na ganku od strony podwórza, niedaleko okna Edzia. Dwa długie, dwukrotnie załamane ganki obiegają podwórze, jeden na parterze, drugi na wysokości pierwszego piętra. W szparach tych drewnianych balkonów rośnie trawa, a w jednej szczelinie między belkami wystrzela nawet mała akacja i chwieje się wysoko nad podwórzem.

Oprócz Adeli siedzą tam przed swoimi drzwiami tu i ówdzie sąsiedzi, zwiśli na krzesłach i na karłach, wędnąc niewyraźnie w zmierzchu, siedzą pełni znoju dnia, jak worki zawiązane i nieme, czekające, by je zmierzch łagodnie rozwiązał.

W dole nasiąka podwórze szybko ciemnością, fala za falą, ale w górze powietrze nie chce się wyrzec światła i świeci tym jaśniej, im bardziej zwęgła się wszystko w dole i czernieje żalobnie - świeci jasne, drgające i migotliwe, ćmiąc się od niewyraźnych nietoperzych lotów.

Ale w dole zaczęła się już prędką i cichą robotą zmierzchu, tam mrowi się od tych szybkich, żarłocznych mrówek, które rozbierają, roznoszą na szczątki substancję rzeczy, objadają je aż do białych kości, do szkieletu i żeber fosforyzujących majaczliwie na tym smutnym pobojuwisku. Te białe papiery, szmaty na śmietniku, te nie strawione piszczele światła ostają się najdłużej w robaczywej ciemności i nie mogą się skończyć. Raz po raz zdaje się, że już je zmierzch pochłonał, a potem znowu są jeszcze i świecą, co chwilę gubione przez oczy pełne wibracji i mrówek, ale przestaje się już rozróżniać między tymi resztkami rzeczy a rojeniami oka, które wtedy właśnie zaczyna bredzić jak we śnie, aż każdy siedzi we własnej aurze jak w chmurze komarów, obtańczony gwiezdny rojuwiskiem, pulsującym mózgiem, majaczliwą anatomią halucynacji.

Wtedy zaczynają z dna podwórza podnosić się te żyłki powiewów, niepewne jeszcze swej egzystencji i już rezygnujące z niej, nim dojdą do naszej twarzy, te

smugi świeżości, którymi podbita jest od spodu, jak jedwabną podszewką, fałdzista noc letnia. I podczas gdy na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy migotliwe i wciąż zdmuchiwane, rozdziela się bardzo powoli ten duszny welon zmierzchu, utkany z wirowania i majaczeń, i otwiera się z westchnieniem noc letnia głęboka i pełna w swej głębi miału gwiazdznego i dalekiego rechotu żab.

Adela kładzie się bez światła do łóżka w zmiętą i wytarzaną z poprzedniej nocy pościel i zaledwie przymyka powieki, zaczyna się ta gonitwa po wszystkich piętrach i wszystkich mieszkaniach domu.

Tylko dla niewtajemniczonych jest noc letnia wypoczynkiem i zapomnieniem. Zaledwie kończą się czynności dnia i mózg spracowany chciałby usnąć i zapomnieć, zaczyna się ta bezwładna krzątanina, ten splątany, ogromny rozgardiasz nocy lipcowej. Wszystkie mieszkania domu, wszystkie pokoje i alkierze pełne są wówczas gwaru, wędrowki, wchodzenia i wychodzenia. We wszystkich oknach stoją lampy stołowe z umbrami, nawet korytarze są jasno oświetlone i drzwi zamykają się i otwierają bez ustanku. Jedna wielka, bezładna, na wpół ironiczna rozmowa płącze się i gałęzi wśród ciągłych nieporozumień przez wszystkie komory tego ula. Na piętrze nie wiedzą dokładnie, o co chodzi tym z parteru, posyłają posłańców z pilnymi instrukcjami. Lecą kurierzy przez wszystkie mieszkania, schodami do góry, schodami na dół, zapominają po drodze instrukcji, odwoływani wciąż z powrotem po nowe zlecenia. I zawsze jest coś do uzupełnienia, zawsze jeszcze sprawa pozostaje nie wyjaśniona i ta cała krzątanina wśród śmiechów i żartów nie doprowadza do rozwiązania.

Tylko boczne pokoje, nie wciągnięte w ten wielki bałagan nocy, mają swój czas odrębny, odmierzany tykaniem zegarów, monologami ciszy, głębokim oddechem śpiących. Tam śpią mamki rozłożyste i nabrzmiące mlekiem, śpią przyssane żarliwie do łona nocy, z płonącymi w ekstazie policzkami, a niemowlęta błędzą po ich śnie, z zamkniętymi powiekami, wędrują pieszczotliwie jak wiszące zwierzątka po błękitnej mapie żyłek na białych równinach tych piersi, łążą delikatnie; szukając

ślepią twarzą ciepłego rozporu, wejścia do tego snu głębokiego, aż znajdują czułymi ustami pypkę snu, zaufaną sutkę pełną słodkiego zapomnienia.

A ci, którzy w łóżkach swych pochwycili sen, już go nie puszczaają i walczą z nim jak z aniołem, który się wyrywa, aż go zmogą i przyduszą do pościeli i chrapią z nim na przemiany, jakby kłócili się i wypominali sobie gniewnie dzieje swej nienawiści. A kiedy te żale i kwasy zamilkną ukojone i cała ta gonitwa rozprasza się i gubi po kątach, pokój za pokojem zapada w ciszę i w niebyt - wchodzi subiekt Leon omackiem po schodach, wchodzi powoli z butami w rękę i szuka kluczem w ciemności dziurki w zamku. Wraca jak co nocy z lunaparku z oczyma przekrwionymi. wstrząsany czkawką i z nitką śliny ciągnącą się z ust rozchylonych.

W pokoju pana Jakuba pali się lampa na stole, a on sam, zgarbiony nad stołem, pisze list do Chrystiana Seipla i Synów, przedzalnie i tkalnie mechaniczne, list na wiele stron długi. Na podłodze leży już długi ciąg zapisanych arkuszy, ale do końca jeszcze daleko. Co chwilę zrywa się od stołu i biegnie dookoła pokoju, z rękoma w rozwichrzonych włosach, i kiedy tak kołuje, zdarza się, że wchodzi w przelocie na ścianę, leci wzdłuż tapet jak wielki niewyraźny komar, uderzając majaczliwie w arabeski deseni ściennych, i znów zbiega na podłogę, kontynuując swój natchniony bieg dookolny.

Adela śpi głęboko, jej usta są rozchylone, twarz wydłużona i nieobecna, ale jej puszczone powieki są przezroczyste i na ich cienkim pergaminie pisze noc swój cyrograf, na wpół tekst, na wpół obrazy, pełen kreśleń, poprawek i gryzmołów.

Edzio stoi w swym pokoju do połowy obnażony i gimnastykuje się ciężarkami. Potrzebuje on dużo sił, w dwójnasób dużo sił w ramionach, które zastępują bezwładne nogi, i dlatego ćwiczy gorliwie, ćwiczy potajemnie całymi nocami.

Adela odpływa wstecz, za siebie, w nieobecność, i nie może krzyknąć, zawołać, przeszkodzić temu, by Edzio wyłaził przez okno.

Edzio wyłazi na ganek nie uzbrojony w szczudła i Adela patrzy z przerażeniem, czy nogi go udźwigną. Ale Edzio nie próbuje chodzić.

Jak wielki biały pies zbliża się w czworonożnych przysiadach, w wielkich szurgających skokach po dudniących deskach ganku i już jest przy oknie Adeli. Jak co nocy przyciska swą bladą, tłustą twarz z bolesnym grymasem do lśniącej od księżycy szyby i mówi coś płaczliwie, natarczywie, opowiada z płaczem, że mu zamykają na noc kule do szafy i teraz musi biegać po nocach jak pies na czworakach.

Adela jest jednak bezwładna, całkiem oddana głębokiemu rytmowi snu, który przez nią przepływa. Nie ma sił nawet, by wciągnąć kołdrę na obnażone uda, i nie może nic poradzić, że przez ciało jej wędrują pluskwy, szeregi i kolumny pluskiew. Te lekkie i cienkie listki-kadłuby biegną przez nią tak delikatnie, że nie czuje najmniejszego muśnięcia. Są to płaskie torebki na krew, rude mieszki na krew, bez oczu i bez fizjonomii, i teraz maszerują całymi klanami, wielka wędrówka ludów podzielona na pokolenia i na rody. Biegną od nóg krociami, niezliczoną promenadą, coraz większe, tak wielkie jak ćmy, jak płaskie pugilaresy, jak wielkie czerwone wampiry bez głowy, lekkie i papierowe na nóżkach subtelniejszych od pajęczyny.

Ale gdy ostatnie spóźnione pluskwy przebiegły i znikły, jeszcze jedna, olbrzymia, i potem ostatnia - robi się całkiem cicho i podczas gdy pokoje nasiąkają powoli szarością świtu, płynie przez puste korytarze i mieszkania głęboki sen.

We wszystkich łóżkach leżą ludzie z podciągniętymi kolanami, z twarzą gwałtownie w bok odrzuconą, głęboko skupioną, zanurzoną w sen i bez granic mu oddaną.

Jak któryś dorwał się snu, tak go trzyma kurczowo z żarliwą i bezprzytomną twarzą, podczas gdy oddech, wyprzedzając go daleko, błądzi samopas na odległych drogach.

I to jest właściwie jedna wielka historia podzielona na partie, na rozdziały i na rapsody rozdzielone między tych śpiących. Gdy jeden przestaje i milknie, drugi podejmuje jego wątek i tak idzie to opowiadanie tam i sam szerokim, epickim zygzakiem, podczas gdy leżą w pokojach tego domu bezwładni jak mak w przegrodach wielkiej, głuchej makówki i rosną na tym oddechu ku świtowi.

Emeryt

Jestem emerytem w dosłownym i całkowitym znaczeniu tego wyrazu, bardzo daleko posuniętym w tej własności, poważnie zaawansowanym, emerytem wysokiej próby.

Być może, że przekroczyłem nawet pod tym względem pewne ostateczne i dopuszczalne granice. Nie chcę tego zatajać, cóż w tym tak nadzwyczajnego? Po co robić zaraz wielkie oczy i patrzeć z tym obłudnym szacunkiem, z tą uroczystą powagą, w której tyle jest tajonej radości ze szkody bliźniego? Jak mało ludzie mają w gruncie rzeczy najprymitywniejszego taktu! Takie fakty należy przyjmować z najzwyczajniejszą miną, z pewnym roztargnieniem i z błahością inherentną tym sprawom. Należy przechodzić nad tym lekko do porządku dziennego, nucąc sobie niejako coś pod nosem, tak jak ja nad tym lekko i beztrąsko przechodzę. Może dlatego jestem trochę niepewny w nogach i muszę stawiać powoli i ostrożnie stopy, stopa przed stopą, i bardzo uważać na kierunek. Tak łatwo jest zboczyć przy tym stanie rzeczy. Czytelnik zrozumie, że nie mogę być zbyt wyraźnym. Moja forma egzystencji zdana jest w wysokim stopniu na domyślność, wymaga pod tym względem wiele dobrej woli. Będę niejednokrotnie do niej apelował, do bardzo subtelnych jej odcieni, o które można się upomnieć jedynie pewnym dyskretnym mruganiem, utrudnionym dla mnie specjalnie z powodu sztywności maski odzwyczajonej od ruchów mimicznych. Zresztą nie narzucam się nikomu, daleki jestem od tego, żeby się rozpylić z wdzięczności za azylum udzielone mi łaskawie w czyjejś domyślności. Kwituję z tej koncesji bez wzruszenia, chłodno i z zupełną obojętnością. Nie lubię, gdy mi ktoś wraz z dobrodziejstwem zrozumienia prezentuje rachunek wdzięczności. Najlepiej, gdy się mnie traktuje z pewną lekkością, z pewną zdrową bezwzględnością, żartobliwie i po koleżeńsku. Pod tym

względem moi poczciwi, prości duchem koledzy z biura, młodszy koledzy z urzędu, utrafił ton właściwy.

Zachodzę tam czasami z przyzwyczajenia, około pierwszego każdego miesiąca, i staję cicho przy balustradzie czekając, aż mnie zauważą. Rozgrywa się wtedy następująca scena. W pewnej chwili naczelnik urzędu, pan Kawałekiewicz, odkłada pióro, daje oczyma znak urzędnikom i mówi nagle, patrząc mimo mnie w próżnię powietrza, z ręką przy uchu: - Jeśli mnie słuch nie myli, to to pan, panie radco, gdzieś tu jest między nami w pokoju! - Jego oczy, utkwione wysoko nade mną w próżni, wchodzi w zez, gdy to mówi, twarz uśmiechnięta jest figlarnie. - Usłyszałem głos jakiś w przestworzach i zaraz pomyślałem sobie, że to musi być nasz kochany pan radca! - woła on głośno, z napięciem, jakby do kogoś bardzo odległego. - Niechże pan zrobi jakiś znak, niech pan zmaści choć powietrze w tym miejscu, gdzie pan się unosi. - Wolne żarty, panie Kawałekiewicz - mówię mu cicho, prosto w twarz - przyszedłem po moją pensję. - Po pensję? - krzyczy pan Kawałekiewicz patrząc zezowato w powietrze - pan powiedział: po pensję? Pan żartuje, kochany panie radco. Pan już dawno skreślony jest z listy emerytalnej. Jak długo pan chce pobierać jeszcze pensję, łaskawy panie?

W ten sposób żartują sobie ze mnie w sposób ciepły, ożywczy i ludzki. Ta szorstka rubasność, ten bezceremonialny chwyt za ramię sprawia mi dziwną ulgę. Wychodzę stamtąd pokrzepiony i raźniejszy i śpieszę prędko do domu, żeby zanieść do mieszkania trochę tego miłego wewnętrznego ciepła, które się już ulatnia.

Ale natomiast inni ludzie... Natrętne, nigdy nie wypowiedziane pytanie, które czytam ciągle w ich oczach. Niepodobna się od niego opędzić. Przypuśćmy, że tak jest - dlaczego zaraz te wydłużone miny, te uroczyste twarze, to cofające się niejako z szacunku milczenie, ta przestraszona oględność? A żeby tylko ani słówkiem nie potraścić, przemilczeć delikatnie mój stan... Jakże przenikam tę grę! Nie jest to nic innego ze strony ludzi, jak forma sybaryckiego smakowania w sobie, delectowania się swoją na szczęście innością, maskowane hipokryzją gwałtowne odzeganie się od mojego stanu. Wymieniają wymowne spojrzenia i milczą, i pozwalają tej

rzeczy w milczeniu się rozrastać. Mój stan! Być może, że nie jest on całkiem poprawny. Może jest w nim pewien nieznacznym mankament zasadniczej natury! Mój Boże! Cóż z tego? Nie jest to jeszcze powód do tej prędkiej i przerażonej ustepliwości. Nieraz zbiera mnie pusty śmiech, gdy widzę to nagle poważniejące zrozumienie, to skwapliwe uznanie, z jakim robią niejako miejsce memu stanowi. Jak gdyby to był argument zgoła nieodparty, ostateczny, bezapelacyjny. Dlaczego nalegają tak bardzo na ten punkt, dlaczego jest to dla nich ponad wszystko ważne i dlaczego daje im stwierdzenie tego tę głęboką satysfakcję, którą kryją za maską spłoszonej dewocji?

Przypuśćmy, że jestem, żeby tak rzec, pasażerem, lekkiej wagi, w istocie ponad miarę lekkiej wagi, przypuśćmy, że wprawiają mnie w kłopot pewne pytania np.: jak stary jestem, kiedy obchodzę imieniny itp. - czy to jest powód, żeby nieustannie krążyć dookoła tych pytań, jak gdyby w tym tkwiło sedno rzeczy? Nie żebym się wstydził mego stanu. Bynajmniej. Ale nie mogę znieść przesady, z jaką wyogromniają znaczenie pewnego faktu, pewnego rozróżnienia, w istocie jak włos cienkiego. Śmieszy mnie ta cała fałszywa teatralność; ten uroczysty patos, jaki spiętrzone nad tą sprawą, to drapowanie momentu w kostium tragiczny, pełen ponurej pompy. Tymczasem w rzeczywistości? Nic bardziej pozbawionego patosu, nic bardziej naturalnego, nic banalniejszego na świecie. Lekkość, niezależność, nieodpowiedzialność... I muzykalność, nadzwyczajna muzykalność członków, żeby tak się wyrazić. Nie można przejść obok żadnej katarynki, żeby nie tańczyć. Nie z wesołości, ale ponieważ jest nam wszystko jedno, a melodia ma swoją wolę, swój uparty rytm. Więc ustępuje się. "Małgorzatko, skarbie mojej duszy..." Jest się za lekkim, zbyt nieodpornym, żeby się sprzeciwić, a zresztą w imię czego sprzeciwić się tak nieobowiązująco zachęcającej, tak bezpretensjonalnej propozycji? Więc tańczę, a raczej drepę w takt melodii drobnym truchcikiem emerytów, podskakując od czasu do czasu. Mało kto to zauważa, zajęty sobą w bieganinie dnia powszedniego. Jednemu chciałbym zapobiec, by czytelnik nie robił sobie wygórowanych wyobrażeń o mojej kondycji. Przestrzegam wyraźnie przed

przecenianiem jej, i to zarówno *in plus*, jak też *in minus*. Tylko żadnej romantyki. Jest to kondycja jak każda inna, jak każda inna nosząca w sobie znamię najnaturalniejszej zrozumiałości i zwyczajności. Wszelka paradoksalność znika, gdy się raz jest po tej stronie sprawy. Wielkie otrzeźwienie - tak mógłbym nazwać mój stan, wyzbycie się wszystkich ciężarów, taneczna lekkość, pustka, nieodpowiedzialność, zniwelowanie różnic, rozluźnienie wszelkich więzów, rozprzęgnięcie się granic. Nic mnie nie trzyma i nic nie więzi, brak oporu, bezgraniczna swoboda. Dziwny indyferentyzm, z jakim przesuwam się lekko wskroś wszystkich dymensji bytu - powinno to być właściwie przyjemne - czy ja wiem? Ta bezdenność, ta wszędobylskość, niby to beztroska, obojętna i lekka - nie chcę się skarżyć. Jest taki zwrot: nie zagrzewać nigdzie miejsca. Oto jest właśnie: dawno przestałem już zagrzewać miejsce pod sobą.

Gdy z okna mego pokoju, wysoko położonego, patrzę na miasto, na dachy, ściany ogniowe i kominy w burym świetle jesiennego świtu, na cały ten gęsto zabudowany krajobraz, z ptasiej perspektywy, ledwo rozpowity z nocy, dzieńjący blado ku żółtym horyzontom, pokrajanym na jasne strzępy przez czarne falujące nożyce krakania wroniego - czuję: oto jest życie. Każdy z nich tkwi w sobie, w jakimś dniu, do którego się budzi, w jakiejś godzinie, która do niego należy, w jakiejś chwili. Gdzieś tam w półciemnej kuchni gotuje się kawa, kucharka odeszła, brudny odblask płomienia tańczy na podłodze. Czas zmylony ciszą odpływa na chwilę wstecz, poza siebie, i przez te nie liczone chwile rośnie z powrotem noc na falującym futerku kota. Zosia z pierwszego piętra ziewa długo i pręży się przeciągle, zanim otworzy okno do sprzątania, naspane obficie, nachrapane powietrze nocy leniwie wędruje do okna, przekracza je, wstępując powoli w burą i dymną szarość dnia. Dziewczyna zanurza ręce ociągliwie w ciasto pościeli, ciepłe jeszcze, nakisłe od snu. Wreszcie z dreszczem wewnętrznym, z oczyma pełnymi nocy wytrząsa przez okno wielką, obfitą pierzynę i lecą na miasto puszki pierza, gwiazdki puchu, leniwy wysiew rojeń nocnych.

Wtedy marzę o tym, żeby zostać roznosicielem pieczywa, monterem sieci elektrycznej albo inkasentem kasy chorych. Albo choćby kominiarzem. Rano, skoro świt, wchodzi się w jakąś bramę, lekko uchyloną, przy świetle latarki dozorca, przykładając niedbale dwa palce do daszka, z żartem na ustach, i wkracza w ten labirynt, ażeby gdzieś późnym wieczorem, na drugim końcu miasta go opuścić. Przez dzień cały przeprować się z mieszkania do mieszkania, prowadzić jedną nie dokończoną, zawilą rozmowę, od końca do końca miasta, rozdzieloną na partie między lokatorów, zapytać o coś w jednym mieszkaniu i otrzymać odpowiedź w następnym, rzucić w jednym miejscu żart i długo w dalszych zbierać owoce śmiechu. Wśród trzaskania drzwiami przeprować się przez ciasne korytarze, przez zastawione meblami sypialnie, przewracać nocniki, potrącać skrzypiące wózki, w których płaczą dzieci, schylać się po opuszczone grzechotki niemowląt. Ponad potrzebę długo zatrzymywać się w kuchniach i przedpokojach, gdzie sprzątają służące. Dziewczęta, uwijając się, prężą młode nogi, napinają wypukłe podbicia, grają, połyskują tanim obuwem, stukocą luźnymi pantofelkami...

Takie są moje marzenia w nieodpowiedzialnych, zamarginesowych godzinach. Nie wypieram się ich, choć widzę ich bezsens. Każdy powinien znać granice swej kondycji i wiedzieć, co mu przystoi.

Dla nas, emerytów, jest jesień na ogół niebezpieczną porą. Kto wie, z jakim trudem dochodzi się w naszym stanie do jakiej takiej stabilizacji, jak trudno właśnie nam, emerytom, uniknąć rozprószenia, zgubienia się z rąk własnych, ten zrozumie, że jesień, jej wichury, wzburzenia i konfuzje atmosferyczne nie sprzyjają naszej i tak zagrożonej egzystencji.

Są jednak w jesieni dni inne, pełne spokoju i zadumy, które są dla nas łaskawe. Zdarzają się niekiedy dni takie bez słońca, ciepłe, zamglone i bursztynowe na dalekich krawędziach. W przerwie między domami otwiera się nagle widok w głąb, na połąc nieba schodzącego nisko, coraz niżej, aż do ostatecznej rozwianej żółtości najdalszych horyzontów. W tych perspektywach otwierających się w głąb dnia wędruje wzrok jakby w archiwa kalendarza, jak w przekroju dostrzega

nawarstwienia dni, nieskończone registry czasu, uchodzące szpalerami w żółtą i jasną wieczność. To wszystko spiętrza się i szereguje w płowych i zatraconych formacjach nieba, podczas gdy na pierwszym planie jest dzień obecny i chwila i rzadko kto podnosi wzrok ku dalekim regałom tego złudnego kalendarza. Pochyleni ku ziemi wszyscy dążą dokądś, wymijają się niecierpliwie i ulica porysowana jest cała liniami tych dążeń, spotkań i wymijań. Ale w tej luce domów, skąd wzrok ulatuje na cały dół miasta, na całą tę panoramę architektoniczną, przejaśnioną od tyłu smugą jasności, zanikającą ku mdłym horyzontom, jest przerwa i pauza w tym zgiełku. Tam na rozszerzonym i jasnym placu rzną drzewo dla szkoły miejskiej. Stoją tam w czworokątach i kubach sęgi zdrowego, jędrnego drzewa, topniejącego powoli, polano za polanem, pod piłkami i siekierami rębaczy. Ach, drewno, zaufana, pocziwa, pełnowartościowa materia rzeczywistości, na wskroś jasna i rzetelna, ucieleśnienie uczciwości i prozy życia. Jakkolwiek głęboko szukałbyś w najgłębszym jej rdzeniu - nie znajdziesz nic, czego by już na powierzchni nie wyjawiała po prostu i bez zastrzeżeń, zawsze równomiernie uśmiechnięta i jasna tą ciepłą i pewną jasnością swego włóknistego mięszu utkanego na podobieństwo ciała ludzkiego. W każdym świeżym przełomie rozłupanego polana ukazuje się twarz nowa, a wciąż ta sama, uśmiechnięta i złota. O, przedziwna karnacja drzewa, ciepła bez egzaltacji, na wskroś zdrowa, wonna i miła.

Prawdziwie sakramentalna czynność pełna powagi i symbolu. Rąbanie drzewa! Mógłbym godzinami stać tak w tej jasnej luce otwartej w głąb późnego popołudnia i patrzeć na te melodyjnie grające piły, na równomierną pracę siekier. Tu jest tradycja tak stara jak ród ludzki. W tej jasnej szczybie dnia, w tej luce czasu otwartej na żółtą i zwiędłą wieczność rżnie się sęgi bukowego drzewa od czasów Noego. Te same ruchy patriarchalne i odwieczne, te same zamachy i pochylenia. Stoją po pachy w tej złotej ciesiołce i wrzynają się powoli w kubiki i sęgi drzewa, obsypani trociną, z maleńką iskierką refleksu w oczach, wrębiają się coraz głębiej w ciepły i zdrowy miąższ, w litą masę, i mają za każdym łupnięciem złoty błysk w oczach, jak gdyby szukali czegoś w sednie drzewa, jak gdyby chcieli się dorąbać

złotej salamandry, piskliwego żyjątko ognistego, wciąż uciekającego w głąb rdzenia. Nie, oni po prostu dzielą czas na drobne polana, gospodarują czasem, zapelniają piwnice dobrą i równomiernie porżniętą przeszłością na zimowe miesiące.

Byle przetrwać ten czas krytyczny, tych parę tygodni, wnet zaczną się już poranne przymrozki i zima. Jakże lubię ten wstęp do zimy, jeszcze bez śniegu, ale z zapachem mrozu i dymu w powietrzu. Pamiętam takie popołudnia niedzielne późną jesienią. Przypuśćmy, że cały tydzień przedtem padały deszcze, długa szaruga jesienna, aż wreszcie ziemia nasyciła się wodą i teraz zaczyna schnąć i matowieć na wierzchu, wydzielając krzepki, zdrowy chłód. Całotygodniowe niebo z powłoką chmur w łachmanach zgrabiono, jak błoto, na jedną stronę nieboskłanu, gdzie ciemnieje stosami, fałdziste i pomięte, a od zachodu zaczynają przenikać powoli zdrowe, czerstwe kolory jesiennego wieczoru i zabarwiają chmurny krajobraz. I podczas gdy niebo przeczyszczają się powoli od zachodu, wydzielając przezroczystą klarowność, idą służące odświętnie ubrane, idą trójkami, czwórkami, trzymając się za ręce, pustą, niedzielnie czystą i wysychającą ulicą pomiędzy domkami przedmieścia, kolorowymi w tej cierpkiej barwności powietrza, które kraśnieje przed zmierzchem, idą smagłe i zaokrąglone na twarzy od zdrowego zimna i stawiają elastycznie nogi w nowym przyciasnym obuwiu. Miłe, wzruszające wspomnienie wydobyte z zakamarka pamięci!

Ostatnio chodziłem prawie codziennie do urzędu. Zdarza się czasem, że ktoś zachoruje i pozwalają mi na jego miejsce pracować. Czasem ktoś po prostu ma jakąś pilną sprawę na mieście i daje się zastąpić w pracy biurowej. Niestety, regularna praca to nie jest. Przyjemnie jest mieć, choć na parę godzin, swoje krzesło ze skórzaną poduszką, swoje linealy, ołówki i pióra. Przyjemnie jest być potrąconym albo i ofukniętym po koleżeńsku przez współpracujących. Ktoś zwraca się do człowieka, ktoś powie jakieś słowo, zakpi, zażartuje - i odkwita się na chwilę. Zahacza się człowiek o kogoś, zaczepia swą bezdomnością i nicością o coś

żywego i ciepłego. Ten drugi odchodzi i nie czuje mego ciężaru, nie zauważa, że mnie niesie na sobie, że pasożytuję przez chwilę na jego życiu...

Ale odkąd przyszedł nowy naczelnik biura i to się skończyło.

Siadam teraz często, jeżeli jest pogoda, na ławce, na małym skwerze, naprzeciw szkoły miejskiej. Z ulicy obok dochodzi stuk siekier rąbiących drzewo. Dziewczęta i młode kobiety wracają z targu. Niektóre mają poważne i regularnie zarysowane brwi i idą patrząc spod nich groźnie, smukłe i chmurne - anielice z koszykami pełnymi jarzyn i mięsa. Czasem przystają przed sklepami i przyglądają się sobie w szybie wystawowej. Potem odchodzą, rzuciwszy z góry dumny i musztrujący wzrok za siebie, na koniec własnego bucika. O dziesiątej godzinie wychodzi stróż na próg szkoły i krzykliwy dzwonek jego napelnia swym zgiełkiem ulicę. Wtedy wewnątrz szkoły zdaje się nagle wzburzać gwałtownym tumultem, o mało co nie rozsadzającym budynku. Jak gdyby zbiegowie, z tej powszechnej zamieszki wylatują jak z procy małe obdartusy z bramy, zlatują z wrzaskiem z kamiennych schodków, ażeby znalazłszy się na wolności, przedsięwziąć jakieś niepoczytalne skoki, rzucać się w szalone imprezy zaimprovizowane na oślep, między dwoma łypnięciami oczu. Czasem zapędzają się w tych nieprzytomnych gonitwach aż do mojej ławki, rzucają w przelocie w moją stronę niezrozumiałe wyzwiska. Ich twarze zdają się wychodzić z zawiasów przy gwałtownych grymasach, które do mnie stroją. Jak stado zaaferowanych małą komentujących parodystycznie swe błazeńskie wyczyny - przelatuje ta gromada mimo, gestykulując z piekielnym wrzaskiem. Widzę wtedy ich zadarte i ledwo zaznaczone noski, nie mogące wstrzymać wycieku, ich usta rozdarte krzykiem i pokryte krostami, ich małe zaciśnięte pięści. Zdarza się, że zatrzymują się czasem przy mnie. Rzecz dziwna, biorą mnie za rówieśnika. Mój wzrost znajduje się od dawna w zaniku. Twarz moja, rozluźniona i zwiotczała, przybrała pozór dziecinnej. Jestem nieco zakłopotany, gdy tykają mnie bezceremonialnie. Kiedy mnie po raz pierwszy jeden z nich uderzył znieacka w pierś, potoczyłem się pod ławkę. Ale nie obraziłem się. Wyciągnęli mnie stamtąd błogo zmieszanego i zachwyconego tak świeżym i ożywczym

postępowaniem. Ta zaleta, iż nie obrażam się za żadną gwałtowność ich impetycznego *savoir-vivre'u* zjednuje mi stopniowo mir i popularność. Łatwo się domyślić, że zaopatruję odtąd pilnie me kieszenie w odpowiednią kolekcję guzików, kamyków, szpilek od nici, kawałków gumy. Ułatwia to niezmiernie wymianę myśli i stanowi pomost naturalny w nawiązywaniu przyjaźni. Przy tym, pochłonięci rzeczowymi zainteresowaniami, mniej zwracają uwagę na mnie samego. Pod osłoną arsenału wydobytego z kieszeni nie potrzebuję się obawiać, by ich ciekawość i wścibstwo stało się wobec mnie samego natarczywe.

W końcu postanowiłem wprowadzić w czyn pewną myśl, która mnie od pewnego czasu coraz uporczywiej nurtuje.

Był dzień bezwietrzny, łagodny i zamyślony, jeden z tych dni późnej jesieni, w których rok, wyczerpawszy wszystkie kolory i odcienie tej pory, zdaje się powracać do wiosennych rejestrów kalendarza. Niebo bez słońca ułożyło się w kolorowe smugi, łagodne warstwy kobaltu, grynszpanu i seledynu, zamknięte na samej krawędzi smugą czystej jak woda białości - kolor kwietnia, niewymowny i dawno zapomniany. Wdziałem najlepsze ubranie i wyszedłem na miasto nie bez pewnej tremy. Szedłem prędko, bez przeszkód, w zacisznej aurze tego dnia, nie zboczywszy ani razu z prostej linii. Bez tchu wbiegłem na kamienne schodki. *Alea iacta est* - powiedziałem do siebie, zapukawszy do drzwi kancelarii. Stałem w skromnej postawie przed biurkiem pana dyrektora, jak przystało w nowej mej roli. Byłem nieco zmieszany.

Pan dyrektor wyjął z oszklonego pudełka chrabąszcza na szpilce i zbliżył go ukośnie do oka, patrząc nań pod światło. Palce miał zawalane atramentem, paznokcie krótkie i płasko obcięte. Spojrzał na mnie zza okularów.

- Pan radca chciałby zapisać się do pierwszej klasy? - rzekł. - Bardzo chwalebne i godne uznania. Rozumiem, radca chcesz od podstaw, od fundamentów swą edukację odbudować. Zawsze powtarzam: gramatyka i tabliczka mnożenia oto są podstawy wykształcenia. Naturalnie nie możemy radcy traktować jako ucznia podlegającego przymusowi szkolnemu. Raczej jako hospitantą, jako weterana

abecadła, żeby się tak wyrazić, który po długiej tułaczce zawinął niejako powtórnie do ławy szkolnej. Skierował swą skołataną nawę do tego portu, że się tak wyrażę. Tak, tak, panie radco, niewielu okazuje nam tę wdzięczność, to uznanie dla naszych zasług, by po wieku pracy, po wieku trudów powrócić do nas i osiąść już tu na stałe jako dobrowolny, dożywotni repetent. Pan radca będzie na wyjątkowych u nas prawach. Zawsze mówiłem...

- Przepraszam - przerwałem mu - ale chciałbym nadmienić, że co do wyjątkowych praw, to zrzekam się całkowicie... Nie życzę sobie uprzywilejowania. Wprost przeciwnie... Nie chciałbym w niczym wyróżniać się, owszem, zależy mi na tym, żeby jak najbardziej zlać się, zaniknąć w szarej masie klasy. Cały mój zamysł chybiłby celu, gdybym w czymkolwiek był uprzywilejowany w porównaniu z innymi. Nawet jeżeli chodzi o karę cielesną - tu podniosłem palec - uznaję w zupełności zbawienny i umoralniający jej wpływ - zastrzegam się wyraźnie, by nie czyniono co do mnie pod tym względem żadnych wyjątków.

- Bardzo chwalebne, bardzo pedagogiczne - rzekł pan dyrektor z uznaniem. - Poza tym sędzę - dodał - że pańskie wykształcenie okazuje skutek długiego nieużywania w istocie już pewne luki. Oddajemy się pod tym względem zazwyczaj optymistycznym złudzeniom, które łatwo jest rozwiązać. Czy pan jeszcze pamięta na przykład, ile jest pięć razy siedem?

- Pięć razy siedem - powtórzyłem zmieszany, czując, jak pomieszanie, napływające ciepłą i błogą falą do serca, przesłania mgłą jasność mych myśli. Olśniony jak objawieniem własną ignorancją, zacząłem na wpół z zachwytem, że wracam rzeczywiście do dziecinnej nieświadomości, jąkać się i powtarzać: pięć razy siedem, pięć razy siedem...

- No widzi pan - rzekł dyrektor - najwyższy czas, że się pan zapisał do szkoły. - Potem, wzięwszy mnie za rękę, zaprowadził do klasy, w której odbywała się nauka.

Znowu jak przed pół wiekiem znalazłem się w tym zgiełku, w tej sali rojnej i ciemnej od mrowia ruchliwych głów. Stałem maleńki na środku, trzymając się poły pana dyrektora, podczas gdy pięćdziesiąt par młodych oczu przypatrywało mi się z

obojętną, okrutną rzeczowością zwierzątek, które widzą osobnika tej samej rasy. Z wielu stron wykrzywiano do mnie twarze, robiono miny w prędkiej zdawkowej wrogości, wystawiano języki. Nie reagowałem na te zaczepki, pomny na dobre wychowanie, które niegdyś odebrałem. Rozglądając się w tych ruchliwych twarzach, pełnych niedołącznych grymasów, przypomniałem sobie tę samą sytuację sprzed pięćdziesięciu lat. Wtenczas stałem tak obok matki, podczas gdy ona załatwiała mą sprawę z nauczycielką. Obecnie zamiast matki pan dyrektor szeptał coś do ucha pana profesora, który kiwał głową i przypatrywał mi się z powagą.

- To jest sierota - rzekł wreszcie do klasy - nie ma ani ojca, ani matki - nie dokuczajcie mu zbytnio.

Łzy zakręciły mi się w oczach przy tym przemówieniu, prawdziwe łzy rozczulenia, a pan dyrektor wsunął mnie, sam wzruszony, do pierwszej ławki.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe życie. Szkoła pochłonęła mnie od razu w zupełności. Nigdy za czasów mego dawnego życia nie bywałem tak zaabsorbowany tysiącem spraw, intryg i interesów. Żyłem w jednym wielkim zaafierowaniu. Nad moją głową krzyżowało się tysiąc najróżnorodniejszych interesów. Przesyłało mi sygnały, telegramy, dawano znaki porozumiewawcze, psykano, mrugano i na wszystkie sposoby, przypominano mi na migi tysiące zobowiązań, które zaciągnąłem. Ledwo mogłem doczekać się końca lekcji, podczas której z wrodzonej przyzwoitości wytrzymywałem ze stoicyzmem wszystkie ataki, ażeby ani słowa nie uronić z nauk pana profesora. Za ledwie rozległ się głos dzwonka, zwałała się na mnie ta rozwrzeszczana zgraja, opadała mnie z żywiołowym impetem, roznosząc mnie prawie na sztuki. Nadbiegali z tyłu poprzez ławki, dudniąc nogami na pulpitych, przeskakiwali mi nad głową, koziółkowali przeze mnie. Każdy wrzeszczał mi do ucha swe pretensje. Stałem się centrem wszystkich interesów, najpoważniejsze transakcje, najzawilsze i najdrażliwsze afery nie mogły obejść się bez mego udziału. Chodziłem po ulicy otoczony zawsze hałaśliwą hałastrą gestykulującą gwałtownie. Psy wymijały nas z daleka z podwiniętymi ogonami, koty wskakiwały na dachy za naszym zbliżaniem się, a samotni malcy, napotkani

po drodze, chowali z biernym fatalizmem głowę między ramiona, przygotowani na najgorsze.

Nauka szkolna nie straciła dla mnie nic na uroku nowości. Na przykład sztuka sylabizowania. Profesor apelował po prostu do naszej niewiedzy, umiał ją wydobywać z wielką zręcznością i sprytem, docierał w nas wreszcie do owej *tabula rasa*, która jest podłożem wszelkiego nauczania. Wypleniwszy w nas w ten sposób wszystkie przesady i nawyki, rozpoczął od podstaw naukę. Z trudem i natężeniem dukaliśmy melodyjnie dźwięczne sylaby, pociągając w pauzach nosem i wyciskając na książce palcem literę po literze. Mój elementarz nosił takie same ślady palca wskazującego, zagęszczone przy trudniejszych literach - co elementarze moich kolegów.

Pewnego razu, nie pamiętam już, o co poszło, wszedł pan dyrektor do klasy i wśród ciszy, jaka nagle zaległa, wskazał palcem na trzech spomiędzy nas, między nimi i na mnie. Musieliśmy natychmiast udać się z nim do kancelarii. Wiedzieliśmy, czym to pachnie, i dwaj moi współwinowajcy zaczęli już z góry beczeć. Patrzyłem obojętnie na ich niewczesną skruchę, na zdeformowane nagłym płaczem twarze, jak gdyby z pierwszymi łzami zesła z nich maska ludzka i obnażyła bezkształtną miazgę płaczącego mięsa. Co do mnie - byłem spokojny, z determinacją natur moralnych i sprawiedliwych poddawałem się biegowi rzeczy, gotów ze stoicyzmem znieść konsekwencje mych czynów. Ta siła charakteru, wyglądająca na zatwardziałość, nie podobała się panu dyrektorowi, gdyśmy wszyscy trzej winowajcy stanęli przed nim w kancelarii - pan profesor asystował tej scenie z trzcina w ręku. Z obojętnością rozpiąłem pasek, ale pan dyrektor, spojrzawszy zawołał: - Wstyd, czy to możliwe? w tym wieku? - i popatrzył zgorszony na pana profesora. - Dziwny wybryk natury - dodał z grymasem wstrętu. Potem, odprawiwszy malców, miał do mnie długie i poważne kazanie, pełne żalu i dezaprobaty. Ale nie rozumiałem go. Gryząc bezmyślnie paznokcie, patrzyłem tępo przed siebie i potem powiedziałem: - Płosę pana profosora, to Wacek pluł na bułkę pana profosora. - Byłem już naprawdę dzieckiem.

Na gimnastykę i rysunki szliśmy do innej szkoły, gdzie były specjalne urządzenia i sale dla tych przedmiotów. Maszerowaliśmy parami, gadając zajadle, wnosząc na każdą ulicę, na którą skręcaliśmy, nagły zgiełk naszych zmieszanych sopranów.

Szkoła ta był to wielki drewniany budynek przerobiony z sali teatralnej, stary i pełen przybudówek. Wnętrze sali rysunkowej podobne było do ogromnej łaźni, sufit podparty drewnianymi słupami, pod sufitem biegła dookoła drewniana galeria, na którą wbiegaliśmy od razu, szturmując schody, dudniące jak burza pod naszymi nogami. Liczne boczne ubikacje nadawały się doskonale do zabawy w chowanek. Profesor rysunków nie przychodził nigdy, dokazywaliśmy co niemiara. Od czasu do czasu wpadał dyrektor tej szkoły do sali, stawiał kilku najhałaśliwszych do kąta, nakręcał uszu paru najdzikszym, ale zaledwie odwracał się ku drzwiom, już za jego plecami rósł na nowo tumult.

Nie słyszeliśmy dzwonka oznajmającego koniec nauki. Robiło się popołudnie jesienne, krótkie i kolorowe. Po niektórych chłopców przychodziły matki i uprowadzały opornych, łajac i bijąc. Ale dla innych i pozbawionych tak troskliwej opieki domowej dopiero wtedy zaczynała się właściwa zabawa. Dopiero późnym zmierzchem stary stróż, zamykając szkołę, przepędzał nas do domu.

Rano panowała jeszcze o tej porze gęsta ciemność, gdy wychodziliśmy do szkoły, miasto leżało jeszcze w głuchym śnie. Posuwaliśmy się omackiem z wyciągniętymi rękami, szeleszcząc nogami w suchych liściach, które zalegały stosami ulice. Idąc trzymaliśmy się ściany domów, ażeby nie zabłądzić. Niespodzianie w jakiejś framudze zmacywaliśmy ręką twarz kolegi idącego z przeciwnej strony. Ileż stąd było śmiechu, zgadywań i niespodzianek. Niektórzy mieli świeczki łożowe, zapalali je i miasto zasiane było wędrówkami tych ogarków, posuwających się nisko przy ziemi drżącym zygzakiem, spotykających się i przystających, ażeby oświecić jakieś drzewo, krąg ziemi, kupę zwiedłych liści, wśród których maleństwa szukają za kasztanami. Już też w niektórych domach zapalają się na piętrze pierwsze lampy, mętne światło wypada wyogromnione przez

kwadraty szyb w noc miejską i kładzie się wielkimi figurami na plac przed domem, na ratusz, na ślepe fasady domów. A gdy ktoś, wzięwszy lampę do ręki, idzie z pokoju do pokoju - obracają się na dworze te ogromne prostokąty światła, jak karty kolosalnej księgi, i plac zdaje się wędrować kamienicami i przestawiać cienie i domy, jakby układał pasjanse z wielkiej talii kart.

Wreszcie dochodziliśmy do szkoły. Ogarki gasły, ogarniała nas ciemność, w której domacywaliśmy się naszych siedzeń w ławkach. Potem wchodził nauczyciel, zatykał świeczkę łożową do butelki i zaczynało się nudne odpytywanie słówek i deklinacji. W braku światła nauka pozostawała pamięciowa i werbalna. Podczas gdy ktoś recytował monotonie, patrzyliśmy mrużąc oczy, jak ze świecy wystrzelają złote strzały, pogmatwane zygzaki i płaczą się, szeleszcząc jak słoma, w zmrużonych rzęsach. Pan profesor rozlewał atrament do kałamarzy, ziewał, wyglądał w noc czarną przez niskie okno. Pod ławkami panował głęboki cień. Nurkowaliśmy tam, chichocąc, wędrowali na czworakach, obwąchując się jak zwierzęta, dokonywaliśmy po ciemku i szeptem zwykłych transakcji. Nigdy nie zapomnę tych błogich godzin przedranych w szkole, podczas gdy za szybami robił się powoli świt.

Nastała wreszcie pora wichrów jesiennych. Owego dnia już rano niebo stało się żółte i późne, modelowane na tym tle w mętnoszare linie imaginacyjnych krajobrazów, wielkich i mglistych pustkowi, odchodzących perspektywicznie malejącymi kulisami wzgórzy i fałdów, zgęszczających się i drobniejących aż daleko na wschód, gdzie urywało się nagle jak falisty brzeg ulatującej kurtyny i ukazywało dalszy plan, głębsze niebo, lukę przestraszonej bledości, blade i przerażone światło najdalszej dali - bezbarwne, wodnistojasne, którym jak ostatecznym osłupieniem kończył się i zamykał ten horyzont. Jak na sztychach Rembrandta widać było za dni tych pod tą smugą jasności dalekie, mikroskopijnie wyraźne krainy, które - zresztą nigdy nie widziane - podniosły się teraz zza horyzontu pod tą jasną szczeliną nieba, zalane jaskrawo-bladym i panicznym światłem, jak wynurzone z innej epoki i innego czasu, jak ukazany tęskniącym

ludom tylko na chwilę kraj obiecany. W tym miniaturowym i jasnym krajobrazie widać było z dziwną ostrością, jak wijącym się falisto torem posuwał się tam ledwo dostrzegalny w tej dali pociąg kolei żelaznej, puszący się srebrnobiałą smużką dymu, i rozpływał się w jasnej nicości.

Ale potem zerwał się wiatr. Wypadł jak gdyby z tej jasnej luki nieba, zakołował i rozbiegł się po mieście. Był cały zrobiony z miękkości i łagodności, ale w dziwnej megalomanii udawał brutala i gwałtownika. Miesił, przewracał i męczył powietrze, że umierało z błogości. Nagle usztywniał się w przestworzu i stawał dęba, rozpościerał się jak płótna żaglowe, ogromne, napięte, klaskające jak z bata prześcieradła, zadzierzgał się w twarde węzły, drżące od napięć, ze srogą miną, jakby chciał przytroczyć całe powietrze do próżni, ale potem wyciągał zdradliwy koniec i rozpuszczał tę fałszywą pętlę i już o milę dalej wyrzucał ze świstem swe łąso, swój pętający arkan, który niczego nie chwycił.

A czego nie wyrabiał z dymem kominów! Biedny dym już sam nie wiedział, jak uniknąć jego łajań, jak uchylić głowę, na prawo czy na lewo, od jego ciosów. Tak panoszył się po mieście, jak gdyby raz na zawsze statuować chciał tego dnia pamiętny przykład bezgranicznej swej samowoli.

Od rana miałem przecucie nieszczęścia. Z trudem przeprowiałem się przez wichurę. Na rogach ulic, na skrzyżowaniu się przeciągów, trzymali mnie koledzy za poły. Tak przeprowiałem się przez miasto i wszystko szło dobrze. Potem poszliśmy na gimnastykę do drugiej szkoły. Po drodze kupiliśmy sobie obwarzanki. Długi wąż par wkraczał, gęsto gadając, przez bramę do wnętrza. Jeszcze moment, a byłbym ocalony, w pewnym miejscu, bezpieczny aż do wieczora. W konieczności mogłem nawet nocować w sali gimnastycznej. Wierni koledzy byliby mi towarzyszyli przez noc. Nieszczęście chciało, że Wicek dostał tego dnia nowego bąka i puścił go z rozmachem przed progiem szkoły. Bąk buczał, zrobił się zator koło wejścia, wypchnięto mnie poza obręb bramy i w tej chwili porwało mnie. - Drodzy koledzy, ratujcie! - zawołałem, już wisząc w powietrzu. Jeszcze ujrzałem wyciągnięte ich ręce i krzyczace, rozwarłe ich usta, w następnej chwili machnąłem koziołką i

wionąłem wspaniałą, wstępującą linią. Już leciałem wysoko nad dachami. Lecąc tak bez tchu, widziałem oczyma wyobraźni, jak koledzy moi w klasie wyciągają ręce, strzygąc gwałtownie palcami, i wołają do nauczyciela: - Proszę pana profesora, Szymcia porwało! - Pan profesor spojrział przez okulary. Spokojnie podszedł do okna i osłaniając ręką oczy, wypatrywał uważnie horyzont. Ale mnie już nie mógł zobaczyć. Jego twarz w mdłym odblasku płowego nieba zrobiła się całkiem pergaminowa. - Trzeba go skreślić z katalogu - rzekł z gorzką miną i poszedł do stołu. A mnie niosło wyżej i wyżej w żółte, niezbadane jesienne przestworza.

Samotność

Od kiedy mogę wychodzić na miasto, jest to dla mnie znaczną ulgą. Ale jakże długo nie opuszczałem mego pokoju! Były to gorzkie miesiące i lata.

Nie potrafię wytłumaczyć faktu, że jest to dawny mój pokój z dzieciństwa, ostatnia izba od ganku już za owych czasów rzadko odwiedzana, wciąż zapominana, jakby nie należąca do mieszkania. Nie pamiętam już, jak tam zaszedłem. Zdaje mi się, że była noc jasna, wodnistobiała noc bezksiężycowa. Widziałem każdy szczegół w szarej poświacie. Łóżko było rozesłane, jakby dopiero co kto je opuścił, nasłuchiwałem w ciszy, czy nie dosłyszę oddechu śpiących. Któż mógł tu oddychać? Odtąd mieszkam tu. Siedzę tu od lat i nudzę się. Gdybym był zawczasu myślał o robieniu zapasów! Ach wy, którzy jeszcze możecie, którym dany jest jeszcze własny czas na to, zbierajcie zapasy, ciułajcie ziarno, dobre i pożywne, słodkie ziarno, bo przyjdzie wielka zima, przyjdą lata chude i głodne i nie obrodzi ziemia w egipskim kraju. Niestety nie byłem jak skrzętny chomik, byłem jak lekkomyślna mysz polna, żyłem z dnia na dzień bez troski o jutro, dufny w swój talent głodomora. Jak mysz myślałem sobie: cóż mi głód zrobi? W ostateczności mogę gryźć i drzewo, albo drobić pyszczkiem papier na drobne listeczki. Najuboższe zwierzę, szara mysz kościelna - na szarym końcu w księdze stworzenia - potrafię żyć z niczego. I tak oto żyję z niczego w tym umarłym pokoju. Muchy dawno w nim powyzdychały. Przykładam ucho do drzewa, czy tam w głębi robak nie chrobocze. Grobowa cisza. Tylko ja, nieśmiertelna mysz, samotny pogrobowiec szeleszczę w tym martwym pokoju, przebiegam bez końca stół, etażerkę, krzesła. Sunę podobna do ciotki Tekli, w długiej szarej sukni do ziemi, zwinna, prędką i małą, wlokąc za sobą szeleszczący ogonek. Siedzę teraz w biały dzień na stole nieruchoma, jak wypchana, oczy moje, jak dwa paciorki, wyszły na wierzch i

błyszczą. Tylko koniec pyszczka pulsuje ledwo dostrzegalnie, żując drobniutko z przyzwyczajenia.

To należy naturalnie rozumieć metaforycznie. Jestem emerytem, a nie żadną myszą. Należy to do właściwości mojej egzystencji, że pasożytuję na metaforach, dają się tak łatwo ponosić pierwszej lepszej metaforze. Zapędziwszy się tak, muszę dopiero z trudem odwoływać się z powrotem, wracając powoli do opamiętania.

Jak wyglądam? Czasem widzę się w lustrze. Rzecz dziwna, śmieszna i bolesna! Wstyd wyznać. Nie widzę się nigdy *en face*, twarzą w twarz. Ale trochę głębiej, trochę dalej stoję tam w głębi lustra nieco z boku, nieco profilem, stoję zamyślony i patrzę w bok. Stoję tam nieruchomo patrząc w bok, nieco w tył za siebie. Nasze spojrzenia przestały się spotykać. Gdy się poruszę, i on się porusza, ale na w pół w tył odwrócony, jakby o mnie nie wiedział, jakby zaszedł poza wiele luster i nie mógł już powrócić. Żal ściska serce, gdy go widzę tak obcego i obojętnego. Przecież to ty, chciałbym zawołać, byłeś moim wiernym odbiciem, towarzyszyłeś mi tyle lat, a teraz nie poznajesz mnie! Boże! Obcy i gdzieś w bok patrzący stoisz tam i zdajesz się nasłuchiwać gdzieś w głąb, czekać na jakieś słowo, ale stamtąd, ze szklanej głębi, komuś innemu posłuszny, skądinąd czekający rozkazów.

Siedzę tak przy stole i wertuję w starych pożółkłych skryptach uniwersyteckich - jedyna moja lektura.

Patrzę na spelzłą, zetlałą firankę, widzę, jak lekko wzdyma się od zimnego tchu z okna. Na tym karniszu mógłbym się gimnastykować. Doskonały rek. Jak lekko koziołkuje się na nim w jałowym, tylekroć już spożytym powietrzu. Od niechcienia niemal wykonuje się elastyczne *salto mortale* - chłodno, bez udziału wewnętrznego, czysto spekulatywnie niejako. Gdy się tak stoi ekswilibrystycznie na tym reku, na końcach palców, dotykając głową sufitu, ma się uczucie, że w tej wysokości jest nieco cieplej, ma się ledwo wyczuwalne złudzenie łagodniejszej aury. Od dzieciństwa lubię tak patrzeć na pokój z ptasiej perspektywy.

Siedzę i słucham ciszy. Pokój jest po prostu wybielony wapnem. Czasem na białym suficie wystrzeli kurza łapka pęknięcia, czasem płatek tynku obsuwa się z

szelestem. Czy mam zdradzić, że pokój mój jest zamurowany? Jakżeż to? Zamurowany? W jakiż sposób mógłbym zeń wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrej woli nie ma zapory, intensywnej chęci nic się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić drzwi, dobre stare drzwi, jak w kuchni mego dzieciństwa, z żelazną klamką i rygłem. Nie ma pokoju tak zamurowanego, żeby się na takie drzwi zaufane nie otwierał, jeśli tylko starczy sił, by mu je zainsynuować.

Ostatnia Ucieczka Ojca

Było to w późnym i zatraconym okresie zupełnego rozprzężenia, w okresie ostatecznej likwidacji naszych interesów. Szyld zdjęty był już dawno znad drzwi naszego sklepu. Przy na wpół spuszczonych żaluzjach prowadziła matka pokątny handel resztkami. Adela wyjechała do Ameryki. Mówiono, że okręt, którym płynęła, zatonął i wszyscy pasażerowie stracili życie. Nie sprawdziliśmy nigdy tej pogłoski, wieść o dziewczynie zaginęła, nie słyszeliśmy już więcej o niej. Nastąpiła nowa era, pusta, trzeźwa i bez radości - biała jak papier. Nowa służąca, Genia, anemiczna, blada i bezkostna, snuła się miękko po pokojach. Gdy ją było pogłaskać po plecach, wiła się i przeciągała jak wąż i mruzczała jak kotka. Miała mętnobiałą cerę i nawet pod powieką emaliowych oczu nie była różowa. Przez roztargnienie robiła niekiedy zaprażkę ze starych faktur i kopiałów - mdłą i niejadalną.

W tym czasie ojciec mój umarł był już definitywnie. Umierał wielokrotnie, zawsze jeszcze nie doszczętnie, zawsze z pewnymi zastrzeżeniami, które zmuszały do rewizji tego faktu. Miało to swoją dobrą stronę. Rozdrabniając tak śmierć swą na raty, oswajał nas ojciec z faktem swego odejścia. Zobojętnieliśmy na jego powroty coraz bardziej zredukowane, za każdym razem żałośniejsze. Fizjonomia już nieobecnego rozeszła się niejako w pokoju, w którym żył, rozgałęziła się, tworząc w pewnych punktach przedziwne węzły podobieństwa o nieprawdopodobnej wyrazistości. Tapety imitowały w pewnych miejscach drgawki jego tik, arabeski formowały się w bolesną anatomię jego śmiechu, rozłożoną na symetryczne członki, jak skamieniały odcisk trylobita. Czas jakiś obchodziliśmy w wielkim promieniu futro jego podbite tchórzami. Futro oddychało. Popłoch zwierzątek wkąsanych w siebie i wszytych przelatował przez nie w bezsilnych drgawkach i gubił się w fałdach błamów. Przyłożywszy ucho, można było słyszeć melodyjne mruczenie zgodnego ich snu. W tej formie dobrze wygarbowanej, z tym lekkim

zapachem tchórzcy, mordy i nocnych rui mógłby był przetrwać lata. Ale i tu nie wytrzymał długo.

Pewnego razu matka przysła z miasta z miną skonsternowaną. - Popatrz Józefie - rzekła - co za przypadek. Złapałam go na schodach skaczącego ze stopnia na stopień. - I uniosła chusteczki znad czegoś, co trzymała w talerzu. Poznałem go od razu. Podobieństwo było nie do zapoznania, choć był teraz rakiem czy wielkim skorpionem. Potwierdziliśmy sobie to oczyma, głęboko zdumieni wyrazistością tego podobieństwa, które poprzez takie przemiany i metamorfozy narzucało się jeszcze wciąż z neodpartą wprost siłą. - Czy żyje? - zapytałem. - Rozumie się, ledwo mogę go utrzymać - rzekła matka - czy mam go puścić na podłogę? - Postawiła talerz na ziemi i pochyleni nad nim oglądaliśmy go teraz dokładniej. Zakłęsy między wieloma swymi kabłąkowatymi nogami, przebierał nimi nieznacznie. Uniesione nieco szczypce i wąsy zdawały się nasłuchiwać. Przechyliłem miskę i ojciec wyszedł ostrożnie, z pewnym wahaniem na podłogę, ale dotknąwszy płaskiego gruntu pod sobą, pobiegł nagle wszystkimi swymi kilkunastoma nogami, klekocąc twardymi kostkami członkonoga. Zagroziłem mu drogę. Zawahał się, dotknąwszy falującymi wąsami przeszkody, po czym uniósł szczypce i skręcił w bok. Daliśmy mu biec w obranym kierunku. Z tej strony żaden mebel nie mógł mu dać schronienia. Tak biegnąc w falistych drgawkach na swych rozlicznych nogach, dotarł do ściany i nim zdołaliśmy się spostrzec, wbiegł na nią lekko, nie zatrzymując się, całą armaturą odnóży. Wstrząsnąłem się z instynktowną odrazą, śledząc wieloczłonkową wędrówkę posuwającą się z łopotem po papierowych tapetach. Ojciec tymczasem doszedł do małej wmurowanej szafki kuchennej, przez chwilę przegiął się na jej krawędzi, badając szczypcami teren wewnątrz szafki, po czym wlaźł cały do środka.

Poznawał jakoby na nowo mieszkanie z tej nowej krabiej perspektywy, recypował przedmioty być może węchem, gdyż mimo dokładnych oględzin nie

mogłem wysledzić u niego żadnego organu wzroku. Zdawał się zastanawiać nieco nad przedmiotami spotkanymi na swej drodze, zatrzymywał się przy nich, dotykając ich lekko falującymi wąsami, obejmował je nawet, jakby próbując, szczypcami, zawierał z nimi znajomość i dopiero po chwili odłączał się od nich i biegł dalej, wlokąc za sobą odwłok, lekko uniesiony nad podłogą. Tak samo postępował z kawałkami chleba i mięsa, które rzucaliśmy mu na podłogę, w nadziei, że się nimi pożywi. Obmacywał je tylko pobieżnie i biegł dalej, nie domyślając się w tych przedmiotach rzeczy jadalnych.

Można było myśleć, widząc te jego cierpliwe rekonesanse na obszarze pokoju, że czegoś szuka zawzięcie i niezmordowanie. Od czasu do czasu biegł w kąt kuchni, pod beczkę z wodą, która przeciekała, i doszedłszy do kałuży, zdawał się pić. Niekiedy zapodziewał się na całe dni. Zdawał się doskonale obywać bez jedzenia i nie zauważyliśmy, żeby wskutek tego tracił coś na objawach żywotności. Z mieszanymi uczuciami wstydu i odrazy żywiliśmy za dnia tajoną obawę, że mógłby nas w nocy odwiedzić w łóżku. Ale to nie zdarzyło się, ani razu, chociaż za dnia wędrował po wszystkich meblach i lubił zwłaszcza przebywać w szparze między szafami a ścianą.

Pewne objawy rozumu, a nawet pewnej figlarnej swawolności nie dawały się przeoczyć. Nigdy na przykład nie omieszkał ojciec w porze posiłku pojawić się w jadalni, chociaż jego udział przy obiedzie był czysto platoniczny. Jeśli drzwi jadalni podczas obiadu były przypadkiem zamknięte, a ojciec znajdował się w sąsiednim pokoju, chrobotał tak długo pod drzwiami, biegnąc tam i z powrotem wzdłuż szpary, aż póki mu nie otworzono. Później nauczył się wsuwać w tę dolną szparę drzwi szczypcę i nogi i po nieco forsownych chybotach ciała udawało mu się przepchać bokiem popod drzwiami do pokoju. To zdawało się go cieszyć. Nieruchomiał wtedy pod stołem, leżał całkiem cicho, pulsując tylko lekko odwłokiem. Co oznaczało to rytmiczne pulsowanie błyszczącego odwłoka, nie mogliśmy odgadnąć. Było to coś ironicznego, nieprzyzwoitego i złośliwego, co

zdawało się wyrażać zarazem jakąś niską i lubieżną satysfakcję. Nemrod, nasz pies, podchodził do niego powoli i bez przekonania, wahał ostrożnie, kichał i odchodził obojętnie, nie wyrobiwszy sobie zdecydowanego sądu.

Rozprężenie w naszym domu zataczało coraz szersze kręgi. Genia spała po całych dniach, jej smukłe ciało falowało bezkrotnie głębokim oddechem. Znajdowaliśmy często w zupie szpulki od nici, które wrzucała wraz z jarzyną przez nieuwagę i dziwne roztargnienie. Sklep otwarty był *in continuo* dniem i nocą. Wyprzedaż przy na wpół spuszczonej żaluzji brała dzień w dzień swój zawily bieg wśród targów i perswazyj. Na domiar przyjechał wuj Karol.

Był dziwnie zdetonowany i małomówny. Oświadczył z westchnieniem, że po ostatnich smutnych doświadczeniach postanowił zmienić tryb życia i zabrać się do studium języków. Nie wychodził z domu, zamknął się w ostatnim pokoju, z którego Genia ściągnęła wszystkie dywany i makaty, pełna dezaprobaty dla nowego gościa, i zagłębił się w studium starych cenników. Kilkakrotnie usiłował złośliwie nadeptać ojcu na odwłok. Z krzykiem i przerażeniem zabroniliśmy mu tego. Uśmiechał się tylko do siebie złośliwie, nie przekonany, podczas gdy ojciec, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, zatrzymywał się z uwagą nad jakimiś plamami na podłodze.

Ojciec mój, chyży i ruchliwy, jak długo stał na nogach, dzielił ze wszystkimi skorupiakami tę właściwość, że, przewróciwszy się na grzbiet, stawał się zupełnie bezbronny. Przykry był to i żaloszny widok, gdy przebijając rozpaczliwie wszystkimi odnóżami, wirował bezradnie na grzbiecie dookoła własnej osi. Nie można było bez przykrości patrzeć na tę zbyt wyraźną i artykułowaną, bezwstydną niemal mechanikę jego anatomii, na wierzchu niejako leżącą i niczym nie osłoniętą od strony nagiego, wielocłonkowego brzucha. Wujka Karola podrywało aż w takich chwilach, żeby go przydeptać. Biegliśmy na ratunek i podawaliśmy ojcu jakiś

przedmiot, którego chwycił się kurczowo szczypcami i odzyskiwał zrećnie normalną pozycję, puszczając się natychmiast w bieg dookolny, błyskawicznym zygzakiem, ze zdwojoną szybkością, jak gdyby chciał zatrzeć wspomnienie kompromitującego upadku.

Z przykrością muszę się przezwyciężyć, ażeby opowiedzieć zgodnie z prawdą niepojęty fakt, przed którego rzeczywistością wzdraga się cała moja istota. Do dzisiaj nie mogę pojąć, że byliśmy w całej rozciągłości świadomymi sprawcami tego faktu. W tym oświeceniu nabiera to zdarzenie cech jakiejś dziwnej fatalności. Albowiem fatalność nie omija naszej świadomości i woli, ale włącza je w swój mechanizm tak, że dopuszczamy i przyjmujemy, jak w letargicznym śnie, rzeczy, przed którymi wzdragamy się w normalnych warunkach.

Gdy wstrząśnięty dokonany fakt, pytałem z rozpaczą matki: - Jak mogłaś to uczynić! Gdyby to przynajmniej Genia była zrobiła, ale ty sama... - matka płakała, łamała ręce, nie mogła dać odpowiedzi. Czy myślała, że ojcu tak lepiej będzie, czy widziała w tym jedyne wyjście z beznadziejnej jego sytuacji, lub czy działała po prostu w niepojętej lekkomyślności i bezmyślności?... Fatum znajduje tysiąc wybiegów, gdy chodzi o przeforsowanie jego niepojętej woli. Drobnie jakieś chwilowe zaćmienie naszego umysłu, moment zaślepienia czy niedopatrzienia wystarczy, ażeby przemycić czyn między Scyllą a Charybdą naszych decyzji. Potem można bez końca *ex post* interpretować i tłumaczyć motywy, dociekać pobudek - fakt dokonany pozostaje nieodwołalny i raz na zawsze przesądzony.

Opamiętaliśmy się i otrząsnęli dopiero z naszego zaślepienia, gdy wniesiono mego ojca na półmisku. Leżał wielki i spuchnięty wskutek ugotowania, bladoszary i galaretowaty. Siedzieliśmy w milczeniu, jak struci. Tylko wuj Karol sięgnął widelcem do półmiska, ale opuścił go niepewnie w pół drogi, spoglądając na nas ze zdziwieniem. Matka kazała odstawić półmiskę do salonu. Tam leżał na stole

pokrytym kapą pluszową, obok albumu z fotografami i mechanicznej katarynki z papierosami, leżał omijany przez nas i nieruchomy.

Nie na tym jednak miała się zakończyć ziemska wędrówka mego ojca i ten ciąg dalszy, to przedłużenie historii poza, zda się, już ostateczne i dopuszczalne granice - jest najboleśniejszym jej punktem. Czemuż nie dał wreszcie za wygraną, czemuż nie uznał się w końcu za pokonanego, gdy już zaprawdę miał wszelkie powody do tego, i los nie mógł już pójść dalej w doszczętnym pognębieniu go? Po kilku tygodniach nieruchomego leżenia skonsolidował się jakoś w sobie, zdawał się jakby przychodzić pomału do siebie. Pewnego ranka zastaliśmy półmisek pusty. Jedną tylko nogą leżała na brzegu talerza, uroniona na zastygłym sosie pomidorowym i galarecie stratowanej jego ucieczką. Ugotowany, gubiąc nogi po drodze, powłókł się ostatkami sił dalej, w bezdomną wędrówkę, i nie ujrzeliśmy go więcej na oczy.